

**ARCHIWUM REWOLUCJI**

---

**SWIETLANA ALLILUJEWA**

**DWADZIEŚCIA LISTÓW  
DO PRZYJACIELA**

**INSTYTUT**

---

PARYZ



**LITERACKI**

---

1967

SUNDBYBERGS  
STADSBIBLIOTEK



**DWADZIEŚCIA LISTÓW  
DO PRZYJACIELA**

BIBLIOTEKA « KULTURY »  
TOM 150

IMPRIME EN FRANCE

---

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,  
91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi  
par 78-MAISONS-LAFFITTE

**ARCHIWUM REWOLUCJI**

**SWIETLANA ALLILUJEWA**

# **DWADZIEŚCIA LISTÓW DO PRZYJACIELA**

Przełożył z rosyjskiego L. Perzanowski



Przedmowa G. Herling-Grudzińskiego

**INSTYTUT**  

---

**PARYŻ**



**LITERACKI**  

---

**1967**

Hmc:L

Tytuł oryginału: *Dwaćcat' pisem k drugu*

COPYRIGHT © COPEX ESTABLISHMENT 1967

*All rights reserved*

Hmc:L  
[Lz Allilujewa]  
SUNDRY BERGS  
STABIN LIOTEK

1

PAMIĘCI MOJEJ MAMY



*Dziękujemy Autorce, amb. George F. Kennanowi oraz  
dyr. Perry H. Knowltonowi za udzielenie Instytutowi  
Literackiemu bezpłatnie praw autorskich na język polski.*

## ARCYWIEZIENIE SYSTEMU

Należy zacząć od dziejów tej książki. Swietlana Allilujewa napisała *Dwadzieścia listów do przyjaciela* latem 1963 roku we wsi Żukowka pod Moskwą, „nie myśląc nawet (jak wyznaje) o możliwości ogłoszenia ich drukiem”. Po roku dała je do przeczytania kilku bliskim przyjaciołom. Jeden z nich przepisał na maszynie manuskrypt w trzech egzemplarzach. Pierwszy egzemplarz zabrał ze sobą sam na przechowanie do Leningradu, drugi zdeponowano w Moskwie, trzeci zwrócono wraz z rękopisem autorce. Podczas procesu Siniawskiego i Daniela Swietlana zniszczyła rękopis, a własną kopię maszynopisu przesłała do Indii, przypuszczalnie wykorzystując walizę dyplomatyczną ambasady hinduskiej w Moskwie. W jej rozmowie z grupą wybranych dziennikarzy amerykańskich i angielskich (sierpień br.) czytamy: „Nie wiedziałam jasno dlaczego i po co to robię. Może chodziło po prostu o próbę ocalenia tych listów, gdyż w Związku Sowieckim manuskrypty podobnych książek łatwo zawsze odnaleźć i zniszczyć czy w każdym razie obłóżyć sekwestrem”. Jest więcej niż prawdopodobne, że właśnie to nastąpiło wkrótce po schronieniu się Swietlany w ambasadzie amerykańskiej w New Delhi w marcu br.: w Rosji odnaleziono albo leningradzką albo moskiewską kopię maszynopisu i w kilka miesięcy później usiłowano, za pomocą dość skomplikowanego manewru, storpedować lub co najmniej „rozładować” zaawansowane już na Zachodzie przedsięwzięcie wydawnicze. Manewr — oparty na prawnych subtelnościach wynikających z faktu, że ZSSR nie należy do Konwencji Berneńskiej — został odparowany błyskawicznym kontrmanewrem: w sierpniu, na dwa miesiące przed planowanym *publication day* głównych przekładów książki, w księgarniach londyńskich po-

jawił się w minimalnym nakładzie (dla zarejestrowania *copy-right'u*) jej oryginał rosyjski.

Córka Stalina przyjechała do Indii w grudniu ubiegłego roku z urną zawierającą prochy jej trzeciego męża, komunisty hinduskiego Singha, zmarłego w Moskwie w październiku. Nie ma powodu sądzić, że już wtedy nosiła się z zamiarem opuszczenia kraju ojczystego. Tuż przed wygaśnięciem trzymiesięcznej ważności paszportu chciała go przedłużyć w ambasadzie sowieckiej, by móc spędzić jeszcze jakiś czas wśród krewnych zmarłego męża. Kiedy jej odmówiono, zapukała 6 marca wieczorem do drzwi ambasady amerykańskiej w New Delhi. Z Indii przewieziono ją do Rzymu, a stamtąd — zagłębioną w lekturze *Doktora Żiwago* — do Szwajcarii, gdzie w ukryciu oczekiwała sześć tygodni na wizę amerykańską. W Nowym Jorku wylądowała 21 kwietnia. Zaopiekował się nią George Kennan, b. ambasador amerykański w Moskwie i w Belgradzie, doradca Departamentu Stanu w sprawach sowieckich. On był pierwszym zachodnim czytelnikiem *Dwudziestu listów do przyjaciela*. On uznał je za „książkę bardzo wybitną”.

Po ukazaniu się w Londynie rosyjskiej edycji „rejestracyjnej” pochwały tych recenzentów, którzy dzięki znajomości języka byli w stanie ją przeczytać, podskoczyły do zenitu. Pisano o „arcydziele”, porównywano Swietlanę do Tołstoja i Turgieniewa. Na szczęście sama autorka okazała większy spokój i z dość ujmującą skromnością oświadczyła w cytowanej już, sierpniowej rozmowie z dziennikarzami: „Jest rzeczą bardzo zabawną czytać teraz o sobie: pisze jak Tołstoj, albo jak Turgieniew. Nazwałabym moją książkę lirycznym raportem o wypadkach których byłam osobistym świadkiem, o ludziach których osobiście znałam — wszystko to z mojego własnego punktu widzenia, z moim własnym wyjaśnieniem zdarzeń i osób. Dla mnie przedmiotem tej opowieści była historia naszej rodziny, mojego ojca i mojej matki, całej reszty rodziny. Wydarzenia polityczne nie były absolutnie moim tematem. Nie znaczy to, że w trakcie pisania nie znałam politycznych dziejów współczesnej Rosji. Mam osobisty raczej pogląd na politykę, może sam fakt że wyjechałam z Rosji wyjaśnia go dostatecznie. Pisałam książkę bez myśli opuszczenia kraju, ale nawet wtedy nie zgadzałam się ze zbyt wieloma rzeczami.

Chociaż jednak mój polityczny punkt widzenia jest w książce obecny, za jej zasadniczy temat trzeba uważać historię naszej rodziny. Moja rodzina była pobojowiskiem w walce między dobrem i złem tak jak ja to rozumiem, i jak chciałabym by rozumieli wszyscy inni. Dobro w rodzinie było dla mnie zawsze

ucieleśnione w osobie mojej matki... Ale dla mnie mój ojciec nie był nigdy wcieleniem zła. Był wplątany w wielkie ruchy, w wielkie wydarzenia, w wielkie walki polityczne które dały mu władzę, i może ta zła władza pokonała dobro w naszej rodzinie. Sądzę jednak także, że sam zwycięzca nie był bynajmniej szczęśliwy i później — w latach trzydziestych, podczas wojny, po wojnie — nie wydał mi się nigdy szczęśliwym zdobywcą, rozkoszującym się swoją władzą, swoją ogromną pozycją i sławą. Przeciwnie, robił na mnie wrażenie twórcy i zarazem ofiary stworzonych przez siebie rzeczy. Rujnował samego siebie, aż wreszcie, w ostatnich latach życia, dotarł na skraj zupełnej samotności, nieszczęścia, niezadowolenia ze wszystkich dokoła, nieufności, podejrzliwości, stanu który można by nawet nazwać manią prześladowczą: chwilami odnosił się podejrzliwie i do mnie. Pragnęłam pokazać w moich *Dwudziestu listach* ten proces. Nie chodziło mi o opisanie mojego ojca jako polityka, pochłoniętego intrygą i walką polityczną. To jest znane”.

Pierwsze przekłady książki obniżyły temperaturę zachwytyw. Tytułem próbki warto przytoczyć kilka urywków z recenzji Arthura Koestlera w *The Sunday Times*. „Powieściopisarz nie potrafiłby stworzyć bardziej przekonującego przykładu ambiwalencji ludzkich uczuć, i sprzeczne twierdzenie spowodowane tą ambiwalencją nie umniejszają wartości książki Swietlany — przeciwnie, poręczają jej autentyczność. Ale chociaż książka jest bez wątplenia autentyczna i szczerą, pozostaje pytanie czy dodaje cokolwiek nowego do naszej wiedzy o historii”. I dalej, pisząc o uporze z jakim autorka odmalowuje Berię w roli złego ducha Stalina i arcydiabła stalinizmu: „Innymi słowy, Swietlana znalazła sobie ~~koźła~~ ofiarnego dla grzechów swego ojca. Psychologicznie jest to zrozumiałe i wybacalne; historycznie jest to naturalnie kompletny nonsens. Sama Swietlana zdaje się to częściowo rozumieć: 'W bardzo wielu sprawach mój ojciec i Beria byli winni do spółki. Nie staram się przerzucać winy z jednego na drugiego'. A przecież to jest dokładnie rzecz jaką robi, kiedy sugeruje na przykład że sam Stalin wierzył w fantastyczne samooskarżenia wydzierane z gardeł jego starym towarzyszom: 'Z czego mój ojciec nie zdawał sobie sprawy, to z faktu że w celach tajnej policji X, Y czy Z mogli być zmuszeni do zeznania czegokolwiek'. Jeśli Stalin nie zdawał sobie z tego sprawy, to był w całej Rosji jedynym człowiekiem ślepym”. Konkluzja autora *Ciemności w południe* brzmi tak: „Swietlana powiada w przedmowie, że jej zamiarem jest świadczyć. Mamy w jej wypadku do czynienia ze świadkiem nieuchronnie mętym, który wychodzi ze skóry by

zachować obiektywizm, lecz nie może uciec od własnych ambivalentnych uczuć, nie jest w stanie uniknąć pokus racjonalizacji i wymówek — nie dla systemu, ale dla biednego, złego, zwariowanego tatusia, który był wyłącznie produktem systemu. W niedawnym wywiadzie zadano jej pytanie: 'Sądzi pani że gdyby pani ojciec nie istniał, na widowni pojawiłyby się inny Stalin?'. Odpowiedziała krótko: 'Tak jest'. Gdyby prawdziwa była ta wiara w historyczny determinizm, w człowieka jako piłkę podrzucałą przez jego ślepe siły, oczyściłaby ona bezapelacyjnie nie tylko Stalina, lecz wszystkich większych i mniejszych szkodników ludzkości. Jest źródłem siły ideologii totalitarnych, i zarazem naszą słabością, że chociaż ją odrzucamy, nie znaleźliśmy pełnej na nią odpowiedzi".

Po „tajnym raporcie” Chruszczowa, jednego z celujących niegdyś uczniów Stalina, przyszła kolej na „liryczny raport” córki tyrana. Czy nowa „liryczność” wzbogaca bodaj trochę dawną i jawną już dziś „tajność”? Tak, ale w sposób jedynie pośredni, *mimo woli* autorki.



Koestler mówi o „sprzecznych twierdzeniach” książki i na zryw Swietlanę „świadkiem nieuchronnie mętnym”, nie wchodząc jednak zanadto w szczegóły. Jeśli go wyręcę, to nie dla małostkowej przyjemności poznęcania się nad autorką. Sprzeczności Swietlany są kluczem do jej techniki portretowej, która większą część twarzy modela pozostawia w cieniu, żeby nie powiedzieć: w zupełnym mroku. Dopiero po takiej operacji rozjaśniającej wizerunek przestanie być zagadkową ikoną ojca wystawioną z gorzkim pietyzmem na widok publiczny przez rozdartą wewnętrznie córkę, a stanie się w jakimś przynajmniej stopniu obrazem człowieka i epoki, dyktatora i jego systemu.

Zacznijmy od matki, Nadieždy Allilujewoj, skoro jej pamięci dedykowana jest książka i skoro „w jej osobie ucieleśnione było dobro w rodzinie”. Swietlana wspomina najpierw, że całą prawdę o okolicznościach śmierci matki usłyszała z ust swojej stojącej już nad grobem niani, czyli w roku 1956 lub najwcześniej 1955. Potem dowiadujemy się *en passant*, że wkrótce po wybuchu wojny rosyjsko-niemieckiej wpadł jej do rąk w Kujbyszewie numer jakiegoś pisma angielskiego czy amerykańskiego z opisem samobójstwa Nadieždy. Wreszcie — jakby tej sprzeczności było jeszcze za mało — asystujemy w roku 1948 przy rozmowie ojca z córką

na *daczy* krymskiej, w której Stalin dość plastycznie opowiada jak jego żona pozbawiła się życia małym pistoletem otrzymanym w prezencie od brata. Która z tych trzech wersji o wtajemniczeniu Swietlany w zazdrośnie strzeżony sekret rodzinny jest prawdziwa? Pewne jest jedno: nie mogą być prawdziwe wszystkie trzy, chyba że córka nie uwierzyła ani pismu zagranicznemu ani nawet ojcu, za dobrą monetę przyjmując dopiero przedśmiertną spowiedź starej niani. W książce głucho jednak o tym dwukrotnym niedowiarstwie. Wolno zatem podejrzewać, że fakt psychologicznie decydujący (jak sama zapewnia) dla stosunku Swietlany do ojca był jej znany stosunkowo wcześniej. I że dziś powtarza go — odruchowo i nieostrożnie — w potrójnej aż wersji nie dlatego tylko, że zapomniała o dwóch pierwszych, a z pomocą trzeciej chce przesunąć w czasie datę swego „punktu zwrotnego”, dostosować ją bardziej do daty oficjalnego sowieckiego obrazoburstwa, zestroić lepiej własny „raport liryczny” z „tajnym raportem” Chruszczowa. Ale dlatego również, że podświadomie zapewne pragnie uwiarogodnić raz na zawsze przed sobą i światem to co się stało w mieszkaniu prywatnym Stalina na Kremlu w listopadową noc 1932 roku. Gdyż nie jest wcale pewne, że stało się właśnie *to*. Według opinii Borysa Suwarina i Borysa Nikołajewskiego Stalin zastrzelił Nadieżdę po powrocie do domu z libacji u Woroszyłowych, gdzie między małżonkami wybuchła ostra kłótnia polityczna. Nie ma i prawdopodobnie nigdy nie będzie dowodów, że tak było istotnie. Są jednak dowody, że ta kłótnia — której Swietlana odbiera ostrze polityczne, sprowadzając ją do karczemnego okrzyku ojca pod pod adresem matki: „Ej, ty, pij!” — tkwiła korzeniami w głębokich różnicach poglądów: od dłuższego już czasu Nadieżda ciążyła ku opozycji partyjnej, podpisała nawet jeden z jej dokumentów (by zresztą zaraz potem wycofać swój podpis pod naciskiem męża)\*. Od Dżilasa wiemy co Stalin rozumiał przez

\* Jest charakterystyczne, że sama Swietlana krąży z daleka wokół tej możliwości. Wspominając o rzekomym liście pożegnalnym matki, powiada: „Napisała go przypuszczalnie nocą. Rzecz prosta, nigdy go nie widziałam. Z pewnością natychmiast go zniszczyli, *ale istniał*, mówili mi o tym ci którzy go czytali. Był straszny. Był pełen oskarżeń i wyrzutów. Nie był zwykłym listem osobistym; był listem po części politycznym. I przeczytawszy go, ojciec mógł myśleć że matka tylko na pokaz solidaryzowała się z nim, a w rzeczywistości szła krok w krok z opozycją owych lat”. Nieco dalej: „Zastanawiam się często co los zgotowałby matce, gdyby nie umarła. Nie doobra. Prędzej czy później znalazłaby się wśród przeciwników ojca. Niepodobna sobie wyobrazić by *milczała* widząc jak giną jej najlepsi starzy przyjaciele — Bucharin, Jenukidze, Redens, oboje Swanidze — nie przeżyłaby tego nigdy. Być może los dał jej śmierć ratując ją od większych jeszcze

kłótnie polityczne” i jak je załatwiał: „Nie pamiętam z jakiego powodu powiedziałem: 'Bez uprzedysławienia Związek Sowiecki nie mogłyby się ocalić i prowadzić takiej wojny'. Stalin odrzekł: 'Właśnie o to pokłóciliśmy się z Trockim i Bucharinem'”. Od samej zaś Swietlany wiemy jaki miały zasięg jego „uczucia rodzinne”. Kiedy nieszczęsny Jasza Dżugaszwili, syn z pierwszego małżeństwa, usiłował zadręczony przez ojca popełnić samobójstwo i tylko ciężko się postrzelił, Stalin warknął: „Ten niedołęga nie potrafi nawet dobrze celować”. Żonę Jaszy, z pochodzenia „syjonistkę”, teść kazał wtrącić do więzienia na wiadomość że jej mąż dostał się do niewoli niemieckiej: już wtedy przewidujący sternik sowieckiej floty państwowej i wódz komunizmu światowego dostrzegał ukryte filiacje między syjonizmem i hitleryzmem, które miały się po latach tak wyraźnie ujawnić w konflikcie na Bliskim Wschodzie... Mówiąc więc że nie chce „opisywać ojca jako polityka pochłoniętego intrygą i walką polityczną”, bo „to jest znane”, Swietlana popełnia dwa błędy: po pierwsze, to nie jest jeszcze (i długo nie będzie) znane w stu procentach; po wtóre, ten świadomy czy podświadomy unik musi także zniekształcać jej opis „walki między dobrem i złem w rodzinie”. Dla Stalina — Swietlana miała nie raz smutną okazję przekonać się o tym we własnym życiu osobistym — *wszystko* było polityką.

Matka była dla Swietlany zawsze „ucieleśnieniem dobra”, lecz z drugiej strony ojciec nie był dla niej nigdy „wcieleniem zła”. Rola „demonu”, zrosniętego „diabelską pepowiną” z rodziną, odgrywa Beria. Spokojny, trochę po staroświecku gawędziarski, ton jej opowiadania zmienia się natychmiast, ilekroć na scenę wkracza Czarny Charakter Numer Jeden: słyszymy wówczas nutę gniewu, nienawiści, prawie hysterii, sypią się jak z roku obfitości obelżywe epitety. Dlaczego? Koestler wysuwa najprostsza teorię „kozła ofiarnego za grzechy ojca”, usprawiedliwiając reakcję córki jako „psychologicznie zrozumiałą i wybaczną”. Nie jest też wykluczone, że wbrew swoim zapewnieniom Swietlana miała jednak w roku 1963 pewną nadzieję wydania kiedyś *Dwudziestu listów* w Rosji i portrecik Berii narysowała zgodnie z oficjalną tendencją „historiografów kultu jednostki”. Ale są to wytłumaczenia

nieszczęść? Przecież nie potrafiłyby ich odwrócić, ani zatrzymać”. Wreszcie: „Moja matka nie zdradzałaby starych przyjaciół, nic nie mogłoby jej przekonać że jej chrestny ojciec Abel Jenukidze jest „wrogiem ludu”. Nie poszłyby wówczas razem z nimi? Jak poradziłyby sobie w walce z nienawistnym Berią? Po cóż zgadywać. Los ocalił ją od takich ciężkich doświadczeń, których nie zniosłaby jej dusza. Być może, Bóg zaoszczędził jej wszystkich tych okropności. I nawet jeśli znalazłaby w sobie dość sił by opuścić ojca, jej los byłby jeszcze straszniejszy; spadłaby na nią jego zemsta”.

połowiczne i prawdę mówiąc mało istotne. Sedno sprawy wyłania się znowu po przesłedzeniu sprzeczności rozsianych w książce.

Uderza naturalnie, że Beria występuje w *Dwudziestu listach* jako jedyny przedstawiciel tajnej policji: Jagoda nie jest wspomniany w ogóle, a Jęzow jest wymieniony zaledwie raz w związku z wakacyjnym bankietem na krymskiej *daczy*. Otrzymawszy rolę demonicznego solisty absolutnego, Beria staje się siłą rzeczy odpowiedzialny za wszystko: nawet za śmierć Kirowa, chociaż w roku 1934 był tylko czekistą w dość odległej od Leningradu Gruzji a do Moskwy zjechał dopiero w roku 1938, chociaż Stalin „kochał” Kirowa i uważał go za swojego delfina, i chociaż w sowieckich wypowiedziach oficjalnych nie brak *tonkich namiokow na tołstoje dieło*, czyli na udział Stalina w sprzątnięciu coraz popularniejszego i „przez całą partię umiłowanego towarzysza Siergieja Mironowicza”. Swietlana pisze z oburzeniem: „W udział ojca w *tym morderstwie* nie uwierzę przenigdy”. Niestety, trzeba jeszcze uwierzyć w wiele innych „udziałów ojca”, a przede wszystkim w oczywistość faktów które wskazują niezbicie że to on właśnie — a nie na odwrót — pociągał za sznurek „diabła nad diabłami, bezwstydnego dworaka, orientального pochlebce, załganego obłudnika, chytrego łotra złaknionego krwi i władzy, mistrza podstępu i zdrady”. Dokładnie tak: Stalin pociągał za sznurek Berię, a nie — jak sugeruje Swietlana — Beria Stalina. Oto jej słowa „W roku 1938 Beria rozpanoszył się w Moskwie i zaczął bywać codziennie u ojca, i jego wpływ na ojca nie osłabł aż do samej śmierci. Nie przypadkowo mówię o *jego* wpływie na ojca, a nie odwrotnie”. Jeśli tak, to należałoby przedtem wyjaśnić kilka niepojętych dla naszych umysłów zagadek. Swietlana twierdzi, że „ojca trudno było oszukać” i że „w jego obecności nie można było kłamać”; czemu więc ta trudna sztuka udawała się stale Berii? Swietlana zdradza nam, że „ojciec kochał Rosję, nie mógł zaś znieść feudalnych czołobitności okazywanych mu przez Gruzinów”; czemu więc przeżywał głądko, oblizując się z rozkoszą, „feudalne czołobitności” okazywane mu przez gruzińskiego dworaka i oberpolicmajstra? Swietlana zapewnia, że jej ojciec dostawał gęziej skórki na widok wszelkiej hipokryzji; czemu więc „ordynarna hipokryzja” Berii spływała po nim jak miód? Swietlana podkreśla, że „ojciec żądał zawsze na wszystko solidnych dowodów” (raz nawet wyrugał żonę za to, że osmieliła się powiedzieć coś złego o Berii bez żadnych dowodów, podobny los spotykał też często innych domowników i przyjaciół rodziny niechętnych Berii); czemu więc — jak pisze sama Swietlana — był równocześnie „bezradny wobec machinacji Berii, i wystarczyło



przynieść mu byle jakie papierki czy protokoły, gdzie N „przyznawał się” do winy lub „przyznawali się” do niej za niego inni”? Nie, operacja oderwania Stalina od Berii nie może się powieść. Jest to bowiem niewykonalna operacja oderwania twórcy systemu od systemu który sam stworzył, tyrana od jego tyrańskiej mentalności.

Na koniec drobniejsza sprzeczność, ale kto wie czy nie najbardziej znamienne. „Mój ojciec nie bał się nigdy narodu, i bezsensownie brzmią dziś fałszywe słowa że nie kochał narodu”. Zaraz potem następuje opis powrotu pociągiem z letniska na Krymie do Moskwy. „Na stacjach wychodziliśmy na peron by trochę pospacerować. Ojciec podchodził aż do samej lokomotywy, witając po drodze kolejarzy. Pasażerów nie było, pociąg był specjalny, na peron nikt nie wychodził... Było to smutne, złowieszcze, markotne. Kto to wszystko wymyślił? Kto wynalazł te wszystkie chytrości? Nie on. To był system, w którym on sam stał się więźniem, w którym on sam dusił się od bezludzia, od samotności, od pustki”. Nawet gdybyśmy w dobrej wierze chcieli to przyjąć na słowo honoru autorki, co zrobić z jej wcześniejszym opowiadaniem o tym jak na pierwszym roku studiów uniwersyteckich poprosiła ojca żeby ją uwolnił od zbrojnej eskorty w wyprawach na wykłady? Po chwili namysłu odparł: „Nu, czort z tobą, niech cię zabiją, ja za to nie odpowiadam”. Dlaczego i kto miałby zabić osiemnastoletnią dziewczynę, pędzącą z książkami pod pachą na uniwersytet? Może na to pytanie łatwiej odpowiedzieć dzisiaj na przykładzie błędnego stosunkowo lecz znaczącego epizodu, który miał miejsce wiele lat później, kiedy Stalina strącono już z granitowego cokołu a Swietlana pracowała w Instytucie Gorkiego. W wydanej niedawno Białej Księdze o sprawie Siniawskiego i Daniela *On Trial* rusycystka francuska Alfreda Aucouturier wspomina: „Pamiętam jak wstrząśnięty był po XX zjeździe Andrej Siniawskij postawą swoich kolegów wobec córki Stalina, która pracowała w Instytucie Gorkiego. Pewnego wieczoru, kiedy wychodzono z budynku, znalazł się obok niej i podał jej płaszcz: Swietlana wybuchnęła płaczem. Gest był absolutnie naturalny i spontaniczny — Andrej zawsze przejmował się jeśli ktoś miał katar czy był głodny, i podczas najbardziej ożywionej rozmowy nie zapominał o wzięciu pod ramię towarzysza lub towarzyszki na wyboistej drodze — ale w wypadku Swietlany chodziło także o zaakcentowanie zasady”. Piękna i słuszna zasada, wypada jednak uprzytamniać sobie w pełni co sprawiło że w takiej błahostce jak podanie dorosłej kobiecie płaszcza nabrała ona charakteru „gestu” i wywołała u zainteresowanej

„wybuch płaczu”. W latach gimnazjalnych (wyznaje to sama Swietlana) dla młodzietkiej córki Stalina zarezerwowano osobną szatnię: dyktator „kochający naród” bał się prawdopodobnie zamachu w tłoku wśród tylu dziecinnych płaszczyków zaopatrzonych z narzuconym żelazną ręką dyktatora konformizmem stalinowskim nikt nie uważał tego za rzecz anormalną; jak wolno sądzić, że zgodnie z powierzchownym neokonformizmem antystalinowskim po śmierci dyktatora (opisanym tak dobrze przez Daniela w *Odkupieniu*) nikt nie uważał za rzecz anormalną że odtąd nie podaje się pałta córce Stalina i poddaje się ją za grzechy ojca milczącym ostracyzmem towarzyskim. Nikt z wyjątkiem Siniawskiego i jemu podobnych. Aby przerzucić trwałą pomost do *nich*, Swietlana musi wyplątać się ze swoich sprzeczności, musi zajrzeć całej prawdzie w oczy, musi uwolnić się całkowicie od tego strasznego i mrocznego oroku, o którym pisze na wstępie drugiego listu do przyjaciela: „Ojciec umarł, lecz jego cień stoi nadal nad nami wszystkimi, i jeszcze bardzo często dyktuje nam co robić, i jeszcze bardzo często postępujemy według jego nakazów”. Krótko mówiąc, musi zrozumieć że system i jej ojciec to są pojęcia jednoznaczne.



Nie brak w *Dwudziestu listach* refleksji o systemie. Jedna, w której mowa o Stalinie jako „więźniu systemu”, przytoczona została wyżej. Gdzie indziej czytamy o „systemie potwornym”, o „strasznym mechanizmie”. To znowu Swietlana ze zgrozą odkrywa, że jej ojciec „był podporządkowany żelaznej dogmatycznej logice: powiedziałwszy A, trzeba powiedzieć B”. Najjaśniej ta myśl wyrażona jest pod koniec książki: „Przy całej swojej wszechwładzy mój ojciec był bezsilny, bezradny wobec strasznego systemu który wyrósł dokoła niego jak gigantyczne woszczyzny — nie mógł go ani złamać, ani bodaj kontrolować”.

Obraz „bezsilnego i bezradnego więźnia systemu” nie jest nowy. Przypomnijmy *Rozmowy ze Stalinem* Dżilasa: „Twórca zamkniętego systemu społecznego był jednocześnie jego narzędziem i stał się, w zmienionych okolicznościach i za późno, jego ofiarą”. Dla Dżilasa „Stalin stał się sam niewolnikiem despotyzmu, biurokracji, ciasnoty poglądów i służalczości, które narzucił swemu krajowi; bo jest prawdą że nikt nie może pozbawić wolności innych, nie tracąc własnej”. W tym ujęciu nawet społeczeństwo sowieckie „jest wciąż więźniem swych własnych, stalinowskich ram dogmatycznych”. Powstaje sytuacja bez wyjścia, błędne

koło: Koestler ubolewa nad „naszą słabością”, skoro „nie znaleźliśmy dotychczas pełnej odpowiedzi na wiarę w determinizm historyczny, źródło siły ideologii totalitarnych”; Swietlana w świeżym wywiadzie telewizyjnym odnosi się sceptycznie do możliwości jakichkolwiek zmian w Rosji, składając jakby niski melancholijny pokłon „stojącemu nadal nad nami wszystkimi cieniowi ojca”.

Lecz prawdy Swietlany i Dżilasa są tylko półprawdami. Stalin nie był więźniem systemu, był jego arcywięźniem, po orwelowsku równiejszym od innych równych więźniów, jedynym człowiekiem wolnym wśród niewolników. Mógł z tej wolności satrapy korzystać wyłącznie do granic nietykalności swego własnego dzieła. Nie miał potrzeby z niej korzystać inaczej niż w służbie swego własnego dzieła, gdyż pomiędzy nim i systemem który stworzył istniała absolutna tożsamość. Ale jego następcy? System został skrócony o głowę, jest silnym jeszcze i prężnym ciałem wstrząsany już pierwszymi drgawkami. „Następcy Stalina — pisze Edward Crankshaw na marginesie *Dwudziestu listów* — są w defensywie. Stawiają im czynnie czoło, podobnie jak stawiali czoło dziewiętnastowiecznym carom, ludzie gotowi płacić za swoją walkę więzieniem. Powstaje nowa inteligencja. Jak długo potrwa nim naród rosyjski rozwinię się, wykaże solidarność ze swoimi najlepszymi synami, zażąda czynnego udziału w rządach?”. Nie wiadomo „jak długo potrwa”. Wiadomo jedynie tyle co mawiał Tocqueville: że nie ma nic gorszego niż zły rząd, który stara się poprawić; w rządzonych małe wolności podsycają pragnienie większych wolności; w rządzących rośnie poczucie chwiejności.

Swietlana zrobiła wszystko co w mocy córki, by ocalić przynajmniej „posępną i tragiczną wielkość” ojca. Nie zrobiła, bo nie mogła zrobić, rzeczy niemożliwej: nie przekonała nas że „gdyby nie istniał jej ojciec, na widowni pojawiłby się inny Stalin”, nie zdołała go obronić złą bronią „determinizmu historycznego”.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

10 października 1967.

*Listy te zostały napisane latem 1963 roku we wsi Żukowka pod Moskwą, w ciągu trzydziestu pięciu dni. Swoboda formy listu pozwoliła mi zachować całkowitą szczerłość; to, co zostało napisane traktuję jako spowiedź.*

*W owych czasach nawet myśl o wydaniu książki zdawała mi się niemożliwa.*

*Teraz, kiedy stało się to rzeczywistością, postanowiłam nic w książce nie zmieniać, choć od tamtych czasów minęły cztery lata, a ja sama jestem już daleko od Rosji. Prócz niezbędnej korekty naniesionej w procesie przygotowania rękopisu do druku, prócz nieistotnych opuszczeń oraz dodanych przypisów — książka pozostaje w tym stanie, w jakim ją czytali moi przyjaciele w Moskwie.*

*Chciałabym teraz, aby każdy kto przeczyta te listy traktował je tak, jakby były adresowane do niego osobiście.*

*Swietlana Allilujewa*

*Maj, 1967 r., Locust Valley.*



16 lipca 1963 r.

Jak cicho. A zaledwie trzydzieści kilometrów stąd — Moskwa, rozplamieniony, ludzki wulkan, gorejąca lawa pragnień, ambicji, polityki, rozrywek, spotkań, zgryzot, zabiegów... Światowy Kongres Kobiet, Światowy Festiwal Filmowy, dyskusje z Chinami, wciąż nowe wieści z całego świata — rano, we dnie i wieczorem... Przyjechali Węgrzy; po ulicach spacerują aktorzy filmowi z całego świata; Murzynki w GUM'ie wybierają pamiątki... Plac Czerwony — kiedy nie zajrzysz — pełen ludzi wszystkich kolorów skóry, a każdy człowiek przynosi tu własny, niepowtarzalny los, własny charakter, własną duszę.

Moskwa kipi, wrze, dławi się własnym oddechem i pragnie nowego — wydarzeń, wieści, sensacji, a każdy w Moskwie chce pierwszy poznać ostatnią wiadomość. Taki jest rytm współczesnego życia.

A tu cicho.

Wieczne słońce pożłaca las, trawę. Ten las — to niewielka oaza między Odinczewem, Barwichą i Romaszkowem — oaza, gdzie nie budują już nowych dacz ani dróg, a czyszczą las, koszą trawę na łączkach, wyrębiają uschnięte drzewa. Tu odpoczywają moskwiczanie. „Najlepszy odpoczynek w dzień wolny od pracy” — jak zapewniają radio i telewizja — to spacer z plecakiem na

barkach i kijem w ręku od stacji Odincowo do stacji Usowo albo Iljinskoje, przez nasz błogosławiony las: przez jego cudne przesieki, polanki i brzoźowe gaje. Trzy, cztery godziny brnie moskwiczanie lasem wdychając tlen i zdaje mu się, że się odrodził, wzmocnił, wyzdrowiał, odpoczął od wszystkich trosk i oto znów wraca do moskiewskiej kipieli rzucając podwiedły bukiet polnych kwiatów na półkę podmiejskiej kolejki elektrycznej. A potem będzie wam, swoim znajomym, długo doradzał, żebyście spędzili niedzielę na leśnym spacerze i wszyscy pójdą ścieżkami tędy właśnie, obok płotu; obok domu, w którym mieszkam ja.

A mieszkam ja w tym lesie, w tych stronach, przez całe moje trzydzieści siedem lat. To nieważne, że zmieniło się moje życie i zmieniały się domy — las przecież wciąż ten sam, i Usowo tuż blisko i wieś Kolczuga i wzgórze nad nią, z którego widać całą okolicę. A także te wszystkie wioseczki, gdzie wodę ciągną ze studni i gotują na naftowych prymusach, gdzie w domu za ścianą porykuje krowa i gdaczą kury, tyle że na szarych, ubogich dachach sterczą dziś anteny telewizorów, a dziewczęta noszą nylonowe bluzki i węgierskie pantofle. I tu wiele się zmienia, ale las wciąż tak samo pachnie trawą i brzożą — jak tylko wysiądziesz z pociągu — wciąż stoją te same, znajome, złote sosny, te same wioski ciągną się ku Pietrowskoje i Znamienskoje. Tu jest moja ojczyzna.

Tu, a nie w mieście, nie na Kremlu, którego nie cierpię i w którym przeżyłam dwadzieścia pięć lat. Tu. I kiedy umrę, niech mnie tu złożą do ziemi, w Romaszkowie, na cmentarzu przy stacji, na górcę — tam przestronnie, widać wszystko dookoła, pola wokół, niebo... I cerkiew na górcę, stara, dobra. Nieczynna, to prawda, zmurszała, ale drzewa tak wokół niej wybujały że stoi dumnie, cała w gęstej zieleni mimo wszystko służąc dalej Wiecznemu Dobru na Ziemi. Tylko tam niech mnie pochowają, do miasta nie chcę za nic, nie chcę się tam dusić...

Mówię to tobie, jedyny mój przyjacielu, tobie — żebyś wiedział. Chcesz o mnie wiedzieć wszystko, wszystko ciebie ciekawi, a więc wiedz i to.

Mówisz, że wszystko cię interesuje co dotyczy mnie, mojego życia, wszystkiego tego, co znałam i widziałam wokół siebie. Myślę, że wiele działo się wokół ciekawego, na pewno wiele. I nie jest ważne nawet, co się działo. Ważne jest to, co ty o tym teraz myślisz. Czy chcesz myśleć razem ze mną?

Będę ci pisała o wszystkim. To jedyna korzyść rozłąki: można pisać listy. Napiszę ci o wszystkim tak, jak potrafię. Przede mną — pięć tygodni rozłąki z tobą, z przyjacielem, który wszystko rozumie i chce o wszystkim wiedzieć.

Będzie to jeden długi, bardzo długi list do ciebie. Znajdziesz w nim wszystko, co zechcesz: portrety, szkice, biografie, miłość, przyrodę, znane powszechnie wydarzenia, wielkie i małe, rozmyślenia, słowa i poglądy przyjaciół i znajomych — wszystkich tych, których znałam. Wszystko to będzie pstre, nieuporządkowane, wszystko walić się na ciebie będzie nieoczekiwanie — tak, jak to było ze mną w życiu.

Nie myśl, na miłość boską, nie pomyśl sobie, że uważam swoje osobiste życie za niezwykle interesujące. Przeciwnie, na tle mego pokolenia życie moje jest tak bardzo jednostajne i smutne. Być może, kiedy już napiszę to wszystko, z moich pleców spadnie wreszcie ów nieznośny ciężar i wtedy dopiero zacznie się moje życie... Liczę na to skrycie, pieszczę w głębi duszy tę nadzieję. Tak bardzo zmęczona jestem dźwiganiem tego kamienia na grzbiecie; może wreszcie go z siebie zrzucę.

Tak, pokolenie moich rówieśników żyło daleko ciekawiej, niż ja. A ci, pięć, sześć lat ode mnie starsi — to najcudowniejsi ludzie; to ci, którzy z gorącą głową i płonącym sercem ruszyli ze studenckich audytoriów na Ojczyźnianą Wojnę. Niewielu ich ocalało i wróciło, ale



ci, którzy wrócili — to właśnie kwiat współczesności. To nasi przyszli dekabryści, oni nas jeszcze wszystkich nauczą jak trzeba żyć. Oni jeszcze będą mieli coś do powiedzenia — jestem tego pewna — a Rosja tak bardzo wyczekuje rozumnego słowa, tak bardzo jest go stęskniona — słowa i czynu.

Gdzież mnie do nich. Ja nie dokonałam wielkich czynów, nie działałam na scenie. Całe moje życie toczyło się za kulisami. Ale czyż i tam nie znajdzie się czegoś ciekawego?

Tam półmrok, stamtąd widać publiczność klaszczącą w dłonie, rozdziawioną z zachwytu, uważnie przysłuchującą się mowom, oslepioną blaskiem ogni bengalskich i dekoracji; widać też i aktorów grających role carów, bogów, sług i statystów; widać kiedy grają role, a kiedy rozmawiają ze sobą jak ludzie. Za kulisami — półmrok, pachnie myszami i klejem i starą stęchlizną dekoracji, ale ileż ciekawych rzeczy można stamtąd podpatrzeć! Tam toczy się życie charakteryzatorów, suflerów i garderobianych, którzy za nic nie wyrzekliby się tego życia i swego losu. I któż wie lepiej od nich, że życie w ogóle — to ogromny teatr, gdzie nie każdemu bynajmniej dostaje się ta rola, do której jest przeznaczony. A spektakl rozwija się dalej, kipią namiętności, bohaterowie wymachują mieczami, poeci czytają ody, cesarze wieńczą własne skronie, tekturowe zamki walą się w gruzy i wyrastają w mgnieniu oka, Jarosławna płacze jak potępiona dusza, unoszą się wieszczki i złe duchy, pojawia się cień Króla, cierpi Hamlet i — milczy Naród...

Opowieść będzie długa. Dłgie będą listy. Będę wybiegała w przód i powracała do samego początku. Uchuwaj Boże — to nie powieść, nie biografia ani pamiętniki; nie będzie tu porządku chronologicznego.

Dziś rano taki cudny. Leśny rano: pogwizdują ptaki, słońce przedziera się przez zielony, leśny półmrok. Dziś chcę ci opowiedzieć o samym końcu, o tych marcowych dniach 1953 roku, które spędziłam w domu ojca patrząc, jak on umierał. Czy to rzeczywiście koniec jakiejś epoki i początek nowej — jak to się dzisiaj twierdzi? Nie mnie o tym sądzić. Zobaczymy. Moją sprawą jest człowiek, a nie epoka.

Były to straszne dni. Uczucie, że runęło, rozpadło się w drzazgi coś, do czego przywykłam, coś pewnego i trwałego — przyszło do mnie owej chwili 2 marca, kiedy wywołano mnie z lekcji francuskiego w Akademii Nauk Społecznych i oznajmiono, że „Malenkov prosi, abym przyjechała na Bliższą”. („Bliższą” nazywano daczę ojca w Kuncewie — w odróżnieniu od innych, dalej położonych). Niewiarygodne było już to, że ktoś inny, a nie sam ojciec, zapraszał mnie do siebie, na daczę... Jechałam tam z dziwnym uczuciem paniki.

Kiedy przejechaliśmy bramę i na podjeździe przy do-

mu N. S. Chruszczow i N. A. Bułganin zatrzymali nasz samochód — byłam pewna, że jest już po wszystkim... Wysiadłam, a oni wzięli mnie pod rękę. Twarze obydwu były splakane. „Chodźmy do domu — powiedzieli — tam Beria i Malenkow wszystko ci opowiedzą”.

W domu — już w przedpokoju — wszystko było nie tak, jak zwykle. Zamiast normalnej ciszy, głębokiej ciszy — ktoś biegał, ktoś się krzątał. Kiedy mi wreszcie powiedzieli, że ojciec miał w nocy atak i że jest nieprzytomny, poczułam nawet ulgę, bo zdawało mi się dotąd, że już go nie ma.

Opowiedzieli mi, że — najwidoczniej — atak nastąpił w nocy, znaleźli go o trzeciej nad ranem leżącego, o tu, w tym pokoju, tutaj właśnie, na dywanie obok kanapy i postanowili przenieść go do drugiego pokoju na kanapę, gdzie zawsze sypiał. On tam teraz jest, tam są lekarze — możesz tam iść.

Słuchałam, jak przez mgłę, skamieniała. Te wszystkie szczegóły nie miały już znaczenia. Czułam tylko jedno: on umrze. Ani przez chwilę nie miałam co do tego wątpliwości, choć jeszcze nie rozmawiałam z lekarzami. Widziałam po prostu jak wszystko wokół, cały ten dom, wszyscy — umierają na moich oczach. I przez całe trzy dni spędzone tam, tylko to jedno widziałam i było dla mnie jasne, że innego wyjścia być nie może.

W wielkiej sali gdzie leżał ojciec, kotłowało się od ludzi. Nieznajomi lekarze, którzy nigdy dotąd ojca nie widzieli (akademik W. N. Winogradow, który od wielu lat opiekował się ojcem siedział w więzieniu) trwali w straszliwej krzątaninie. Przystawiali pijawki do potylicy i do szyi, robili kardiogramy, prześwietlali płuca, pielęgniarka bezustannie robiła mu jakieś zastrzyki, jeden z lekarzy bez przerwy notował w dzienniku przebieg choroby. Wszystko szło jak należy. Wszyscy trudzili się i krzatali ratując życie, którego nie można już było uratować.

Gdzieś tam obradowała specjalna sesja Akademii Nauk Medycznych zastanawiając się jakie by jeszcze przedsięwziąć środki. W sąsiedniej, niewielkiej salce nieustannie trwała jakaś inna narada medyczna — również nad tym, co robić. Z jakiegoś tam Ośrodka Badań Naukowych przywieźli urządzenie do sztucznego oddychania. Wraz z urządzeniem przybyli młodzi specjaliści. Prócz nich, najpewniej, nikt nie umiałby się nim posługiwać. Masywny agregat stał bezczynny, a młodzi lekarze szaleńczo krążyli wokół niego, zupełnie zdruzgotani tym, co się działo. Nagle uświadomiłam sobie, że znam tę oto, młodą lekarzkę; gdzie ją widziałam...? Skinęłyśmy sobie głowami, ale nie rozmawiałyśmy. Wszyscy starali się milczeć, jak w kościele, nikt nie mówił o rzeczach postronnych. Tu, w tej sali, dokonywało się coś pełnego znaczenia, niemal wielkiego — to czuli wszyscy i postępowali zgodnie z tym odczuciem.

Tylko jeden człowiek zachowywał się prawie nieprzyzwoicie — to Beria. Był podniecony do ostatnich granic, jego twarz, i bez tego odrażająca, mówiła wszystko o rozpierających go namiętnościach. A jego namiętności — to ambicja, okrucieństwo, przebiegłość i władza, władza... Tak bardzo starał się w owej decydującej chwili, żeby nie przechytrzyć i żeby nie niedochytrzyć! Miał to wypisane na czole. Podchodził do łóżka i długo wpatrywał się w twarz chorego, ojciec chwilami otwierał oczy, ale, prawdopodobnie, czynił to bez świadomości lub ze świadomością przyćmioną. Beria patrzył wtedy, wpijał się w te zamglone oczy; chciał i tutaj być tym „najwierniejszym, najbardziej oddanym” — jakim ze wszystkich sił starał się zawsze ojcu ukazać, co, niestety, zbyt długo mu się udawało...

W ostatnich minutach, kiedy już wszystko się kończyło, Beria nagle zauważył mnie i rozkazał: „Wyprowadźcie Swietłanę!” Ci, którzy stali w pobliżu popatrzyli na niego, ale nikomu nawet do głowy nie przyszło usłu-

chać. A kiedy już wszystko się skończyło, on pierwszy wyskoczył na korytarz i wśród ciszy panującej w sali, w której wszyscy stali wokół zmarłego, rozległ się jego gromki głos, nie kryjący radości: „Chrustaliow! Samochód!”

Był on wspaniałym, współczesnym okazem unizonego dworaka, ucieleśnieniem wschodniej przebiegłości, pochlebstwa i obłudy, które oplotły nawet ojca, choć zazwyczaj trudno go było oszukać. Wiele z tego, co popełnił ten potwór legło dziś piętnem na nazwisku mego ojca, w wielu rzeczach wspólnie ponoszą winę, a ile razy Ławrientij potrafił chytrze zwieść ojca śmiejąc się przy tym w kułak — tego nie wiem. Ale wszyscy „na górze” zdawali sobie z tego sprawę...

Teraz wyszła na jaw cała jego odrażająca natura, z trudem tylko nad sobą panował. Nie ja jedna, wielu rozumiało o co tu chodzi. Ale bali się go panicznie i wiedzieli, że — w tej chwili — nikt w Rosji nie dzierżył w rękach większej władzy i siły, niż ten potworny człowiek.

Jak twierdzili lekarze, ojciec nie odzyskał świadomości. Atak był bardzo silny; chory stracił mowę a prawa połowa jego ciała była sparaliżowana. Wielokrotnie otwierał oczy — spojrzenie miał zamglone, nie wiadomo czy kogokolwiek poznawał. W takich chwilach wszyscy pochylali się ku niemu starając się ułować słowo, czy choćby ślad życzenia w oczach. Siedziałam przy nim, trzymałam go za rękę, a on patrzył na mnie — ale czy widział? Pocałowałam go, i w rękę go pocałowałam, nic już więcej mi nie pozostawało do zrobienia.

Jakie to dziwne, że w owe dni choroby, i godziny, kiedy przede mną było już tylko ciało, z którego uszła dusza i w ostatnie dni pożegnania w Sali Kolumnowej — kochałam ojca miłością silniejszą i czulszą niż kiedykolwiek przedtem, w ciągu całego mojego życia. Był zawsze tak daleko ode mnie, od nas, dzieci, od wszystkich

swoich najbliższych. W daczce, na ścianach jego pokoju, pojawiły się w ostatnich latach ogromne, powiększone fotografie dzieci — chłopiec na nartach, chłopiec pod kwitnącą wiśnią — ale pięciu ze swoich ośmiu wnucząt nie zdążył już nigdy zobaczyć. I mimo to go kochały i kochają nadal — te wnuki, które go nigdy nie widziały. A w owe dni, kiedy już zastygł w spokoju na swoim łożu śmierci i jego twarz stała się piękna i spokojna, poczułam jak moje serce pęka z bólu i z miłości.

Równie potężnego przyływu uczuć, tak sprzecznych i tak silnych, nie doświadczyłam nigdy — ani przedtem, ani potem. Kiedy dzień w dzień niemal stałam w Sali Kolumnowej (dosłownie stałam, bo ilekroć chcieli mnie posadzić, czy podsuwali krzesło, nie mogłam usiąść, mogłam tylko stać wobec tego, co się działo) skamieniała i milcząca, rozumiałam, że przyszło jakieś wyzwolenie. Nie wiedziałam jeszcze, nie potrafiłam sobie uzmysłowić jakie to wyzwolenie, w czym ono się wyrazi, ale rozumiałam, że jest to wyzwolenie dla wszystkich, dla mnie też, od jakiegoś ciężaru gniotącego wszystkie dusze, serca i umysły jedną, powszechną zmorą. A zarazem patrzyłam w tę piękną twarz, spokojną i nieco smutną, słuchałam żałobnej muzyki (starej, gruzińskiej kołysanki — pieśni ludowej o wyrazistej, smutnej melodii) i wszystko rwało się we mnie z żalu. Czułam, że niegodna ze mnie córka, że nigdy dobrą córką nie byłam, że mieszkałam w domu jak obcy człowiek, że w niczym nie pomogłam tej samotnej duszy, temu staremu, choremu, opuszczonemu przez wszystkich i samotnemu na swoim Olimpie człowiekowi, który przecież był moim ojcem, który mnie kochał — jak umiał i jak mógł — i któremu zawdzięczałam wszak nie tylko zło, ale i dobro...

Nie jadłam przez wszystkie te dni, nie mogłam płakać, ogarniał mnie kamienny spokój i kamienny ból.

Ojciec umierał śmiercią straszną i trudną. A była to

pierwsza i jedyna jeszcze wówczas śmierć, jaką widziałam. Bóg daje lekką śmierć sprawiedliwym...

Wylew krwi w mózgu rozprzestrzenia się stopniowo na wszystkie ośrodki i — przy zdrowym i silnym sercu — obejmuje drogi oddechowe czego rezultatem jest śmierć od uduszenia. Oddychanie stawało się coraz trudniejsze. Przez ostatnie dwanaście godzin było już jasne, że niedostatek tlenu wzrasta. Twarz pociemniała i zmieniła się, jej rysy stopniowo stawały się nie do rozpoznania, wargi poczerniały. Przez ostatnią godzinę człowiek po prostu dusił się zwolna. Agonia była straszna. Dusił go na oczach wszystkich. W pewnej chwili — nie wiem, czy tak było naprawdę, ale tak mi się wydawało — w ostatniej już widocznie minucie, on otworzył oczy i powiódł nimi po wszystkich, którzy stali dookoła. Było to okropne spojrzenie, jakby nierozumne, jakby gniewne i pełne trwogi przed śmiercią i przed nieznanymi, pochylonymi nad nim twarzami lekarzy. W jakimś ułamku minuty spojrzenie to przewędrowało po wszystkich. I nagle — było to niepojęte i straszne, ja do dziś tego nie rozumiem, ale nie mogę zapomnieć — nagle uniośł w górę lewą rękę (tę, którą mógł poruszać) i jak gdyby wskazał nią ku górze, czy też pogroził nam wszystkim. Gest był niepojęty, ale groźny i nie wiadomo do kogo lub do czego się odnosił... W następnej chwili dusza, uczyniwszy ostatni wysiłek, wyrwała się z ciała.

Myślałam, że i ja się uduszę, wpiłam się dłońmi w stojącą obok znajomą lekarzkę — ona znieruchomiała w bólu, obie trzymałyśmy się jedna drugiej.

Dusza uleciała. Ciało uspokoiło się, twarz pobladła i przybrała swój normalny wyraz; w parę chwil zatraciła ślady męki, stała się spokojna i piękna. Wszyscy trwali wokół, skamieniali w milczeniu, przez szereg minut — nie wiem ile — zdaje się, że długo.

Potem członkowie rządu ruszyli ku wyjściu — trzeba było jechać do Moskwy, do KC gdzie wszyscy siedzieli

i czekali na wiadomości. Pojechali ogłosić wieść, której skrycie oczekiwali wszyscy. Nie grzeszmy przeciw sobie nawzajem — rozdzierały ich te same sprzeczne uczucia, co i mnie — cierpienie i ulga...

Wszyscy oni (nie mówię o Berii, który był jedynym w swoim rodzaju wyrodkiem) krzżeli się tu przez wszystkie te dni, starali się pomóc, a zarazem bali się — czym się to wszystko skończy? Ale szczerze łzy widać było u wielu — widziałam we łzach K. E. Woroszyłowa i L. M. Kaganowicza i G. M. Malenkowa i N. A. Bułganina i N. S. Chruszczowa. Co tu dużo mówić, prócz wspólnej sprawy jednoczącej ich z ojcem, zbyt silny był czar jego bogatej natury, porywał on ludzi, urzekał ich, nie można mu było się oprzeć. Wielu wiedziało o nim i doświadczyło go zarówno spośród tych, którzy udają dziś że nigdy nie odczuwali tej siły przyciągającej, jak i tych którzy o tym nie mówią.

Wszyscy się rozeszli. Pozostało na marach ciało, które miało pozostać tu jeszcze przez kilka godzin — taki jest obyczaj. Na sali pozostali N. A. Bułganin i A. I. Mikojan, pozostałam i ja siedząc na kanapie pod przeciwległą ścianą. Zgaszono połowę wszystkich świateł, odeszli lekarze. Została tylko siostra, stara pielęgniarka, znana mi jeszcze z kremłowskiego szpitala. Cicho porządkowała coś na ogromnym stole znajdującym się pośrodku sali.

Była to sala przyjęć gdzie zbierał się wąski krąg Politbiura. Za tym stołem — przy obiedzie lub kolacji — omawiano i rozstrzygano sprawy. „Przyjechać na obiad” do ojca — oznaczało stawić się w celu załatwienia jakiejś sprawy. Podłogę pokrywał olbrzymi dywan. Pod ścianami stały krzesła i kanapy, w kącie znajdował się kominek: ojciec zawsze lubił mieć ogień w zimie. W drugim kącie stał patefon z płytami, ojciec miał ładną kolekcję pieśni ludowych — rosyjskich, gruzińskich, ukraińskich. Innej muzyki nie uznawał. W tej komnacie minęły mu wszyst-



kie ostatnie lata — prawie dwadzieścia lat. Teraz żegnała ona swego gospodarza.

Przyszła pożegnać się służba, straż przyboczna. Tu widziało się prawdziwe uczucie, szczery żal. Kucharka, kierowcy, dyżurni funkcjonariusze ochrony, służące, ogrodnicy — wszyscy oni wchodzili cicho, zbliżali się milcząc do pościeli i wszyscy płakali. Ocierali łzy jak dzieci — dłońmi, rękawami, chustkami. Wielu płakało zanosząc się spazmatycznie i siostra sama płacząc podawała im walerianę. A ja, kamienna, siedziałam, stałam, patrzyłam i żeby choć łezka spłynęła mi z oczu... A odejść też nie mogłam, tylko patrzyłam i patrzyłam, nie mogłam się oderwać.

Przyszła pożegnać się Walentyna Wasiliewna Istomińska — Waleczka — jak ją nazywali — gospodyni pracująca na tej dacy u ojca od osiemnastu lat. Runęła na kolana przy tapczanie, opadła głową na pierś zmarłego, i zapłakała w głos, jak na wsi. Długo nie mogła się uspokoić i nikt jej nie przeszkadzał.

Wszyscy ci ludzie, którzy służyli u ojca kochali go. Nie był on kapryśny w codziennym życiu, przeciwnie, był swobodny, prosty i przyjazny w stosunkach ze służbą, a jeśli zdarzyło mu się ordynarnie zwymyślać kogoś, to tylko „naczelników” — generałów z Bezpieczeństwa i innych wojskowych. Służba nie mogła uskarżać się na niego — nie był ani nadęty ani okrutny, przeciwnie — często zwracano się do niego o pomoc w różnych sprawach i nikt nigdy nie odszedł z niczym. A Waleczka — tak jak oni wszyscy — o ileż więcej wiedziała o nim przez ostatnie lata i widziała, niż ja żyjąca dalekim i obcym życiem. Widywała ludzi z całego świata za tym olbrzymim stołem, który obsługiwała podczas wielkich przyjęć. Widziała bardzo wiele ciekawych rzeczy — naturalnie w ramach swojego kręgu widzenia i teraz, kiedy się spotykamy, opowiada mi o nich w sposób żywy, barwny, z humorem. I podobnie jak cała reszta służby będzie ona do

końca swoich dni przekonana, że nie było na świecie lepszego człowieka, niż mój ojciec. Nic nigdy nie odwiedzie ich od tego przekonania.

Późno w nocy, a raczej już nad ranem, przyjechali zabrać ciało na sekcję. Pochwyciły mnie nagle jakieś nerwowe dreszcze, ale żeby choć trochę łez, żeby zapłakać. Nic, tylko trzęsie. Przynieśli nosze i położyli na nich zwłoki. Pierwszy raz widziałam ojca nago — piękne ciało, zupełnie nie zwiędłe, nie starcze. Dziwny ból ogarnął mnie nagle, pchnął nożem w serce — poczułam i zrozumiałam co to znaczy „krew z krwi”. Zrozumiałam, że przestało żyć i oddychać ciało, które obdarzyło mnie istnieniem, a ja będę żyć i żyć jeszcze na tej ziemi.

Nie da się tego wszystkiego pojąć, dopóki własnymi oczami nie zobaczy się śmierci ojca czy matki. I żeby w ogóle pojąć, co to jest śmierć, trzeba ją choć raz ujrzeć, zobaczyć jak „dusza ulatuje” i pozostaje bierne, martwe ciało. Wówczas nie mogłam tego wszystkiego zrozumieć, ale czułam jak to mnie przeszywa i w sercu pozostawia ślad.

Zabrali ciało. Biały samochód podjechał pod same drzwi daczy, wszyscy wyszli. Zdjęli czapki, także ci, którzy stali na ulicy, przy ganku. Stałam w drzwiach, ktoś narzucił na mnie palto, trzęsłam się cała. Ktoś objął mnie za ramiona, był to N. A. Bułganin. Zatrzęsnęły się drzwi i samochód odjechał. Wtuliłam twarz w pierś Nikołaja Aleksandrowicza i wreszcie się rozpłakałam. On też płakał i głaskał mnie po głowie. Ludzie postali jeszcze trochę w drzwiach, a potem zaczęli się rozchodzić.

Poszłam do służbowego skrzydła połączonego z domem długim korytarzem, którym noszono posiłki z kuchni. Zeszli się tu wszyscy ci, którzy pozostali — pielęgniarki, służba, straż przyboczna. Siedzieli w jadalni, w wielkim pokoju z kredensem i radioodbiornikiem. Raz po raz i wciąż od nowa mówili o tym, jak się to wszystko stało, jak przebiegło. Podali mi coś do jedzenia: „Dziś

ciężki dzień będzie, a wy nie spaliście i trzeba będzie zaraz jechać do Sali Kolumnowej, musicie nabrać sił!” Zjadłam coś niecoś i usiadłam w fotelu. Była piąta godzina rano. Poszłam do kuchni. W korytarzu rozlegał się głośny szloch — to siostra płakała na głos w łazience przeglądając kardiogram — płakała tak, jakby zginęła nagle cała jej rodzina... „Zamknęła się i płacze, już od dawna” — powiedzieli mi.

Siedząc w jadalni wszyscy jakby nieświadomie czekali tylko na jedno: wkrótce, o szóstej godzinie, ogłoszą przez radio wiadomość, którą my już znaleźliśmy. Ale wszyscy musieli to *usłyszeć*, jakby bez tego nie można było uwierzyć. I oto wreszcie szósta. I głos Lewitana, albo może kogoś innego o podobnym głosie, przemówił wolno, wolno... Głos, który zawsze obwieszczał coś ważnego. I nagle wszyscy zrozumieli: tak, to prawda, że to się stało. I wszyscy znów zapłakali — mężczyźni, kobiety, wszyscy... I ja szlochałam i było mi dobrze, że nie ja jedna, że wszyscy ci ludzie rozumieją co się stało i płaczą razem ze mną.

Tu wszystko było bezinteresowne i szczerze i nikt przed nikim nie demonstrował ani swojej rozpacz, ani swojej wierności. Wszyscy znali się nawzajem od wielu lat. Wszyscy znali mnie i wiedzieli, że byłam złą córką i że mój ojciec był złym ojcem i że mimo to ojciec mnie kochał, a ja kochałam ojca.

Tu dla nikogo nie był on ani bogiem, ani nadczłowiekiem, ani geniuszem, ani złoczyńcą — kochali go i szanowali za te najzwyczajniejsze, ludzkie cechy, które służyła potrafi zawsze bezbłędnie ocenić.

Dlaczego napisałam ci dziś właśnie o tym? Dlaczego od tego właśnie chciałam wszystko zacząć?

Od tych dni minęło dziesięć lat — niemało w naszym burzliwym, rozpędzonym wieku. Nie byłam od tego czasu w mrocznej, kuncewskiej daczce, nie chodziłam na Kreml. Nic nie ciągnie mnie do odwiedzenia tych miejsc. Ojciec nie lubił rzeczy, żył po purytańsku, nie wypowiadał się poprzez przedmioty i pozostałe po nim domy, pokoje i mieszkania nic o nim nie mówią.

Lubię tylko wspominać dom, w którym mieszkała mama — nasze mieszkanie (do 1932 roku) na Kremlu i daczę „Zubałowo” pod Usowem, gdzie na wszystkim znać było rękę mamy. Ale o tym później.

Minęło dziesięć lat. W moim życiu niewiele się zmieniło. Tak jak i dawniej istnieję w cieniu imienia mego ojca. Jak za jego czasów, ja i moje dzieci mamy odpowiednio zabezpieczony byt. Nie zmieniły się też: uwaga jednych, złość innych, ciekawość wszystkich bez wyjątku, zasłużone i nie zasłużone przykrości i wstrząsy, ale także niezasłużone dowody miłości i przywiązania — wszystko to nadal dusi mnie, naciska ze wszystkich stron, jak za życia ojca. Nie wyrwać mi się z tych pęt.

Nie ma go, ale jego cień dalej stoi nad nami wszyst-

kimi, dalej jeszcze dyktuje nam i nadal, często, działamy według tego dyktatu...

A życie kipi wokół. Wyrosło całe pokolenie, dla którego nie istnieje już prawie imię „Stalin” — tak, jak nie istnieje już wiele rzeczy, dobrych i złych, związanych z tym imieniem. Pokolenie to przyniesie ze sobą jakieś nieznanne nam życie — zobaczymy jakie ono będzie. Ludziom zachciewa się szczęścia, egoistycznego szczęścia, jaskrawych barw, dźwięków, fajerwerków, ambicji — wiem, chcą nie tylko tego: chcą też kultury, wiedzy; chcą, żeby także i dla Rosji życie zaczęło wreszcie być europejskie; chcą mówić wszystkimi językami świata, już, zaraz, szybciej, szybciej! Chcą komfortu, przyzwoitej odzieży i mebli zamiast wiejskich skrzyń i chałatów. Chcą przejmować wszystko, co cudzoziemskie — ubranie, teorie, sztukę, kierunki filozoficzne, fryzury — wszystko, odrzucając przy tym bez żalu własne osiągnięcia, własną rosyjską tradycję. Jakże tu jednak osądzać, skoro wszystko to jest tak bardzo normalne po tylu latach purytanizmu i postu, zamknięcia i odgradzenia od całego świata...?

Nie, nie mnie to osądzać. Jeżeli nawet mnie samej obcy jest abstrakcjonizm, to jednak rozumiem dlaczego sztuka ta zawładnęła umysłami niegłupich przecież ludzi (nie tylko niedouczonego młodzików) i nie mnie z nią walczyć. I nie będę walczyła — ja wiem, że ludzie ci żywiej ode mnie czują współczesność i przyszłość. Po cóż przeszkadzać im myśleć tak, jak chcą?

Jednakże nie to jest straszne; nie straszne są owe zamięłowania. Straszna jest niewiedza, nieznajomość rzeczy, brak wszelkiego zamięłowania — do starego, czy do nowego, do własnego, czy do obcego. Straszna jest niewiedza głosząca, że na dzień dzisiejszy *wszystko* już zostało osiągnięte, i że jeżeli będzie pięć razy więcej produkowanej stali, trzy razy więcej jaj i cztery razy więcej mleka — to, w gruncie rzeczy, nastąpi ten oto raj na ziemi, o którym marzy bezmyślna ludzkość...

Wybacz, odeszłam trochę od tematu... To wszystko wzięło się z myśli, że moje własne życie mało zmieniło się przez ostatnich dziesięć lat. Porządkowanie i prze-myśliwanie wydarzeń — to moje jedyne, intensywne zajęcie przez cały ten czas. To prawda, że można od tego zupełnie oszaleć. Czyż nie tym zajmował się biedny Hamlet i nie przez to brzydził się samym sobą?

Moje dziwne, bezsensowne, podwójne życie toczy się dalej. Tak jak przed dziesięciu laty, nadal żyję na zewnątrz jednym życiem, a na wewnątrz — zupełnie innym. Na zewnątrz, to — jak dawniej — życie wygodne w pobliżu rządowych szczytów i korzyści, a wewnątrz jak dawniej (i jeszcze bardziej niż przedtem), pełne wyobcowanie z tego kręgu ludzi, z ich zainteresowań i obyczajów, ich ducha i czynu, ich słowa i litery. Kiedy ci opowiem jak stopniowo układało się to życie, zrozumiesz, że inaczej nie mogło być ani przedtem ani teraz.

Nie umiem i nie mogę pisać o czymś, czego nie znam i nie widziałam własnymi oczami. Nie jestem publicystą. Nigdy nie podjęłabym się napisania biografii ojca obejmującej dwadzieścia lat ubiegłego wieku i połowę obecnego. Jestem w stanie sądzić tylko to, co sama widziałam i przeżyłam albo to co mieści się w granicach mojego pojmowania. Mogę napisać o moim życiu w domu, z ojcem, w ciągu dwudziestu siedmiu lat; o ludziach, którzy w tym domu żyli lub byli mu bliscy; o wszystkim tym, co nas otaczało i tworzyło układ naszego życia; o tym jak rozmaici ludzie walczyli, a rozmaite dążenia ścierały się w tym układzie; być może, także jeszcze o czymś...

Wszystko to składa się na niewielki fragment życia mego ojca — około jednej trzeciej — taki zupełnie wąski wycinek życia w ogóle. Możliwe, że jest to mikroskopijnie mało. Ale przecież na życie trzeba spojrzeć też przez mikroskop, za bardzo przywykliśmy sądzić wszystko „w zasadzie”, „w ogólnych zarysach”; czy nie stąd cały ten powierzchowny dogmatyzm i niecierpliwość?

Ale przecież życie naszej rodziny, tego ułamka społeczeństwa, było bardzo charakterystyczne czyli, jak mówią krytycy literaccy, typowe.

Wiek dwudziesty, rewolucja — przemieszały i wyrzuciły wszystko z ustalonych miejsc. Pozamieniały się miejscami: bogactwo i bieda, arystokracja i nędzarze. Jakkolwiek jednak by się wszystko nie przetasowało i przemieściło, jakby się nie pozmieniało i porozpadało — Rosja pozostała Rosją. I trzeba jej było dalej żyć, budować, iść naprzód, zdobywać nowe i nadążać za innymi — a chciało się też dogonić i przegonić...

Być może, w tym powszechnym dążeniu, w tym ogólnym potoku, jakim przecież właśnie jest życie, można znaleźć coś ciekawego i w rodzinnych kronikach, w epizodach, portretach ludzi bliskich i nikomu nieznanym. Mówisz, że wszystko jest ciekawe. Ale to dla ciebie tylko wszystko jest ciekawe. Nie jestem wcale pewna, czy zainteresuje to tak głęboko kogoś jeszcze. A dogodzić, rzecz jasna, trzeba ciekawości wszystkich.

Niedaleko od Kuncewa stoi dziś pusty, mroczny dom. Mieszkał tam ojciec przez ostatnie dwadzieścia lat, po śmierci mamy. Powiedziałam, że rzeczy nie mówią nic o ojcu, bo nie przywiązywał on do nich żadnego znaczenia. Może się myłę? Dom ten, w każdym razie, przypomina jakoś życie tych ostatnich dwudziestu lat. Mnie nic z nim nie wiąże, nigdy go nie lubiłam.

Zbudował go w 1934 roku architekt Miron Iwanowicz Mierzanow, który wybudował dla ojca jeszcze kilka innych dacz na południu. Początkowo dom był pięknie zaprojektowany — nowoczesna, lekka, parterowa willa położona wśród ogrodu, lasu, kwiatów. Na górze cały dach był jednym, wielkim solarium — lubiłam tam spacerować i biegać.

Pamiętam, jak wszyscy ci, którzy należeli jeszcze wtedy do naszej rodziny, przyjeżdżali oglądać nowy dom. Było wesoło i gwarno. Była tam moja ciotka Anna Sier-

giejewna (siostra mamy) z mężem — wujem Stachem Redensem, był mój wujek Pawłusza (brat mamy) z żoną Jewgienią Aleksandrowną; byli Swanidze — wuj Alo-sza i ciocia Marusia. Byli moi bracia Jakow i Wasyli. Wszystko toczyło się jeszcze — prawem inercji i tradycji — jak przy mamie, w domu było wesoło i ludno. Wszyscy przywozili ze sobą dzieci, które hałasowały i pełno ich było wszędzie, co ojciec bardzo lubił. Byli tam babcia i dziadek — rodzice mamy. W żaden sposób nie można było powiedzieć, że po śmierci mamy wszyscy krewni odwrócili się od ojca; przeciwnie, starali się go rozerwać, odciągnąć od smutnych myśli, wszyscy poświęcali mu wiele uwagi, a on był ze wszystkimi serdeczny.

Ale już wtedy, tu i ówdzie, po kątach pobłyskiwały binokle Ławrentija — cichutkiego jeszcze wówczas, skromniutkiego... Przyjeżdżał czasem z Gruzji „upaść do nówek”. I nową daczę też przyjechał obejrzeć. Każdy, kto był blisko naszego domu nienawidził go — począwszy od Redensa i Swanidze, którzy znali go jeszcze z czasów pracy w CzeKa w Gruzji. Obrzydzenie do tego człowieka i smutny lęk przed nim były powszechne w kręgu naszych bliskich. Dawno jeszcze (w 1929 roku), mama — jak sam ojciec mi mówił — „robiła sceny, żeby noga tego człowieka nie powstała w naszym domu”.

Ojciec opowiadał mi o tym później, kiedy byłam już dorosła i wyjaśniał: „Pytałem ją — o co chodzi? Przytocz fakty! Nie przekonasz mnie, nie widzę faktów! A ona tylko krzyczała: nie wiem o jakie ci chodzi fakty, widzę przecież, że to łajdak! Nie siądę z nim do jednego stołu! Nu — powiadałem jej wtedy — to i zabieraj się won! To mój towarzysz, dobry czekista, on pomógł nam przewidzieć powstanie mingrelców w Gruzji, ja mu wierzę. Faktów, faktów mi trzeba!”

Biedna moja, mądra mama! Fakty przysły później...

Tak więc, wtedy, w Kuncewie, w Bliższej, bywało wiele osób i było wesoło...



Dziś domu nie można nawet poznać. Przebudowywano go wielokrotnie według planów ojca. Najpewniej nie mógł sobie znaleźć spokoju, bo za każdym razem, ilekroć przyjeżdżał odpoczywać na południe, tyle razy dom przebudowywali na następny sezon. To mu za mało było słońca, to chciał cienistej werandy; jeśli było jedno piętro — dobudowywali drugie, jeśli były dwa — jedno rozbięli...

Tak też było i z Bliską. Jest tam teraz parter i piętro, ale na piętrze nikt nigdy nie mieszkał — przecież ojciec był sam w domu. Może chciał wprowadzić tam mnie, brata, wnuki? Nie wiem, nigdy nam o tym nie mówił. Piętro dobudowano w 1948 roku. Później, w 1949, odbyło się tam w wielkiej sali, ogromne przyjęcie na cześć chińskiej delegacji. Był to jedyny raz, kiedy piętro do czegoś wykorzystano. Potem stało już bezczynnie.

Ojciec zawsze mieszkał na dole i, na dobrą sprawę, w jednym pokoju. Służył mu on za wszystko. Sypiał na kanapie (zaścielali mu ją), na stoliku obok znajdowały się telefony niezbędne w pracy; wielki stół jadalny zawalony był papierami, gazetami, książkami. Na brzeżku tegoż stołu nakrywano mu do posiłków, jeżeli nikogo więcej nie było. Był tu też kredens z zastawą stołową. W jednej z szuflad ojciec miał swoje lekarstwa, które sam sobie wybierał. Jedynym autorytetem medycznym był dla niego akademik W. N. Winogradow, który badał go raz czy dwa razy do roku. W pokoju leżał duży, miękki dywan i znajdował się kominek — jedyne atrybuty wygody i komfortu, które ojciec uznawał i lubił. Wszystkie pozostałe pokoje, zaplanowane niegdyś przez Mierzanowa jako gabinet, sypialnia i jadalnia, zostały przemeblowane w ten sam sposób. Czasami ojciec przenosił się do któregoś z tamtych pokoi nie zmieniając zwykłego trybu życia.

Prawie codziennie (już w ostatnich latach, po wojnie) zjeżdżało do niego „na obiad” całe Politbiuro. Jadalni w wielkiej sali, tam też podejmowano przybyłych

gości. Ja bywałam tam rzadko i widziałam w tej sali tylko w 1946 roku Josipa Broz-Tito, ale przyjmowano tam na pewno wszystkich przywódców bratnich kompartii — Anglików, Amerykanów, Francuzów, Włochów. W tej sali ojciec leżał w marcu 1953 roku i jedna z kanap pod ścianą była jego łóżem śmierci.

Mierzanow urządził w domu pokoje dziecinne. Potem połączyli je w jeden, pozbawiony, jak wszystkie pozostałe, wyrazu — z kanapą, stołem i dywanem na podłodze. Dawniejsza sypialnia była po prostu pokojem przechodnim. Tam stała szafa z ubraniami. Tam też była biblioteka i tam wstawiono fortepian, który w wielkiej sali „przeszkadzał” ojcu. Kiedy ten fortepian pojawił się w domu i po co — nie wiem. Pewnie nikt go nigdy nie używał.

Co było przyjemne w tym domu, to wspinały ogród i przepiękne werandy. Od wiosny do jesieni ojciec spędzał dni na tych werandach. Jedna była oszklona ze wszystkich stron, dwie zaś otwarte na ogród — jedna z dachem, druga bez dachu. Pod koniec życia ojciec szczególnie lubił małą, zachodnią werandkę skąd widać było ostatnie promienie zachodzącego słońca. Wychodziła ona na ogród; także na ogród, wprost na kwitnące wiśnie, wychodziła oszklona weranda dobudowana w ciągu ostatnich lat.

Ogród, kwiaty i las dookoła — to była najmilsza rozrywka ojca, jego odpoczynek, jego zamięłowanie. Nigdy sam nie kopał ziemi, nie brał do rąk łopaty jak to robią prawdziwi miłośnicy ogrodnictwa. Lubiał natomiast, żeby wszystko było uporządkowane, opielone, żeby wszystko jaśniało pysznymi barwami, żeby zewsząd widać było zdrowe, rumiane owoce — wiśnie, pomidory, jabłka — i wymagał tego od swego ogrodnika. Brał czasami do rąk nożyce ogrodnicze i obcinał nimi suche gałązki — była to jego jedyna praca w ogrodzie. Po całym ogrodzie i w lesie (też uporządkowanym, wykoszonym jak park) porozstawiane były rozmaite altanki — z dachem i bez dachu — a także porozkładane zwykłe platformy zbite

z desek, a na nich — stół, wiklinowy leżak, szeszelong. Ojciec wciąż przechadzał się po ogrodzie i, zdawało się, szukał przytulnego, spokojnego miejsca dla siebie — szukał i nie znajdował... Latem, codziennie przeprowadzał się z jednego miejsca na drugie; noszono za nim papiery, gazety, herbatę. To też był jeden z jego „luksusów”, takich jakie rozumiał i jakich pragnął, i w tym przejawiał się jego zdrowy smak życia, jego nienasycona miłość do przyrody, do ziemi, a także jego racjonalizm: w ostatnie lata chciał zdrowia, chciał dłużej żyć...

Kiedy byłem tu u niego ostatni raz, na dwa miesiące przed chorobą i śmiercią, doświadczyłam nieprzyjemnego wstrząsu: na ścianach pokojów i sali porozwieszane były powiększone fotografie dzieci — wycięte chyba z pism — chłopczyk na nartach, dziewczynka karmiąca koziołka mlekiem z butelki, dzieci pod wiśnią i jeszcze jakieś inne... W wielkiej sali pojawiła się cała kolekcja rysunków (reprodukcji, nie oryginałów) artysty Jar-Krawczenki, przedstawiająca sowieckich pisarzy: byli tam Gorki, Szołochow, nie pamiętam kto jeszcze. Tam też wisiała w ramce pod szkłem reprodukcja „Odpowiedzi Zaporozców sułtanowi” Repina — ojciec uwielbiał to dzieło i bardzo lubił powtarzać komu się dało nieprzyzwoity tekst owej odpowiedzi... Wyżej na ścianie wisiał portret Lenina, też nie najbardziej udany. Wszystko to było dla mnie bardzo zaskakujące i dziwne — ojciec w ogóle nigdy nie lubił obrazów ani fotografii. Tylko w naszym mieszkaniu w Moskwie, po maminej śmierci wisiały wielkie fotografie mamy — w jadalni i u ojca w gabinecie. Ponieważ jednak ojciec tam nie mieszkał, nie świadczyło to — w istocie — o niczym... A w ogóle formuła „Stalin na Kremlu”, nie wiadomo przez kogo wymyślona, oznaczać może tylko tyle, że jego gabinet, jego praca znajdowały się na Kremlu, w gmachu Prezydium KC i Rady Ministrów.

Po śmierci ojca dom w Kuncewie przeżył dziwne wy-

darzenia. W dzień po śmierci jego gospodarza — kiedy jeszcze nie był pochowany — wezwano, z polecenia Berii, całą służbę i straż przyboczną, cały zespół obsługujących dachę i oświadczone im, że meble muszą być natychmiast wywiezione (nie wiadomo dokąd) i że wszyscy mają dom opuścić.

Nikt nie mógł z Bериą dyskutować. Do głębi roztrzęsieni, niczego nie rozumiejący ludzie zebrali rzeczy, książki, zastawę stołową, meble, ze łzami ładowali wszystko na ciężarówkę — wszystko wywożono do jakichś składów... a swego czasu nie mało było takich składów w MGB-KGB. Ludzi, którzy przeszli tu ucziwie po dzieśnięć, piętnaście lat wyrzucano na ulicę. Rozgoniono wszystkich, dokąd się dało; wielu oficerów ze straży przybocznej powysyłano do innych miast. Dwóch z nich nawet zastrzeliło się. Ludzie niczego nie pojmowali, nie rozumieli w czym zawinili? Skąd taka na *nich* zawziętość? Ale w sferze działania MGB, którego wszyscy oni byli współpracownikami z racji swoich obowiązków (taki był wówczas porządek ustalony przez samego ojca!), musieli bezwzględnie wykonywać wszelkie zarządzenia władzy zwierzchniej. Dowiedziałam się o tym wszystkim znacznie później, wtedy, w owe dni, mnie nie pytano.

Potem, po upadku Berii, zaczęto przywracać rezydencję do poprzedniego stanu. Zwieziono z powrotem rzeczy. Zaproszono dawniejszych komendantów straży, służące, ci zaś pomogli ustawić wszystko na swoich dawnych miejscach i przywrócić domowi poprzedni wygląd. Przygotowywano tu otwarcie muzeum na wzór leninowskich Górek. Ale tymczasem przyszedł XX zjazd partii, po którym, rzecz jasna, pomysł muzeum nie mógł już przyjść nikomu do głowy. Dziś, w pomieszczeniach służbowych gdzie mieszkała straż przyboczna, mieści się ni to szpital, ni to sanatorium. Sam dom zaś stoi zamknięty, ciemny, martwy. Czasami dom ten, jego ponure, robiące zawsze

wrażenie pustych, pokoje, przychodzą do mnie we śnie; budzę się wtedy zimna z przerażenia...

Wiodąca tu od Pokłonnej Gory droga przemieniła się w aleję, spacerują tam moskwiczanie mieszkający w nowych domach na Kutuzowowskim Prospekcie. Z szosy wiodącej do uniwersytetu widać jak zarósł i zdziczał las wokół tego domu. To mroczny dom, mroczny pomnik. Nie poszłabym tam dziś za żadne skarby, za nic! Może i naprawdę jest on wymownym pomnikiem tego, co nazywa się u nas „epoką kultu jednostki”? Ojciec kochał ten dom, był on w jego guście, udał mu się. Może jego dusza, nie znalazłszy sobie nigdzie miejsca, zechce ukryć się pod tym dachem? Można to sobie wyobrazić. Byłoby to dla niej najbardziej właściwe mieszkanie...

Ale kiedyś mieliśmy i my inny dom. Tak, wyobraź sobie, mój miły przyjacielu, że mieliśmy kiedyś zupełnie inny dom — wesoły, słoneczny, brzmiący dziecinnymi głosami, pełen wesołych, serdecznych ludzi, pełen życia. W tym domu gospodarzyła moja mama. Ona stworzyła ten dom, nasyciła go sobą i ojciec nie był tam ani bogiem, ani „kultem”, a po prostu zwykłym ojcem rodziny. Dom ten nazywał się „Zubałowo” od nazwiska starego, przedrewolucyjnego właściciela, i oddalony jest teraz ode mnie o dwa kilometry, stoi niedaleko stacji Usowo.

Tam moi rodzice mieszkali od 1919 do 1932 roku, do matki śmierci. A potem ojciec mój nie mógł już pozostać ani tam, ani w starym, miejskim mieszkaniu — zmienił mieszkanie na Kremlu (mieszkałyśmy w nim już tylko my, dzieci) i zbudował sobie nową dachę, Bliską, w Kuncewie. Dzieci, krewni (zanim ich jeszcze nie porozpędzano i nie aresztowano), dziadek i babcia — wszyscy, po dawnemu, zostawali na lato w Zubałowie. Ale bez mamy wszystko stało się zupełnie inne, wszystko zmieniło się nie do poznania...

Chcę powrócić wstecz, do słonecznych, dziecinnych lat, do tych czasów, które dla nas, dzieci, mijały bez-

chmurnie w ramach życia organizowanego i tworzonego przez mamę. Były to bajeczne lata. Mijały one gdzieś tu, blisko, w tej okolicy — rozumiesz teraz dlaczego w żaden sposób nie mogę oderwać się od tej tu Żukowki, gdzie siedzę właśnie teraz w lesie i piszę?

Opowiem ci o tych czasach.

Słoneczny dom, w którym przeszło moje dzieciństwo, należał uprzednio do młodszego Zubałowa, przemysłowca naftowego z Batum. On i jego ojciec, starszy Zubałow, byli krewnymi Majndorfa, właściciela majątku w Barwisze — dziś jeszcze stoi tam, nad jeziorem, jego dom w gotyckim, niemieckim stylu, zamieniony na klub. Do Majndorfa należał cały ten obszar razem z tartakiem pod Usowem, niedaleko którego powstał potem słynny sowchoz hodowli ptactwa „Gorki II”. Stacja Usowo, poczta, tor kolejowy wiodący do tartaku (dziś zapuszczony i zniszczony), a także cały ten cudny las ciągnący się do Odincowa — uporządkowany jeszcze przez leśnika-Niemca, z jodłowymi alejami w przesiekach, gdzie odbywano konne przejażdżki — wszystko to należało do Majndorfa. Zubałowowie posiadali także dwa dwory położone niedaleko od stacji Usowo, obydwie w stylu niemieckim muryrowane, o spiczastych dachach, otoczone masywnym ogrodzeniem, także z cegły, krytym dachówką.

A ponadto jeszcze, Zubałowowie zarządzali rafineriami naftowymi w Batumi i Baku. Nazwisko to było dobrze znane mojemu ojcu i A. I. Mikojanowi, bowiem w latach dziewiętnastych organizowali strajki i kierowali kółkami robotniczymi w tychże samych zakładach. A kie-

dy po rewolucji, w 1919 roku, mieli możliwość wykorzystania pozostawionych pod Moskwą pustych dacz i siedzib, to przypomnieli sobie znajome nazwisko Zubałowów.

A. I. Mikojan z rodziną i dziećmi, a także K. E. Woroszyłow, Szaposznikow i wiele innych rodzin starych bolszewików zamieszkało w Zubałowie-2, a mój ojciec i mama — w pobliżu, w Zubałowie-4, gdzie dom był mniejszy od innych.

Na daczcy A. I. Mikojana do dziś pozostało wszystko w takim stanie, w jakim rzucili dom jego emigrujący gospodarze. Na ganku — marmurowy pies, ulubieniec gospodarza; wewnątrz — marmurowy posąg przywieziony swego czasu z Włoch; na ścianach — stare, francuskie gobeliny; w oknach pokojów na dole — różnobarwne witraże. Park, ogród, kort tenisowy, oranżeria, szklarnie, stajnia — wszystko pozostało tak, jak było. Ilekroć trafiałam do tego miłego domu dobrych, starych przyjaciół, zawsze z wielką przyjemnością wchodziłam do starej jadalni z wciąż tym samym rzeźbionym kredensem, staromodnym żyrandolem i tym samym, starym zegarem na kominku. I oto już dziesięcioro wnucząt Anastasa Iwanowicza ugania się po tych gazonach przed domem, a potem je obiad za tym stołem pod drzewami, gdzie rosło jego pięciu synów, gdzie bywała moja mama, która przyjaźniła się z nieżyjącą już gospodynią tego domu.

W naszym wieku błyskawicznych przewrotów i gwałtownych metamorfoz niezwykle przyjemność sprawia obraz stałości i silnych tradycji rodzinnych — tam, gdzie jeszcze one przetrwały...

Nasza siedziba przemieniała się nieustannie. Ojciec szybko kazał oczyścić las wokół domu, połowę wyrąbać — zarysowały się przesieki; zrobiło się jaśniej, cieplej, bardziej sucho. Las utrzymywano w porządku, opiekowano się nim, wygarniano wiosną uschłe liście. Przed domem rósł piękny, przezroczysty, jaśniejący bielą gaik brzozowy, w którym my, dzieci, zbierałyśmy zawsze grzy-



by. W pobliżu zbudowano pasiekę a dwie polanki tuż przy niej zasiawano co roku gryką, dla miodu. Działki pozostawione wokół pięknego, suchego sosnowego lasu także skrupulatnie sprzątano; tam rosły poziomki, czarne jagody i powietrze było jakoś szczególnie świeże, odurzające. Dopiero później, kiedy dorosłam, zrozumiałam ten jedyny w swoim rodzaju pociąg ojca do przyrody, to praktycznie zainteresowanie, które — w gruncie rzeczy miało charakter głęboko chłopski. Ojcu nie wystarczało zwykłe obcowanie z przyrodą, musiał w niej gospodarzyć, wciąż coś przeobrazać. Na większych działkach posadzono drzewa owocowe, mnóstwo truskawek, malin, porzeczek. W pewnym oddaleniu od domu ogrodzono siatką niewielką polankę i założono hodowlę bażantów, perliczek, indyczek; w małym basenie pływały kaczki. Wszystko to nie pojawiło się od razu, a rozkwitało stopniowo, rozrastało się i my, dzieci, rosłyśmy właściwie w warunkach małego, ziemiańskiego dworu z jego wiejskim sposobem życia — sianokosami, zbieraniem grzybów i jagód, świeżym, corocznym, „własnym” miodem, „własnymi” solonymi i marynowanymi zapasami, „własnym” ptactwem.

Całe to gospodarstwo, prawdę mówiąc, bardziej zajmowało ojca niż mamę. Mama zatroszczyła się tylko o to, żeby wiosną, przy domu, kwitły wielkie krzaki bzu i zasadziła pod balkonem całą aleję jaśminów. I ja miałam swój własny, maleńki ogródek, w którym niania uczyła mnie grzebać się w ziemi i siać nasturcje i nagietki.

Bardziej niż o cokolwiek innego mama troszczyła się o nasze wykształcenie i wychowanie. Moje dzieciństwo przy mamie trwało wszystkiego sześć i pół lat, ale przez ten czas umiałam już pisać i czytać po rosyjsku i po niemiecku, rysowałam, lepiłam, kleiłam i pisałam dyktanda, za które otrzymywałam oceny. Mój brat i ja mieliśmy szczęście: mama wyszukiwała dla nas znakomitych wychowawców (o mojej niani opowiem osobno). Szczególnie potrzebny był dobry wychowawca dla mojego bra-

ta, Wasyla, który uchodził za „trudne dziecko”. Zajmował się nim cudowny człowiek, „nauczyciel” (jak go nazywano), Aleksander Iwanowicz Murawjew, który obmyślał ciekawe wycieczki do lasu, nad rzekę, połowy ryb, noclegi nad rzeką w szałasie z gotowaniem zupy rybnej, wyprawy na orzechy, na grzyby i jeszcze Bóg wie co. Rzecz jasna, przyświecał temu cel dydaktyczny, odbywało się to na zmianę z zajęciami, czytaniem, rysowaniem, hodowaniem królików, jeży, węży i innymi pożytecznymi, dziecięcymi zabawami.

Na zmianę z Aleksandrem Iwanowiczem, spędzała z nami wszystkie dni, latem i zimą, wychowawczyni (nazywanie jej „guwernantką” było wówczas nie przyjęte) Natalia Konstantinowna, która uczyła nas lepienia z gliny, wycinania rozmaitych drobiazgów z drewna, malowania i rysowania i już sama nie wiem czego jeszcze... Ona też uczyła nas języka niemieckiego. Nie zapomnę jej lekcji — były zajmujące, pełne zabawy. Była bardzo utalentowanym pedagogiem.

Cała ta edukacyjna machina obracała się puszczona w ruch maminą ręką — mamy przecież nigdy nie było w domu, przy nas. W owe czasy nie wypadało kobiecie, a zwłaszcza partyjnej, spędzać czas przy dzieciach. Mama pracowała w redakcji czasopisma, a potem wstąpiła na Akademię Przemysłową, gdzie wiecznie przesiadywała, zaś swój wolny czas poświęcała ojcu — on był jej całym życiem. Nam, dzieciom, dostawały się zazwyczaj tylko jej uwagi i oceny, przegląd naszej wiedzy. Była srogą, wymagającą matką i nie pamiętam zupełnie jej czułości: bała się mnie rozpieścić, zwłaszcza, że i tak kochał mnie, pieścił i rozpuszczał ojciec. Oczywiście nie rozumieliśmy jeszcze wtedy, że to jej zawdzięczamy wszystkie nasze rozrywki i zabawy, całe nasze wesołe i ciekawe dzieciństwo. Zrozumieliśmy to później, kiedy jej zabrakło...

A jakie cudowne bywały u nas w domu uroczystości dziecięce! Zapraszało się dzieci — 20-30 osób, cały ów-

czesny Kreml. Na Kremlu mieszkało wtedy bardzo wielu ludzi żyjących prostym, wesołym życiem. Po długich przygotowaniach z Aleksandrem Iwanowiczem i Natalią Konstantinową organizowano przy każdej okazji występy dziecięce.

Pamiętam mój ostatni (przy mamie) dzień urodzin, w lutym 1932 roku, kiedy skończyłam sześć lat. Świętowano go w mieszkaniu na Kremlu — było mnóstwo dzieci. Odbył się dziecięcy koncert: niemieckie i rosyjskie wiersze, kuplety o „szturmowcach” i „dwulicowcach”, ukraiński hopak w narodowych strojach zrobionych przez nas samych z gazy i kolorowego papieru. Artiom Siergiejew (dziś generał, kawaler wszystkich orderów, a wtedy rówieśnik i towarzysz mego brata Wasyla) na czworakach, przykryty dywanem z niedźwiedziej skóry, udawał niedźwiedzia, a ktoś inny czytał bajkę Kryłowa. Publiczność była rozentuzjasmowana.

Na ścianach rozwieszono nasze dziecięce gazetki ściennie i rysunki. A potem całe bractwo — dzieci i rodzice — przeszli do jadalni na herbatę, ciastka i łakocie. Ojciec także brał udział w uroczystości. Był wprawdzie tylko biernym widzem, ale bawiło go to; czasami, dla rozrywki, lubił dziecięcy rwetes.

Wszystko to na zawsze wryło mi się w pamięć. A nasz cudny, dziecięcy plac w lesie, w Zubałowie! Były tam i huśtawki i deska przerzucona przez koziół i „robinsonowski domek” — platforma z desek umocowana między trzema sosnami, na którą trzeba było wdrapywać się po sznurowej drabinie. I zawsze któreś z dzieci było u nas w odwiedzinach. U Wasyla, w jego pokoju, mieszkali stale Artiom Siergiejew albo Tola Ronin; u mnie często bywała Ola Strojewa (córka starej przyjaciółki mamy), a latem na dacy „Kozia” mieszkała z nami zawsze — Swietłana Bucharina ze swoją matką Esfirią Gurwicz.

Dom był zawsze ludny. Latem często mieszkał u nas w Zubałowie Nikołaj Iwanowicz Bucharin, którego

wszyscy ubóstwiali. Zapełniał on dom zwierzętami, które bardzo kochał. Po balkonie biegały jeże, w słojach leżały węże, po parku uganiał się oswojony lis, w klatce siedział zraniony jastrząb. Ze smutkiem wspominam N. I. Bucharina w sandałach, „tołstojowce” i szerokich, letnich spodniach. Bawił się z dziećmi, przekomarzał z moją nianią, uczył ją jeździć na rowerze i strzelać z wiatrówki; z nim wszystko stawało się wesołe. Przez wiele lat, kiedy go już zabrakło, po Kremlu — bezludnym już i pustym — biegał jeszcze „lis Bucharina” i krył się przed ludźmi w Tajnickim Ogrodzie...

Bywał też u nas w Zubałowie przez dłuższy czas G. K. Ordzonikidze; przyjaźnił się on bardzo z ojcem, a mama — z jego żoną Ziną. Nie podejmuję się dziś wymienić nazwisk ludzi, którzy gościli i bywali u nas — wielu nie pamiętam, bo byłam wtedy mała, a nie bardzo chcę się pytać innych, którzy pamiętają; chcę przecież zresztą napisać tylko o tym, co sama znałam, pamiętam, widziałam.

Dorośli też często się bawili — pewnie przy okazji świąt, albo urodzin... Pojawiał się wtedy S. M. Budionnyj z wielkim akordeonem i rozlegały się pieśni — ukraińskie, rosyjskie. Szczególnie dobrze śpiewali S. M. Budionnyj i K. E. Woroszyłow. Ojciec też śpiewał, miał doskonały słuch i wysoki, czysty głos (a mówił, nie wiedzieć czemu, zupełnie inaczej — głosem niskim, głuchym i powściągliwym). Nie wiem czy mama śpiewała, czy nie, ale powiadają, że przy niezwykle rzadkich okazjach potrafiła płynnie i pięknie zatańczyć lezginkę. Na ogół jednak nie kultywowało się u nas w domu gruzińskości — ojciec zrusyfikował się do cna.

I w ogóle, w owe lata, „kwestia narodowa” nie pasjonowała jakoś ludzi — bardziej interesowały ich wartości ogólnoludzkie. Mój brat Wasyli powiedział raz do mnie: „A wiesz, że ojciec *był kiedyś* Gruzinem?” Miałam sześć lat i nie wiedziałam co to takiego — „być Gruzinem”;

Wasyli mi wyjaśnili: „Oni chodzili w czerkieskach i zarzynali wszystkich kindżałami”. Oto i wszystko, co wiedzieliśmy wówczas o naszym narodowym pochodzeniu. Ojciec wpadał w pasję kiedy przyjeżdżali towarzysze z Gruzji i, jak to jest w zwyczaju — Gruzini żyć bez tego nie mogą! — przywozili ze sobą szczodre podarunki: wino, winogrona, owoce. Wszystko to przysyłano do nas do domu, a następnie, przy akompaniamencie łąań ojca, odsyłano z powrotem, a cała wina spadała na „rosyjską żonę” — mamę... Mama sama urodziła się i wychowała na Kaukazie i kochała Gruzję i znała ją doskonale. W tych czasach jednak, rzeczywiście, owa „szczodrość” na państwowym rachunek nie budziła jakoś wdzięczności...

W naszym domu, w kremłowskim mieszkaniu, gospodarzyła wyszukana przez mamę Karolina Wasiliewna Til, Niemka z Rygi. Była to przemiła starsza kobieta ze staroświecką, szcisaną ku górze fryzurą — całą w grzebykach, z kokiem na karku, czyściutka, obrotna, bardzo dobra. Mama powierzała jej cały nasz skromny budżet. Ona zajmowała się jedzeniem zarówno dorosłych jak i dzieci i w ogóle prowadziła dom. Mówię, rzecz jasna, o tych czasach, które sama pamiętam, czyli o latach 1929-1933, kiedy w naszym domu zapanował wreszcie, dzięki mamie, jakiś porządek oparty na tych skromnych środkach, które przyznawano wówczas pracownikom partii. Przedtem mama zupełnie sama prowadziła gospodarstwo, otrzymywała jakieś przydziały, kartki, i o żadnej służbie nie mogło być nawet mowy. W każdym razie, ważne jest to, że wtedy dom żył normalnym życiem, którym kierowała jego gospodyni; nie było jeszcze żadnych śladów obecności czekistów czy straży przybocznej. Jedyne „ochraniający” jeździł tylko z ojcem w samochodzie i nie miał żadnego związku z domem. Nawet i nie zbliżał się za blisko...

Tak też mniej więcej żyła wtedy cała „sowiecka góra”. Nikt nie dążył do dobrobytu, do wzbogacenia się.

Starano się dać wykształcenie dzieciom, najmowano dobre guwernantki i niańki (te „starej daty”), a wszystkie żony pracowały, starały się dużo czytać. Sport dopiero wchodził wówczas w modę — grano w tenisa, budowano korty i boiska do krokieta. Kobiety nie uganiały się za łażkami i kosmetykami — i bez tego były piękne i pociągające.

Hołdując swojej ustalonej tradycji rodzice jeździli latem na odpoczynek do Soczi. W 1930 czy 1931 roku po raz pierwszy zabrali i mnie. Zatrzymywali się wówczas w małej daczce koło Macesty, gdzie ojciec brał kąpiele przeciw reumatyzmowi. Dopiero po śmierci mamy zbudowano specjalnie dla ojca kilka innych dacz. Moja mama nie zdążyła zakosztować późniejszego luksusu nieograniczonych środków państwowych — wszystko to przyszło po jej śmierci kiedy sam dom stał się urzędowy, nabrał wojskowego charakteru i gospodarstwo zaczęli prowadzić pełnomocnicy MGB. Przy mamie życie wyglądało normalnie i skromnie.

W tamtych latach, zawsze ktoś dzielił z rodzicami odpoczynek na południu: A. S. Enukidze (chrzestny mamy i wielki przyjaciel naszego domu), A. I. Mikojan, K. E. Woroszyłow, W. M. Mołotow, wszyscy z żonami i dziećmi. Zachowały się u mnie fotografie z wesołych, leśnych pikników, na które wszyscy wyruszali samochodem — wszystko to było proste, wesołe.

Ojciec dla rozrywki strzelał czasem z dubeltówki do sępów, albo nocą do zajęcy, który wpadały w światła lamp samochodu. Bilard, kręgle, „gorodki”, wszystko, co wymagało bystrego oka — to były sporty ojca. Nigdy nie pływał, po prostu nie umiał, nie lubił siedzieć na słońcu a i spacerować tylko po lesie, w cieniu. Ale i to szybko go nużyło i wołał położyć się na leżaku z książką, ze swoimi roboczymi papierami lub gazetami; godzinami za to potrafił siedzieć z gośćmi za stołem. To już jest czysto kaukaski obyczaj: wielogodzinne przyjęcia, pod-

czas których nie tylko piją i jedzą ale załatwiają też, nad talerzami, wszelkie sprawy — rozpatrują, sądzą, dyskutują. Mama przywykła do tego sposobu bycia i nie знаła innych rozrywek bardziej odpowiadających jej wiekowi i płci. Była pod tym względem idealną żoną. Zdarzyło się nawet kiedyś — byłam jeszcze wtedy zupełnie maleńka i mama musiała mnie karmić — że ojciec przebywający na wycieczce w Soczi nagle lekko zachorował. Bez wahania mama zostawiła mnie z niańką i kozą „Niuśką” i pojechała do ojca. Tam było jej miejsce, a nie przy dziecku.

Jednym słowem my też mieliśmy dom jak każdy inny — z przyjaciółmi, krewnymi, dziećmi, domowymi świętami. Tak też było w naszym miejskim mieszkaniu a zwłaszcza latem, w Zubałowie.

Z głuchej, gęsto zarośniętej posiadłości z ciemnym domem krytym spiczastym dachem i pełnym staroświeckich mebli, Zubałowo zmieniło się dzięki ojcu — w słoneczny, przestrzenny dworek otoczony sadami, ogrodami i pożytecznymi zabudowaniami gospodarczymi. Dom przebudowano: zabrano stare meble, zdjęto wysokie, gotyckie dachy, zaprojektowano na nowo pokoje. Tylko w małym pokoiku mamy zachowały się — pamiętam je jeszcze — krzesła, stół i wysokie, stojące lustro w złoczonej ramie i ze złoczonymi nóżkami. Ojciec i mama mieszkali na piętrze, a dzieci, babcia, dziadek, wszyscy goście — na dole.

Mimo młodego wieku mamy (w 1931 roku skończyła 30 lat) wszyscy ją w domu szanowali i, trzeba powiedzieć po prostu — bardzo ją kochali. Była piękna, mądra, nadzwyczaj delikatna w obęjściu ze wszystkimi, bez wyjątku, a przy tym — bardzo twarda, uparta i wymagająca tam, gdzie jej zdaniem nie można było pójść na ustępstwa. Tylko jej jednej udawało się pogodzić jakoś i zaprzyjaźnić ze sobą nawzajem naszych krewnych najroz-

maitszych poglądów i takichże charakterów. Była uznaną głową domu.

Wielką czułością i prawdziwą miłością otaczała mama Jaszę, mojego starszego brata, syna mego ojca z pierwszej żony — Jekatieriny Siemienowny Swanidze. Jasza był tylko o siedem lat młodszy od swej macochy. On też bardzo ją szanował i kochał. A ona robiła wszystko, co w jej mocy, żeby okrasić mu jego nie lekkie życie, pomagała mu przy jego pierwszym ślubie, broniła przed ojcem, który był wobec niego niesprawiedliwy i traktował go z niezasłużonym chłodem. Mama bardzo przyjaźniła się z całą rodziną Swanidze — z siostrami (Saszko i Mariko) pierwszej, młodo zmarłej, żony ojca, z jej bratem Aleksandrem Siemionowiczem i jego żoną Marią Anisimowną (ciocią Marusią). Rodzice mamy, jej bracia — wuj Fiedia i wuj Pawłusza, jej siostra Anna Siergiejewna z mężem Stanisławem Francewiczem Redensem — wszyscy oni regularnie bywali w naszym domu tworząc razem jedną, wielką, przyjaźniącą się rodzinę. Nie było rozdzwieków, nie było małodusznych kłótni, nie zalatywało drobnomieszczanstwem.

W owe lata istniał wokół ojca krąg ludzi bliskich, biorących życie rzeczowo — takim, jakim ono było, pracujących w najróżniejszych dziedzinach i każdy z nich przychodził z własną opowieścią i własnymi poglądami. Wtedy, w ciągu tamtych lat, ojciec nie mógł być odgrodzony od życia. To przyszło później, wraz z izolacją od wszystkich szczerych, uczciwych, równych mu i bliskich ludzi — tych, którzy mu dobrze życzyli.

Aleksander Siemionowicz Swanidze był wielkim specjalistą w sprawach finansowych. Mieszkał on długo i pracował za granicą — w Londynie, Genewie, Berlinie; należał do kręgu tych marksistów, którzy otrzymali europejskie wykształcenie. Wujek Pawłusza był wojskowym z wielkim doświadczeniem z wojny domowej i pracy w Sztapie i w Akademii; Redens był jednym z towarzyszy



Dzierżyńskiego i starym, doświadczonym czekistą. Ich żony — ciocia Marusia, śpiewaczka operowa, ostra w języku ciocia Żenia i Anna Siergiejewna — a także babcia i dziadek, starzy bolszewicy, wszyscy oni przynosili ojcu nowiny, a on sam nawet prosił ich czasem by trochę „poplotkować”. Krąg ten był źródłem nieprzekupnej informacji — rzetelnej, nie lizusowskiej. Utworzył się on wokół mamy i rozproszył wkrótce po jej śmierci — najpierw stopniowo, a po 1937 roku — ostatecznie i nieodwracalnie.

Wszyscy ci ludzie zasługują na to, aby o nich osobno napisać. Były to niezłomne charaktery, śmiałe i ciekawe. Prawie dla każdego z nich życie urwało się nagle i tragicznie, nie dane było ich ciekawemu, skrzącemu się talentem przeznaczeniu wypełnić się do końca. Z szacunku dla ich pamięci, z głębokiego uznania i miłości do nich za to czym dla mnie byli — kiedyś, w tym słonecznym domu, który zwie się „dzieciństwem” — muszę ci o nich opowiedzieć. Pokochałbyś ich wszystkich, gdybyś mógł ich znać i widzieć...

A ponadto, w naszym wieku zdumiewająco mieszają się i splatają w jeden węzeł losy najprzeróżniejszych ludzi. Nagle i nieoczekiwanie zmieniają się biografie, losy biegną w górę, w dół — tuż po niewiarygodnym wzlocie następuje ruina, upadek... Rewolucja, polityka bezlitosnej obojętności wobec człowieczego losu, życia... I dlatego myślę, że kroniki rodzinne nie są bezużyteczne... Zawsze tkwią w nich jakieś ziarna historycznej problematyki, no a w ogóle, jakaż wymyślona problematyka dorównać może prawdziwemu, realnemu życiu konkretnego człowieka?

Nie potrafisz pojąć charakteru mojej mamy ani całego jej niedługiego życia, jeśli nie opowiem ci o jej rodzicach. Ich życie też jest bardzo ciekawe i bogate w charakterystyczne cechy tamtych czasów. Przede wszystkim, już sam ich przykład dla mamy, jej dzieciństwo i wychowanie — ukształtowały ją i w dużym stopniu jej naturę.

Dziadek nasz, Siergiej Jakowlewicz Allilujew, interesująco opisał swoje życie w księdze wspomnień, która ukazała się w 1946 roku. Wydano ją jednak nie w całości, lecz wielkimi skrótami\*. Wznowili ją w 1954 roku, ale jeszcze bardziej skracając i to wydanie jest już zupełnie nieciekawe.

Dziadek wywodził się z chłopów woroneżskiej gubernii, ale nie był Rosjaninem czystej krwi, miał silną domieszkę krwi cygańskiej — jego babka była Cyganką. Po Cyganach najpewniej wziął się u wszystkich Allilujewów południowy, nieco egzotyczny wygląd, czarne oczy i oślepiająco białe zęby, smagłość skóry, szczupłość. Cechy te wystąpiły szczególnie wyraziście u mamy i jej brata Pawłuszy (wyglądał zupełnie jak Hindus z pewnym podobieństwem do młodego Nehru). Być może po Cyganach też odziedziczył dziadek nieposkromioną żądzę

---

\* Wydał ją Instytut Marksa-Engelsa-Lenina w Moskwie, tam też przechowany jest rękopis.

wolności i pociąg do przenoszenia się z miejsca na miejsce.

Ten woroneżski chłop szybko wyuczył się najrozmaitszych rzemiosł, a ponieważ miał talent do wszelkiej techniki — były to zaiste złote ręce — wkrótce został ślusarzem i zaczął pracować w zakaukaskich warszatatach kolejowych. Gruzja i jej słoneczna przyroda, na całe życie zapadły w serce dziada, ukochał on leniwe, egzotyczne piękno południa, znał i rozumiał dobrze charakter Gruzinów, Ormian, Azerbejdżanów. Mieszkał w Tbilisi, w Baku, w Batumi. Tam, w kółkach robotniczych, poznał socjaldemokratów — M. I. Kalinina i I. Fioletowa — i już w 1898 roku był członkiem RSDRP (Russkaja Socjał-Demokraticzeskaja Raboczija Partia). Bardzo ciekawie opisał to wszystko w swoich wspomnieniach — Gruzję tamtych lat, wpływ czołowej inteligencji rosyjskiej na gruziński ruch narodowo-wyzwoleńczy i ów tak charakterystyczny dla zakaukaskiego ruchu rewolucyjnego internacjonalizm (który, niestety, znikł wkrótce potem).

Dziadek nie był ani teoretykiem ani też, w żadnej mierze, wybitnym działaczem partii. Był jej żołnierzem, człowiekiem do czarnej roboty, jednym z tych, bez których niemożliwe było ani utrzymanie łączności wewnątrzpartyjnej, ani prowadzenie tajnej roboty ani wreszcie dokonanie samej rewolucji. Potem, w latach dziewięćsetnych, mieszkał z rodziną w Petersburgu i pracował jako majster w tamtejszym Towarzystwie Oświecenia Elektrycznego. Pracował zawsze doskonale, ceniono go jako pierwszorzędnego technika i znawcę w swoim zawodzie. W Petersburgu dziadek i jego rodzina mieli niewielkie, czteropokojowe mieszkanie — naszym dzisiejszym profesorom takie mieszkanie wydaje się szczytem marzeń... Jego dzieci uczęszczały w Petersburgu do gimnazjum i wyrosły na prawdziwych, rosyjskich inteligentów — takimi już zastała ich rewolucja 1917 roku. Opowiem jeszcze o tym wszystkim później.

Po rewolucji dziadek pracował w resorcie elektryfikacji — budował Szatarską Elektrownię Wodną mieszka-  
jąc dłuższy czas tam, na miejscu, i nawet był kiedyś  
prezesem towarzystwa Lenenergo. Jako stary bolszewik  
silnie związany ze starą rewolucyjną gwardią — znał  
wszystkich i wszyscy jego znali i kochali. Był zadziwiają-  
co subtelny, przyjazny, miękki i łagodny ze wszystkimi,  
a przy tym cechy te łączyły się z wewnętrznym hartem  
i bezkompromisowością, tworząc integralną całość jego  
charakteru. Do końca życia (zmarł w 1945 roku mając  
79 lat) potrafił jakoś zachować swoje dumne „ja”, swą  
duszę rewolucjonisty-idealisty z dawnych czasów, czys-  
tość, nadzwyczajną uczciwość i przyzwoitość. Zachowu-  
jąc te wszystkie wartości on, człowiek miękki, umiał  
również być twardym z tymi, dla których były one  
niezrozumiałe i niedostępne.

Wysoki, szczupły nawet w starości, wymachujący dłu-  
gimi, patykowatymi rękami i nogami, zawsze nienagan-  
nie, odpowiednio i nawet może nieco wyzywająco ubrany  
— to już była petersburska szkoła — ze swą brodą  
w klinek i siwymi wąsami — dziadek przypominał tro-  
chę M. I. Kalinina. Nawet chłopcy na ulicy wykrzykiwali  
za nim: „Dziadzio Kalinin!” Do starości zachował dzia-  
dek żywy blask czarnych, gorących jak węgiel oczu i umie-  
jętność wybuchania ni z tego ni z owego wesołym,  
zaraźliwym śmiechem.

Dziadzio mieszkał u nas, w Zubałowie, uwielbiany  
przez swoje wszystkie liczne wnuki. Miał w swoim po-  
koju warsztat stolarski, najróżniejsze narzędzia, mnóstwo  
jakichś zadziwiających żelazek i drutów — innymi słowy  
pełno tych rzeczy, na widok których my, dzieci, zamie-  
rałyśmy z zachwytem. A on zawsze pozwalał nam grzebać  
się w tym królestwie i brać co dusza zapagnie. Wiecznie  
majstrował — spajał, toczył, strugał, robił rozmaite, nie-  
zbędne w gospodarstwie drobiazgi, naprawiał przewody  
elektryczne. Wszyscy zwracali się do niego o pomoc

i radę. Lubił chodzić na dalekie spacery. Przyłączały się do nas dzieci wuja Pawłuszy zamieszkałe w Zubałowie-2 (tam właśnie, gdzie mieszkał A. I. Mikojan) albo syn mamej siostry Anny Siergiejewny. Dziadzio lubił bawić wnuki i chodzić z nimi do lasu na orzechy lub grzyby. Pamiętam jak sadzał mnie sobie ramiona kiedy już byłam zmęczona spacerem. Płynęłam wtedy wysoko, wysoko nad ścieżką, którą wlekli się pozostali i dosięgałam rękami orzechów na gałęziach.

Śmierć mamy załamała dziadka: zmienił się, stał się zamknięty w sobie, bardzo cichy. Zawsze zresztą był skromny i nienarzucający się nie cierpiał zwracania na siebie uwagi. Ta dyskrecja, delikatność i miękkość były jego wrodzonymi cechami. A może zresztą nabył je obcując z tą wspaniałą, rosyjską inteligencją, z którą na całe życie związała go rewolucja. Po 1932 roku dziadek jak gdyby skrył się w sobie, przesiadywał długo w swoim pokoju wytaczając coś i majsterkując. Stał się jeszcze czulszy dla wnuków. Mieszkał albo u nas, albo u córki Anny, siostry naszej mamy, ale przeważnie był z nami, w Zubałowie. Potem zaczął chorować. Najpewniej dusza jego chorowała bardziej niż ciało — w ogóle cieszył się żelaznym zdrowiem — i stąd poszły wszystkie inne dolegliwości.

W 1938 roku umarł mamy brat Pawłusza. W roku 1937 aresztowano męża Anny Siergiejewny — Stanisława Redensa, a po wojnie, w 1948 roku, trafiła do więzienia i sama Anna Siergiejewna. Dzięki Bogu, dziadzio nie dożył tego — w czerwcu 1945 roku zmarł na raka żołądka, którego zbyt późno wykryto. Dolegliwości jego nie były chorobą starości, nie brały się z ciała. Cierpiał w duszy, ale nigdy nie dokuczał nikomu narzekaniem, prośbami czy pretensjami.

Jeszcze przed wojną zaczął pisać pamiętniki. W ogóle lubił pisać. Otrzymywałam od niego wówczas długie listy z południa, ze szczegółowymi opisami południowych

czarów, które tak bardzo kochał i rozumiał. Miał pyszny styl Gorkiego — bardzo zresztą lubił Gorkiego jako pisarza i zgadzał się z nim całkowicie w tym, że każdy człowiek powinien opisać swoje życie. Pisał dużo i ciekawie, ale, niestety, nie dożył druku swojej książki choć jego stary przyjaciel M. I. Kalinin energicznie zarekomendował do wydania rękopis „jednego z najstarszych bolszewików i urodzonego buntownika”.

W ostatnim roku życia dziadka choroba postępowała szybko. Strasznie schudł. Widziałam go niedługo przed śmiercią w szpitalu i przestraszyłam się na jego widok. Wyglądał jak żywy trup, nie mógł już mówić, a tylko zakrył ręką oczy i zapłakał — rozumiał, że przychodzą do niego, aby się pożegnać... W trumnie swą piękną, wychudzoną i delikatną twarzą, cieniutkim nosem z małym garbem, śnieżnobiałymi wąsami i brodą przypominał hinduskiego świętego. Trumna stała w sali Muzeum Rewolucji, gdzie odwiedziło ją wielu ludzi, wielu starych bolszewików. Na cmentarzu stary rewolucjonista Litwin-Siedoj wyrzekł słowa, których wtedy dobrze nie pojęłam, ale które zapamiętałam na całe życie a dziś tak dobrze rozumiem ich sens: „My, stare pokolenie rewolucjonistów-idealistów...”

Historia związku dziadka i babci jest niezwykle romantyczna. Dla niego, dla młodego robotnika tyfliskich warsztatów, babcia uciekła z domu wyrzuciwszy przez okno zawiniątko z rzeczami. Nie miała jeszcze wtedy czternastu lat, nie było w tym jednak nic nadzwyczajnego, bo w Gruzji, gdzie babcia urodziła się i wyrosła, młodość i miłość przychodzą wcześniej.

Nadzwyczajne było to, że babcia porzuciła swój w miarę dostatni dom, ukochanych rodziców i liczną rodzinę — braci i siostry — dla dwudziestoletniego, biednego ślusarza. Jako pamiątkę z rodzinnego domu babcia pieczołowicie przechowywała fotografię: całe rodzinne bractwo w bryczce przed domem, ukochany koń, obok leży

pies, woźnica dzierży uzdę, a wszyscy domownicy, jakby kij połknęli, patrzą z bryczki prosto w obiektyw...

Babcia nasza, Olga Jewgieniewna, z domu Fiedorenko, urodziła się i wychowała w Gruzji. Kochała ten kraj i jego naród jak własną ojczyznę. Pochodzenie jej przedstawiało sobą przedziwny zlepek narodowości. Jej ojciec Jewgienij Fiedorenko, mówił po gruzińsku, matka jego była Gruzinką. Ożenił się natomiast z Niemką Magdaleną Eichholtz z rodziny niemieckich kolonistów. Jeszcze od czasów Katarzyny II były w Gruzji kolonie Niemców, którzy mieszkali w swoich osadach. Magdalena Eichholtz nienagannie zarządzała swoją małą piwiarnią, znakomicie przyrządzała rozmaite „kuchen”, urodziła dziewięcioro dzieci (ostatnie, Olga, to nasza babcia) i prowadziła je do protestanckiego kościoła.

W rodzinie Fiedorenków mówiono po niemiecku i po gruzińsku. Babcia dopiero później nauczyła się rosyjskiego i mówiła tym językiem z typowo zakaukaskim akcentem wtrącając co chwila różne „waj-me, szwiło”, „genacwale, czirime” i przeplatając je z „Jezus-Maria” i sakramentalnym „Mein Gott”. Całe życie była religijna, a jej „rewolucyjny żywot” z dziadkiem wyzwolił tylko jej przekonania z ciasnoty i dogmatyzmu. Nie uznawała różnic między protestantyzmem, kościołem gregoriańskim (ormiańskim) i cerkwią prawosławną, uważała je za bzdurne. A kiedy my, dzieci, zaczynałyśmy podśmiewać się z niej pytając „gdzie jest Bóg” i „gdzie człowiek ma duszę”, złościła się bardzo i powiadała: „Wyrościecie, postarzejecie się, to i zrozumiecie gdzie. Odczepcie się! Mnie na nowo nie wychowacie”. Okazało się, że miała rację: kiedy miałam 35 lat zrozumiałam, że babcia była mądrzejsza od nas wszystkich...

Babci, wychowanej przez pracowitą Niemkę, robota paliła się w rękach; tak jak i dziadek miała złote ręce, tyle że kobiece. Świetnie gotowała, szyła, potrafiła być znakomitą gospodynią przy tych skąpych środkach, jakie

dawało jej życie z bolszewikiem odsiadującym raz po raz więzienie i przenoszącym się z miasta do miasta. Trzeba było zobaczyć jak pękało jej serce na widok „urzędowego” gospodarstwa, jakie ostatnimi laty prowadzili w naszym domu państwowi funkcjonariusze, jak bardzo wyrzekała na całe to marnotrawstwo państwowych pieniędzy! Nie rozumiano jej (lub raczej rozumiano aż nazbyt dobrze!) i z tej racji niezbyt ją lubiano. W odróżnieniu od pełnego delikatności, milczącego dziadka, potrafiła nagle wybuchnąć krzykiem na naszych „niezdarnych gospodarzy”, na wszystkie urzędowe kucharki, na komendantów, na służące. A ci uważali ją za „wrzaskliwą staruchę”, kapryśną i zarozumiałą. Słuchałyśmy tych epitetów i my, dzieci, mieszkające wraz z nią w Zubałowie po śmierci mamy. I nie rozumieliśmy wtedy, rzecz jasna, że zbyt gorące serce babuni nie pozwalało jej przypatrywać się w milczeniu bałaganowi urzędowego gospodarstwa.

Nie darmo wyrosła w Gruzji i kochała ten kraj. Miała prawdziwie południowy temperament, chłonęła życie jak południowiec — gorąco, ze łzami radości lub bólu, z miłością lub niezadowoleniem wyrażanymi zawsze w potoku słów. Poważniejszą — i jak dziadek opanowaną — mamę męczyły babcine utyskiwania, nieustanna krytyka sposobu wychowywania dzieci, porządków w domu, a także uwagi pod adresem samej mamy. Nie lubiła kiedy babcia zbyt często bywała u nas i mieszała się do życia domowego. Może zresztą mama bała się i unikała babcinych krytyk i żalów dlatego, że — w gruncie rzeczy — były one uzasadnione i mądre?...

Ale powróćmy do rzeczy. Jak by tam nie było babcia i dziadek tworzyli dobraną parę. Babcia miała czteroklasowe wykształcenie, takie samo zresztą jak i dziadek. Mieszkali w Tyflisie, Batumi, Baku, a babcia była doskonałą, cierpliwą i wierną żoną. Włączyła się do jego działalności, wstąpiła, jeszcze przed rewolucją, do partii ale



nie przeszkadzało jej to narzekać, że „Siergiej zmarnował” jej życie i że miała z nim tylko „same nieszczęścia”. Cała czwórka jej dzieci urodziła się na Kaukazie — Anna, Fiodor, Paweł i Nadieżda tak samo byli południowcami: z wyglądu, ze wspomnień dzieciństwa i z tego wszystkiego czym nasiąka człowiek — nieświadomie, a głęboko — w najwcześniejszych latach swego życia.

Wszystkie dzieci — prócz Fiodora — były zadziwiająco piękne. Ten za to był najmądrzejszy i tak zdolny, że przyjęto go w Petersburgu do Gwardii Morskiej mimo jego skromnego, „mieszczkańskiego” pochodzenia. Wszyscy w tej rodzinie byli życzliwi, serdeczni i dobrzy — były to ich wspólne cechy, zaś najbardziej hardą, upartą i najtwardszą z nich wszystkich była właśnie moja mama — obdarzona jakąś wyjątkową wewnętrzną siłą i wytrzymałością. Pawłuszka i Anna byli wyjątkowo dobrzy i mama wiecznie narzekała, że — wraz z babcią i dziadkiem — „wszyscy oni tylko psują i psują dzieci”. Oni zaś wytykali jej „oschłość” i przesadne zaufanie do guwernantek, które „zamezczają” dzieci i nie dają im „swobodnie” rosnać. Ale wszystko to były sprzeczki z miłości, cała czwórka była sobie nawzajem bardzo bliska i bardzo się kochała.

Dziadek i babcia uważali, że ich dzieci — w miarę możliwości — winny otrzymać dobre wykształcenie i dlatego, kiedy w Petersburgu życie popłynęło im bardziej uporządkowanym trybem, posłano je do gimnazjum. Na ocalałych fotografiach z tych lat uderza twarz babci — piękna i dobra. O urodzie jej jednak stanowiła nie tylko twarz z dużymi, szarymi oczami i pełnymi wdzięku małeńkimi ustami; babcia miała zwyczaj trzymania się niezwykle prosto, dumnie, „po królewsku” i z nadzwyczajnym poczuciem własnej godności. Tak szczególnie wyrazista szczerłość biła jej z oczu że cała jej małeńka figurka wydawała się dzięki temu większą. Babcia bowiem była niewysoka, jasnowłosa, zgrabna, elegancka i — jak po-

wiadają — kokietka: nie mogła się opędzić od wielbi-  
cieli... Trzeba przyznać, że nie obce jej były porywy  
namiętności i raz po raz rzucała się w wir przygody:  
to z jakimś Polakiem, to z Węgrem, to z Bułgarem,  
a nawet z Turkiem. Lubiła południowców i nieraz z głębi  
serca zapewniała, że „rosyjscy mężczyźni — to chamy”.  
Dzieci — już gimnaziści — traktowały to z cierpliwością.  
Zresztą wszystko zazwyczaj kończyło się szybko i życie  
rodzinne powracało do normy.

Dopiero w późniejszych latach babcia i dziadek —  
bardzo ciężko, choć każde po swojemu przeżywszy śmierć  
mamy — zaczęli mieszkać oddzielnie, w różnych miesz-  
kaniach. Latem spotykali się u nas, w Zubałowie, za ro-  
dzinnym stołem i sprzeczali się o głupstwa; dziadka  
szczególnie drażniła drobiazgowość z jaką babcia wnikała  
we wszystkie domowe sprawy... On jak gdyby wyrósł  
ponad to wszystko; pochłaniały go pamiętniki, zaś jej  
dokuczliwe utyskiwania, achy i ochy, kaukaskie zawodze-  
nie nad nieporządkami — wyprowadzały go z równo-  
wagi. Dlatego każde z nich samotnie spotykało starość,  
choroby i śmierć — każde z osobna i po swojemu. Obyd-  
woje byli dumni, cenili niezależność i nie czepiali się  
jedno drugiego jak para bezsilnych starców. Oboje kocha-  
li swobodę i choć ciężko znosili samotność nie chcieli  
dzielić się niezależnością ostatnich lat życia. „Swoboda,  
swoboda, kocham swobodę!” lubiła powtarzać babcia z  
przesadą przy czym dwuznacznie i jednoznacznie dawała  
do zrozumienia, że to właśnie dziadek pozbawił jej owej  
swobody i w ogóle „zmarnował” je życie.

Wciąż wybiegam w przyszłość od tych czasów, o któ-  
rych opowiadam, ale będę to robiła dalej, bo wprost nie  
da się przestrzegać chronologicznego porządku. Myśli na-  
pływają nieoczekiwanie.

W owe lata przed rewolucją babcia nie tylko prowa-  
dziła gospodarstwo i wychowywała czworo dzieci ale jesz-  
cze skończyła kursy akuszerskie i pracowała w tym za-

wodzie. Była doskonałą akuszerką — kochała dzieci, życie, pracę tę uważała za wspaniałą i znajdowała w niej wielkie zadowolenie moralne. Kiedy zaczęła się Pierwsza Wojna Światowa, babcia opiekowała się rannymi w szpitalu. Przez całe życie przechowywała z miłością i pietyzmem listy żołnierzy, którymi się opiekowała i którzy wróciwszy potem do domów, stale do niej pisali. W owym czasie babcia szyła także bieliznę dla żołnierzy, a robiła to szybko i po mistrzowsku — jak wszystko, do czego się zabierała.

Trzeba powiedzieć, że mimo pracowitych i „złotych” rąk, dziadek i babcia w swym prywatnym życiu byli zupełnie niepraktyczni. Już w późniejszych latach — kiedy mieszkali u nas w Zubałowie lub na zmianę, u Anny Siergiejewny — korzystając z niewielkich, symbolicznych raczej przywilejów jakie przyznawano starym bolszewikom — zadawali się jakimiś żalonymi „przydziałami”. Obydwoje z głęboką pogardą odnosili się do wszelkich ziemskich dóbr, donaszali przedrewolucyjne ubrania, ich pałta miały po dwadzieścia lat, a babcia sama przerabiała swoje stare suknie: czasem z trzech robiła jedną, przyzwoitą. Nie był to ascetyzm bigotów — po prostu nie odczuwali oni potrzeby wielu rzeczy, a ponadto zupełnie nie rozumieli, nie uświadamiali sobie nawet swego nowego, „świecznikowego” położenia w naszym społeczeństwie — tej sytuacji, dzięki której inni krewni wysoko postawionych osób zapewniali sobie, a także swoim bliskim i dalekim, wygodne życie. Babcia i dziadek nawet o tym nie pomyśleli.

Również i mama miała wymagania więcej niż skromne; dopiero w ostatnich latach jej życia Pawłusza, przebywający wówczas na placówce w Berlinie, przysłał jej kilka pięknych sukien, w których zresztą wyglądała niezwykle czarująco. Normalnie nosiła skromniutkie sukieneczyny i tylko z rzadka szyła sobie u krawcowej „lepszą” suknię. Zresztą i tak zawsze wyglądała ślicznie.

Ten całkowity brak mieszczańskich, materialnych ambicji wywoływał u wielu pewną niechęć; niby tacy „ubodzy” staruszkowie — mówiono — cóż to, zięć nie może ich nawet przyzwolicie ubrać...? A zięć sam nosił półwojskowy mundur — latem z płótna, a zimą — wełniany. Od piętnastu lat też miał to samo palto, a dziwaczną, kusą szubkę jelenią na wiewiórczej podszewce „sprawił” sobie jeszcze chyba przed rewolucją i nosił ją, wraz z czapką uszanką, przez wszystkie zimy — do swych ostatnich dni...

Ci „ubodzy” staruszkowie, „marksiści-idealiści” byli po prostu silni duchem — żywym, niecierpanym, wiecznym.

Ojciec znał rodzinę Allilujewów od bardzo dawna, jeszcze z końca lat 90-tych. Bardzo kochał i szanował ich oboje, a oni odwzajemniali mu te uczucia. W pamiętnikach dziadka wiele jest o ich pierwszych spotkaniach, związanych z działalnością w podziemnych kółkach — nie będę tego powtarzała. Rodzinna legenda głosi, że w 1903 roku ojciec — wówczas jeszcze młody człowiek — uratował mamie życie. Było to w Baku, a mama miała zaledwie dwa lata. Bawiła się na falochronie i wpadła do morza, a ojciec wydobył ją z wody. Dla mojej wrażliwej i romantycznej mamy ta pierwsza więź miała niewątpliwie wielkie znaczenie uczuciowe kiedy już jako 16-letnia gimnazistka spotkała ojca, który przyjechał z Syberii jako 38-letni, wracający ze zsyłki rewolucjonista, stary przyjaciel rodziny...

Cóż ja mogę pamiętać...? Pamiętam tylko, że babcia i dziadek stale mieszkali u nas, w Zubałowie, choć zawsze w pokojach na dwu przeciwnych końcach domu. Siadywali za stołem wraz z ojcem, do którego dziadek mówił „ty, Josif”, a babcia „wy, Josif”, a on traktował ich z wielkim szacunkiem i zwracał się do nich po imieniu z „otczestwom”. Pamiętam, że tak samo było i po śmierci mamy. Dziadkowie niezwykle ciężko przeżyli jej śmierć,

ale przy tym aż nazbyt dobrze rozumieli jak ciężkim ciosem było to również dla ojca i dlatego — tak przynajmniej sądziłam i sądzę nadal — nie zmienili swego stosunku do niego. Ten wspólny ból nie znajdował nigdy wyrazu w słowach, ale choć nie wypowiedziany, był między nimi zawsze. Być może dlatego właśnie, kiedy dom nasz rozpadł się ostatecznie, ojciec coraz bardziej unikał spotkań z babcią i dziadkiem. Przed wojną jeszcze widywał się z nimi podczas rzadkich wizyt w naszym dawnym gnieździe, Zubałowie. Zdarzało się to przeważnie latem: wszyscy zbierali się za stołem w lesie, jedząc na świeżym powietrzu. Najwidoczniej jednak wizyty te zbyt boleśnie przypominały ojcu przeszłość. Zazwyczaj odjeżdżał chmurny, niezadowolony, czasem skłócony z którymś z dzieci. Ale dziadek i babcia zawsze przychodzili, by się z nim zobaczyć.

Dziadek przychodził także do naszego mieszkania na Kremlu i, bywało, że przesiadywał długo w moim pokoju oczekując powrotu ojca na obiad. Obiady jadano przeważnie o 7-8 wieczorem kiedy ojciec wracał do domu po dniu pracy w biurze KC lub w Radzie Ministrów (wtedy jeszcze w Sownarkomie). Nigdy nie wracał sam i — w najlepszym razie — dziadkowi udawało się niekiedy posiedzieć przy nim, milcząco przy stole.

Ojciec kpił czasem z pamiętników dziadka, ale — z szacunku do niego — nigdy nie pozwalał sobie na jakieś ordynarne żarty na ten temat. Bywało też, że kiedy z ojcem przychodziło zbyt wiele osób, dziadek wtedy wzdychał i mówił: „No cóż, pójdę do siebie. Zajdę innym razem”. A owo „innym razem” trafiało się za pół roku, czy za rok, bo wcześniej nigdy jakoś nie mógł się wybrać. Zapewne wyprawy te były dla niego zbyt ciężkim przeżyciem. Delikatność i dyskrecja dziadka były tak wielkie, że nie pozwalały mu nawet nigdy zapytać ojca o zięcia — Redensa — choć los jego żony Anny — rodzonej córki dziadka — jej rozбите życie i przyszłość jej synów

— po prostu dziadka zatrząsały. Cierpiał w milczeniu, pogwizdując tylko coś tam pod nosem, co stało się jego nowym przyzwyczajeniem.

Była to też sprawa dumy: o nic nie prosić, o nic nie „zanosić modłów”, przed nikim nie padać na kolana... Ludzie pozbawieni miłości własnej i poczucia własnej godności nigdy tego nie potrafią pojąć. Jakże! Być obok *takiego* człowieka i niczego nie wyprosić?! A tak, niczego...

Babcia była pod tym względem prostsza, bardziej ludzka i prymitywna. Zawsze miała w zapasie szereg jakichś, przeważnie czysto bytowych próśb i żalów, z którymi zwracała się w sprzyjającej chwili jeszcze — swego czasu — do Włodzimierza Iljicza (który dobrze znał i szanował całą rodzinę), a potem do ojca. I choć dawno już minęły czasy rozruchów i wojującego komunizmu, babcia — siłą swego nieprzystosowania do „nowego bytu” — nie umiała znaleźć wyjścia z najbliższych kłopotów. Mama krępowała się pomagać krewnym — „taszczyć wszystko z domu” — w czym nie bez znaczenia był fakt, że umiała sobie samej nakreślić granice, których przekroczenie uważałaby za niemoralne. Toteż zdarzało się, że babcia — w ostatecznej rozterce — zwracała się do ojca z taką na przykład prośbą: „Ach, Josif, pomyślcie tylko, nigdzie nie mogę dostać octu!” Ojciec chichotał, mama złościła się okropnie i na tym się wszystko kończyło.

Po śmierci mamy babcia czuła się w naszym domu skrupowana. Mieszkała w Zubałowie albo na Kremlu — w maleńkim, czyściutkim mieszkanku, sama wśród starych fotografii i rzeczy, które wozila ze sobą wszędzie, przez całe życie. Były tam stare, wytarte dywaniki kaukaskie, sakramentalna kaukaska tachta-tapczan przykryty narzutą (na nim poduszki a na ścianach wokół — dywany), jakieś skrzynki sprzed stu lat, tanie, petersburskie świecidełka — a wszystko czyściutkie, uporządkowane, na swoim miejscu. Lubiłam tam wpadać — u babci było

cicho, przytulnie i ciepło, choć beznadziejnie smutno. Cóż zresztą wesołego mogła mieć do powiedzenia?

Ale jej zdrowie i miłość życia były niezłomne. Jeszcze w siedemdziesiątym roku życia wyglądała doskonale. Była małego wzrostu, ale głowę zawsze nosiła dumnie, wysoko i to sprawiało, że wydawała się wyższą. Zawsze w czystej, porządnej sukience skleconej własnymi rękoma z jakiejś starzyzny, zawsze z bursztynowym różańcem owiniętym wokół przegubu lewej ręki, zadbana, uczesana — wyglądała pięknie. Żadnych zmarszczek, żadnych śladów niedołęstwa. Ostatnimi laty zaczęła ją męczyć choroba serca — rezultat duchowych cierpień i przeżyć. Zastanawiała się w męce i w żaden sposób nie mogła zrozumieć dlaczego, za co, dostała się do więzienia jej córka Anna? Pisała listy do ojca, dawała je mnie, a potem zabierała z powrotem... Wiedziała, że do niczego to nie doprowadzi. Z jakimś fatalizmem traktowała wszystkie nieszczęścia walące się na naszą rodzinę — tak, jakby inaczej być nie mogło.

Zmarła na samym początku wiosny 1951 roku, nieoczekiwanie, na zawał serca. Miała wtedy 76 lat.

Tych dwoje samotnych staruszków — babcia i dziadek — nikogo nie zadrażało narzekaniami. Mało kto nawet zwracał na nich uwagę: wobec otoczenia zachowywali się życzliwie; byli opanowani. O takich to właśnie starcach powiadają Hiszpanie: „Drzewa umierają stojąc”.

Teraz kiedy sama już mam dorosłego syna, a za dwa, trzy lata będą i wnuki, tak bardzo żałuję, że wcześniej nie potrafiłam moich dziadków zrozumieć. Ale czyż wnuki rozumieją dziadków, a dzieci — rodziców? Uważaliśmy babcię za upartą, niespokojną staruchę; dziadka bardziej lubiliśmy. Ale oni obydwójce każde na swój sposób — byli wzorami prawdy i czystości. I czy my, wnuki, możemy ich wartościom przeciwstawić coś własnego, lepszego?

Tak, te drzewa umierały stojąc. Ich dzieciom, wszystkim bez wyjątku, przypadł tragiczny los. Każdego z nich życie łamało jak mogło. Być może, był to los epoki? A może byli oni zbyt słabi, aby wytrzymać napór historii, łamiącej o ileż potężniejsze pnie, powalającej z korzeniami wiekowe drzewa? W każdym razie nikt spośród nich nie uciekał od swoich czasów — przeciwnie, wszyscy znajdowali się w samym centrum wydarzeń, zawsze żyli bardziej życiem ogółu niż swoim własnym.

Ukochany brat mamy i wielki jej przyjaciel — Pawłusza — podobny do niej zewnątrz i wewnątrz, tyle że bardziej od niej miękki, wrażliwszy — został, choć może to wydać się dziwne, zawodowym żołnierzem.

Nie został nim z wyboru — zaczęła się rewolucja, wojna domowa, a więc poszedł wojować. Walczył wszędzie: pod Archangielskiem i w Turkiestanie, z Anglikami, Basmaczami, białogwardzistami.

Po zakończeniu wojny domowej otworzyły się przed nim ciekawsze perspektywy: wysłano go (na polecenie Lenina) z ekspedycją N. Urwancewa na daleką północ, w poszukiwaniu węgla i rudy. Jego funkcje w ramach ekspedycji miały charakter pomocniczy. Był wojskowym,



a nie uczonym, ale ktoś musiał opiekować się uczonymi i bronić ich w tych dzikich jeszcze wówczas, bezludnych krainach. Nad rzeką Norilką ekspedycja odkryła ogromne pokłady węgla i rudy żelaznej — jak to zresztą przepowiadał Urwancew. Dziś w tym samym miejscu znajduje się Norilsk z wielopiętrowymi domami, sklepami, kinami i basenem pływackim. Ale wtedy ekspedycja mieszkała w namiotach, podróżowała reniferowymi zaprzęgami a wszystko wokół było jak u Jacka Londona. Dzieci Pawłuszy zachowały fotografie: renifery, psy, futrzane czapy i białe bezludzie dookoła... N. Urwancew mieszka dziś w Leningradzie — nie wiem, może napisał coś albo napisze jeszcze o swoim osiągnięciu tamtych lat.

Pod koniec lat dwudziestych wysłano wuja Pawłuszę jako sowieckiego attaché wojskowego do ówczesnych, przedfaszystowskich jeszcze Niemiec. Oficjalnie, został on oddelegowany do naszego przedstawicielstwa handlowego. Wyjechał z rodziną i przebywał tam przez dłuższy czas.

Mama tęskniła za nim bardzo, były to dla niej najtrudniejsze czasy... Wuj przysyłał jej niekiedy coś z tych drobiazgów, które są radością każdej kobiety: sukienkę, dobre perfumy. Wtedy wszyscy żyli jak asceci i nie myśleli wcale o takich rzeczach. A ojciec miał zupełnie purytańskie podejście do „zagranicznych zbytków”, nie znoził nawet zapachu perfum — był zdania, że kobieta winna pachnieć tylko świeżością i czystością. Mama cieszyła się zatem swymi prezentami „potajemnie” z wyjątkiem perfum, które skojarzyły się na zawsze w mojej dziecięcej pamięci z jej postacią. Jej ręce, ona cała pachniała zawsze czymś niezwykle miłym... Wieczorem, kiedy już zasypiałam, przychodziła czasem do mojego pokoju, głaskała mnie po głowie, a ja długo jeszcze potem — zasypiając — wachałam poduszkę, przesiąkniętą niezwykle zapachem.

Kiedyś mama pojechała do Karlovych Varów — ów-

czesnego Karlsbadu — i zatrzymała się na krótko u brata w Berlinie. W rezultacie tej podróży zjawiły się w domu prześliczne, dziane sweterki dla mnie i mego brata Wasyla. W owych latach był to nieprzytomny wprost luksus. Żeby uchronić nas od zgubnych wpływów burżuazyjnej Europy, mówiono nam, że mama przywiozła to wszystko „z Leningradu”, a my długo jeszcze w to wierzyliśmy... Przez całe życie ojciec zwykł pytać mnie z wyrazem niezadowolenia na twarzy: „Czy to zagraniczne?” — wskazując przy tym tę lub inną część mojej garderoby — i rozjaśniał się kiedy mu odpowiadałam, że nie, że to nasze, krajowe. Było tak i później kiedy już byłam dorosła. A jeśli, nie daj Boże, pachniało ode mnie wodą kolońską, marszczył się i warczał: „Też, wypachniła się...!”

Mamie nie trzeba było zresztą narzucać purytańskich reguł. I bez tego była bezgranicznie skromna zgodnie z modelem życia i kodeksem honoru tych lat, innymi słowy — zgodnie z normami życia ówczesnej „góry”, zwłaszcza partyjnej. Tylko brat, z miłości, próbował ją czasem rozpieszczać.

W dniu śmierci mamy wuj Pawłuszka był, niestety, w Niemczech. Nie mógł po prostu uwierzyć w tę przerażającą wiadomość... Potem mieszkał w Moskwie. Pamiętam go zawsze w mundurze wojskowym. Miał (według dzisiejszych rang) stopień generałski, pracował w dowództwie broni pancernej, którego był jednym z twórców i organizatorów. Był wysoki, chudy i — jak dziadek — długonogi; miał duże, smutne czarne oczy o przedziwnie dobrym i łagodnym spojrzeniu. Ubóstwiał mnie i mego brata, a po śmierci mamy był dla nas podwójnie czuły. Sadzał nas sobie na kolana, całował i szeptał nam do ucha pieścizotliwe słowa.

Potem, na krótko już przed śmiercią w 1938 roku, przychodził do naszego mieszkania na Kremlu i przesiadywał długo u mnie lub u Wasyla wyczekując ojca — tak

jak wyczekiwali go dziadek i wuj Alosza Swanidze... Najwidocznie niełatwo było doczekać się ojca i to trapiło wuja Pawłuszę: wdychał i siedział smutny. Pamiętam też jak przyjechał z rodziną na dachę Bliższą — zdaje się że był to nowy rok, a może czyjeś urodziny. Ojciec bardzo lubił Pawłuszę i jego dzieci. Za stołem było wesoło — jak u zwykłych, bliskich sobie nawzajem ludzi...

W 1938 roku, już po aresztowaniu Aleksandra Siemionowicza Swanidze z żoną i męża Anny Siergiejewny, Redensa, wuj Pawłusza nie raz przychodził do ojca prosić o kogoś ze swych znajomych wojskowych, którzy również padli ofiarą tej gigantycznej fali czystek... Nie dawało to jednak żadnych rezultatów. Jesienią 1938 roku Pawłusza pojechał na urlop do Soczi — nie było to najlepsze miejsce dla jego chorego serca. Kiedy wrócił z urlopu i poszedł do pracy, do dowództwa broni pancernej, nie znalazł tam żadnego ze swoich współpracowników. Fala masowych aresztowań wymiotła doszczętnie wszystkich. Tegoż samego dnia, Pawłuszy zrobiło się niedobrze w biurze i tam zmarł na atak serca.

Kiedy Beria usadowił się już na dobre w Moskwie, wymyślał rozmaite wersje jego śmierci. Posunął się nawet do insynuacji, że wdowa po Pawłuszy, Jewgienia Aleksandrowna, podejrzana jest o otrucie męża... Bóg wie czego jeszcze nie wygadywano na ten temat. A cóż mogło być prostszego od oczywistego faktu, że nie każde serce potrafiło wytrzymać to, co działo się wokół... Tak jak dziadek i mama, Pawłusza był milczący, skryty i delikatny. Dusił ból w sobie i to go, w pewnym momencie, zabiło.

Ale Beria nie zrezygnował, i w 1948 roku, w dziesięć lat po śmierci Pawłuszy, wdowa poszła do więzienia pod zarzutem „działalności szpiegowskiej” oraz otrucia męża przed dziesięciu laty. Ona i Anna Siergiejewna, wdowa po rozstrzelanym w 1938 r. Redensie, otrzymały wyroki

po dziesięć lat każda — w separacie. Wyzwolił je stamtąd dopiero 1954 rok...

Anna Siergiejewna, starsza siostra mamy, nie była jej tak bliska jak brat, ale łączyła je przyjaźń. Ich charaktery były całkowicie odmienne, choć nie przeciwstawne. Anna Siergiejewna była uosobieniem idealnego, integralnego chrześcijaństwa, które wybacza wszystkim i wszystko. Nie znam chyba, nie potrafię wymienić nikogo, kto — tak jak ona — umiałby przez całe życie, od wczesnej młodości, konsekwentnie i z uporem poświęcać się dla innych, pomagać, myśleć przede wszystkim o innych a dopiero w najostatniejszej kolejności — o sobie.

Ojciec zawsze oburzał się strasznie na to jej chrześcijańskie wszech-wybaczenie, zarzucał jej „brak zasad”, nazywał „głupią” i mówił, że „jej dobroć gorsza jest od wszelkiej podłości”. Mama natomiast żaliła się, że „Niu-rra psuje dzieci — swoje i moje”. „Ciocia Aniczka” wszystkich kochała, nad wszystkimi litowała się i patrzyła przez palce na wszelkie szaleństwa i psoty dzieci. Nie była to świadoma, „filozoficznie” uzasadniona poza, po prostu taka była jej natura i inaczej nie potrafiłaby żyć.

Była kiedyś bardzo ładna — szczupłutka jak trzcinka, o wyrazistych rysach twarzy — znacznie regularniejszych niż u mamy. Tak jak reszta rodzeństwa, miała czarne oczy, wspaniałe zęby, delikatne ręce i wschodni, egzotyczny wygląd. Wyszła za mąż młodo, roztyła się i potem nigdy już nie dbała o siebie, lekceważąc swój wygląd zewnętrzny. W odróżnieniu od schludnej i surowej mamy, była zawsze niedbale ubrana, włosy zawsze zaczesywała do tyłu i spinała je okrągłym grzebieniem. Nie myślała zupełnie o zewnętrznych formach ludzkiego bytu. Dobro, dobro ludzi i dla ludzi — to była jej dewiza i sens jej życia bez względu na to, czy miała możliwość czynienia tego dobra, czy nie. Nad powierzchownością, nad pozorami po prostu się nie zastanawiała.

Mamę raziła jej bezpośredniość, brak poczucia estetyki, niedbalstwo i bałagan w jej domu, słowem — wszystko to, co jej samej było obce. Ale mimo to kochała siostrę, przyjaźniła się z nią i dzieliła wspólne wartości: głębokoki humanizm i wiarę w ludzi.

Dom Anny Siergiejewny spoczywał całkowicie na barkach Tani — Tatiany Iwanowny, wspaniałej, starej gospodyni (przyjaciółki mojej niani), która całkowicie wyzwoliła swoją panią od troski o kuchnię i dzieci. „Aniczka” ubóstwiała swego męża Stanisława Francewicza Redensa, polskiego bolszewika, dawnego towarzysza broni Dzierżyńskiego. Uważała go — i uważa nadal — za najlepszego, najsprawiedliwszego i najporządniejszego człowieka. Ja pamiętam tyle tylko, że był bardzo przystojny, o żywej twarzy i olśniewającym uśmiechu, zawsze dobry dla nas i wesoły. Mieli dwóch synów, przystojnych, o typie pół-południowym i pół-polskim — dobrych i łagodnych jak matka i pełnych wdzięku — jak ojciec.

Powiadano o Redensie, że bywał ordynarny i arogancki, że nie znosił sprzeciwu. Nie podejmuję się osądzać tego, czego nie pamiętam i czego sama nie widziałam.

Po wojnie domowej Redens był jednym z głównych czekistów na Ukrainie — mieszkali wówczas z rodziną w Charkowie. Potem przeniesiono go do Gruzji. Tu właśnie zetknął się po raz pierwszy z Berią który dążył do opanowania gruzińskiej CzeKa. Nie podobali się sobie nawzajem: Redens, uczeń Dzierżyńskiego — Beria traktujący Gruzję jako swoją przyszłą schedę, jak odskocznię do dalszej kariery, do zdobycia władzy... Redensa szybko wygryziono z Gruzji, a wkrótce potem Beria został pierwszym sekretarzem gruzińskiego KC partii.

Powróć jeszcze do tej osobistości, związanej diabelską nicią z całą naszą rodziną, której dobrą połowę udało mu się zniszczyć. Wspomnę tylko na razie, że wiele opowiadała mi o tamtych czasach stara kaukaska bolszewiczka, O. G. Szatunowskaja, która rozumiała rolę jaką

odgrywał Beria i znała od dawna jego wartość. Prawdę mówiąc, *wszyscy* starzy partyjnicy Zakaukazia wiedzieli kim był Beria i — gdyby nie niezrozumiałe poparcie ojca, które Beria potrafił sprytnie sobie pozyskać — ani S. M. Kirow, ani G. K. Ordżonikidze, ani wszyscy ci, którzy znali Zakaukazie i przebieg tamtejszej wojny domowej, nie dopuściliby do jego wyniesienia. Tych właśnie ludzi wykończył jako *pierwszych*, jak tylko uzyskał po temu możliwości.

Na początku lat trzydziestych Redens pracował w moskiewskiej CzeKa. Jego wysokie stanowisko (jeszcze w 1936 roku znajdował się wśród pierwszych delegatów do Rady Najwyższej) pozwalało Annie Siergiejewnie nie pracować, nie zarabiać na życie. Była ona jednak urodzoną społecznicą i cały czas zajmowała ją troska o kogoś, załatwianie czyichś spraw, opieka nad czyimiś dziećmi. Nie zajmowała się ciułaniem, jak to czyniły inne, znaczniejsze „czekistowskie damy”, ubrane od stóp do głów w zagraniczne łąszki; ani jej to przez myśl nie przeszło. „Mój mąż i tak mnie bardzo kocha” — powiadała nie zwracając uwagi na plotki. Nieustannie brzęceli jej w uszy o jego zdradach — kto wie, może i nie był święty — ale jej to nie raniło, zazdrość dla niej nie istniała. Śmiała się i powtarzała: „Ach, dajcie pokój! Mój mąż kocha mnie, ja kocham jego, cóż mnie to obchodzi czy dzieje się jeszcze coś poza tym, czy nie?” I nie była to poza, były to szczerze słowa — ona wierzyła w niego, w jego stosunek do niej, tak jak wierzyła w ludzi w ogóle.

Przybycie Berii do moskiewskiego NKWD w 1938 roku nie wróżyło dla Redensa nic dobrego. Rozumiał on to zresztą dobrze. Natychmiast oddelegowano go do pracy w NKWD Kazachstanu i wraz z rodziną wyjechał do Ałma-Aty. Niedługo tam przebywali. Wezwano go wkrótce do Moskwy — jechał z ciężkim sercem — i odtąd nikt już go nie zobaczył...

Ostatnimi laty, podobnie jak wuj Pawłusza, starał się

spotykać z ojcem, bronił ludzi; wybuchła nawet między nimi jakaś kłótnia — jak to wynika z opowiadań Anny Sergiejewny. Ojciec nie znosił kiedy kwestionowano jego ocenę ludzi.

Jeżeli kogoś od dawna mu znanego wyrzucał z serca, jeżeli w duszy zaszeregował go już wśród „wrogów” — nie można było z nim rozmawiać o tym człowieku. Proces odwrotny, przekonanie, że ów nie był jego wrogiem, był już dlań niemożliwy, a wszelkie próby w tym kierunku przyprawiły go o wściekłość. Ani Redens, ani wuj Pawłuszka, ani A. S. Swanidze nie byli w stanie nic tu zdziałać i jedyne co osiągnęli — to utrata kontaktu z ojcem i jego zaufania. Po ostatnim widzeniu rozstawał się z każdym z nich jak z potencjalnym nieprzyjacielem, jednym z „wrogów”...

A wszyscy oni razem i każdy z osobna byli uczciwi, wszyscy mówili z ojcem otwarcie, żaden z nich nie umiał zagrać na słabych strunach jego charakteru. Nie uciekali się do podstępów, nie było to ich zdaniem ani potrzebne, ani nawet możliwe — i wszyscy znaleźli się wśród przegranych...

Po aresztowaniu Redensa, Anna Sergiejewna przeniosła się z dziećmi do Moskwy. W odróżnieniu od innych kobiet w podobnej sytuacji, pozostawiono jej poprzednie mieszkanie. Ale przestała odwiedzać nasz dom w Zubałowie, i ja — jedenastoletnia wówczas dziewczynka — w żaden sposób nie mogłam zrozumieć gdzie się wszyscy podziali. Dlaczego opustoszał nasz dom? Niejasne opowiadania, że wuj Stach okazał się niedobrym człowiekiem nie wyjaśniały mi niczego. Coraz silniej tylko odczuwałam pustkę dookoła, nieobecność, pustynię świata w którym nic mi już nie pozostawało poza szkołą i moją dobrą nianią...

Anna Sergiejewna ani na chwilę nie uwierzyła, że jej mąż mógł być wrogiem — złym, nieuczciwym człowiekiem. Nie uwierzyła też, że go rozstrzelano, choć mój

ojciec bezlitośnie jej to zakomunikował, jeszcze przed wojną. Sądził, że zmusi ją tym do uwierzenia, iż Redens był „wrogiem”, ale ona nie potrafiła sobie nawet wyobrazić, że coś takiego mogło mieć miejsce... Zbyt *potrzebna* jej była wiara, że on żyje, że jest uczciwy i że jeszcze wróci — i wierzyła w to.

Babcia i dziadek podtrzymywali ją na duchu, jak umieli. Ona zaś po dawnemu zajmowała się sprawami innych, pomagała, opiekowała się. Na dobro jej przyjaciół — tych ze starej, partyjnej inteligencji, do której należał też jej mąż — należy zapisać, że nikt z nich się od niej nie odwrócił.

Posiadała bezgraniczną prostotę i naiwność spotykane u ludzi o najwyższej uczciwości, którzy nie potrafią dostrzegać zła u innych podobnie, jak sami nie są do złego zdolni.

Powtarzała często: „Pójdę, odwiedzę Klimenta Jefremowicza\* (lub Łazara Mojsiejewicza\*\* lub Wiaczesława Michajłowicza i Polinę Siemionowną\*\*\*, przecież byli tak blisko ze Stachem, jeszcze na Ukrainie”.

I szła, choć nikt inny na jej miejscu, w jej żalonym położeniu, nie odważyłby się pomyśleć nawet o takim kroku. Szła i okazywało się, że miała rację: witano ją, ugaszczano, starano się pocieszyć, przemawiano do niej ciepło i serdecznie. Jak na skiniecie różdżki czarodziej-skiej otwierały się drzwi przed nią — małą, opuszczoną i bezsilną kobietą, której uroda zachowała się już tylko w ciepłych, czarnych oczach. Mówiła zawsze cicho i łagodnie, żadna potęga nie kryła się za jej plecami — przeciwnie, było powszechnie wiadomo, że ojciec odwrócił się od niej i że przestała bywać w naszym domu.

W ostatnie lata wojny pomagała dziadkowi spisywać wspomnienia. Ktoś doradził jej, żeby napisała własne pa-

---

\* Woroszyłowa.

\*\* Kaganowicza.

\*\*\* Mołotowa i jego żonę.



miętniki o życiu rodziny Allilujewych, o rewolucji — wrażenia młodej gimnazistki. Nie potrafiłaby napisać tego sama, zabrakłoby jej umiejętności literackich. Opowieści jej opracowała redaktor Nina Bam — i tak powstała książka. Nie wydała mi się ciekawa. Wspomnienia dziadka, własnoręcznie przezeń napisane, miały przynajmniej — jego piętno. Książeczka Niny Bam była zbyt literacka — w jakimś sensie nie kojarzyła się z osobą autorki, z samą Anną Siergiejewną, która zasługiwała na dobrą książkę i dobrego pisarza...

Tym niemniej, książka ukazała się w 1947 roku i wywołała straszny gniew ojca. W „Prawdzie” ukazała się druzgocąca recenzja Fiedosiejewa napisana — jak można było wywnioskować z poszczególnych, ostrych sformułowań — według słów samego ojca. Recenzja była niedopuszczalnie ordynarna, straszliwie bezapelacyjna i niesprawiedliwa.

Wszyscy potracili głowy ze strachu — z wyjątkiem Anny Siergiejewny. Stwierdziwszy, że recenzja jest niesprawiedliwa i niesłuszna, przestała poświęcać jej uwagę. Wiedziała, że nie ma tam słowa prawdy i to jej wystarczyło. Nie przerażał jej też gniew ojca, zbyt blisko go znała, był dla niej po prostu człowiekiem obciążonym, jak każdy, słabościami i skłonny do błędzenia. Czyż nie mógł się pomylić? Śmiała się i mówiła, że będzie kontynuować swoje wspomnienia.

Nie udało się jej tego dokonać. W 1948 roku, kiedy zaczęła się nowa fala aresztowań, kiedy posyłano z powrotem do więzień i na zesłanie tych, którzy zakończyli właśnie odsiadki od 1937 roku swych dziesięciu lat, los ten nie minął i jej. Wraz z wdową po wujku Pawłuszy, z akademikami Liną Sztern, z Łozowskim, z żoną W. M. Mołotowa — starą przyjaciółką mamy — Poliną Siemionową Żemczuzin — aresztowano też Annę Siergiejewną.

Wróciła wiosną 1954 roku po wielu latach pobytu

w separacie. Większą część wyroku spędziła zresztą w szpitalu więziennym. Ujawniło się złe dziedzictwo po siostrach babci: skłonność do schizofrenii. Anna Siergiejewna nie wytrzymała wszystkich prób swego losu.

Kiedy wróciła do domu była w strasznym stanie. Widziałam ją już pierwszego dnia — siedziała w pokoju, nie poznając swych dorosłych już synów, obojętna wobec całego otoczenia. Patrzyła zamglonymi oczami w okno i nie reagowała na żadne wiadomości: że umarł mój ojciec, że nie ma już babci, że nie istnieje już nasz śmiertelny wróg Beria. Kołysała tylko bezwiednie głową...

Od tego czasu minęło dziewięć lat. Stan Anny Siergiejewny poprawił się nieco. Ustały majaczenia, czasem tylko, nocą, zdarza się, że rozmawia sama ze sobą... Życie jej znów zaczęło być aktywne — jak dawniej. Przywrócono jej członkostwo Związku Pisarzy, uczęszcza na wszystkie zebrania, wykłady i dyskusje w Domu Literatów, ma wielu znajomych, starych przyjaciół. Znów pomaga wszystkim, komu tylko może. W dniu wypłaty jej pensji ściągają do niej znajome staruszki, a ona daje wszystkim pieniądze wiedząc, że nie otrzyma ich z powrotem. Przychodzą do niej do domu zupełnie nieznanymi ludziami z najrozmaitszymi prośbami: jeden chce zameldować się w Moskwie, inny nie ma pracy, stara nauczycielka ma kłopoty rodzinne i została bez dachu nad głową. Anna Siergiejewna wysłuchuje wszystkich i stara się coś zrobić. Chodzi do Mossowietu, do biura podań Prezydium Rady Najwyższej, pisze listy do KC — nie, nie o sobie, a o kimś w potrzebie, o chorej staruszce bez renty i środków do życia...

Znają ją wszyscy i wszędzie, współczują jej, szanują. Wszyscy — z wyjątkiem jej dwu synowych — młodzieńców, ładnych mieszczaneczek... W domu ma straszny żywot. Nie słuchają jej, o nic nie pytają. Czasem, kiedy idą do kina, podrzucają jej wnuki do ponianczenia. Jest niepożądanym gościem na rodzinnych wieczorkach młodzie-

żowych — niechlujnie ubrana w jakąś starą kapotę, siwa, rozczochrana starucha lubiąca wtrącać swoje trzy grosze w nieodpowiednich momentach... Bierze wtedy jakąś starą mufkę albo worek zamiast torebki i idzie na spacer. Na ulicy długo rozmawia z milicjantem, pyta dozorcę o zdrowie, kupuje bilet na stateczek po rzece Moskwie. Gdyby były to czasy przedrewolucyjne, uważano by ją powszechnie za Bożego człowieka i kłaniano się na ulicy.

Dziwne to: ukończywszy gimnazjum Anna Siergiejwna wstąpiła w Petersburgu na uczelnię psycho-neurologiczną. Delikatna, ludzka, serdeczna — byłaby idealnym lekarzem psychiatrą. Los jej ułożył się inaczej — sama w końcu wpadła w psychiczną chorobę...

Ot, w naszym domu\* choćby, od ilu lat już prowadzi kampanię o założenie przedszkola. W naszym domu jest 500 mieszkań. Wiele dzieci chodzi na spacer z gospożą, ale nie wszystkich na to stać. Anna Siergiejwna chodzi po wszelkich instancjach, starcza jej na to sił mimo chrego serca, rozedmy, niesprawnego płuca po przebytej w młodości gruźlicy. Jak dotąd jednak rezultatów nie widać. Uznano, że przedszkole jest niepotrzebne, nie ma nawet ogródka dziecięcego na naszym ciemnym, przypominającym kamienną studnię podwórzu.

Jest to święty człowiek, apostoł dobra i prawdziwa chrześcijanka, ale zarazem jest to człowiek nowy, człowiek przyszłości... To autentyczna córka Rosji, zjawisko czysto rosyjskie, klasyczne, typowe, „dostojewskie”. Nikogo nie sędzi, o nikim nie wydaje opinii. Rozmowy o „kulcie jednostki” wyprowadzają ją z równowagi, zaczyna denerwować się dyskutować. „Wyolbrzymiają, u nas zawsze wyolbrzymiają!” — mówi ze wzburzeniem — „teraz zwalają wszystko na Stalina, a Stalinowi też nie było łatwo, my wiemy, że życie miał trudne, nie takie to wszystko było proste... A ileż lat sam przesiedział na

---

\* Mowa o tak zwanym Domu Rządowym przy Kamiennym Moście.

zesłaniu — nie można przecież i o tym zapominać! Nie można zapominać o zasługach”.

Wciąż jeszcze wierzy, że Redens żyje, choć przysłała jej oficjalne papiery w związku z jego pośmiertną rehabilitacją. Jest przekonana, że tam, na północy, gdzieś w Magadanie lub na Kołymie, ma on drugą rodzinę („To przecież takie naturalne, tyle lat minęło!”) i po prostu nie chce wracać do domu. Czasem miewa ni to sny, ni to halucynacje, po których zapewnia, że widziała się z mężem i rozmawiała z nim.

Żyje w swoim świecie, gdzie wspomnienia przeszłości, dawnych lat, przywidzenia i cienie mieszają się z dniem dzisiejszym. Tylko lat więzienia, owych sześciu lat, nigdy nie wspomina. Pamięć jej zatrzymuje wyłącznie rzeczy dobre, ciekawe i ludzi wspomniałych, których nie mało spotkała.

Od dawna namawiała mnie, abym napisała o wszystkim, co znam i pamiętam. A ja wykręcałam się, zdawało mi się, że jakoś nie wypada, że byłoby to nietaktowne, trywialne... Widzisz, przyjacielu mój, a ty mnie jednak przekonałeś, potrafiłeś mnie przekonać i teraz oto nie mogę już oderwać się od pióra. I wszystko to, co wiem dla mnie samej, urasta do rozmiarów czegoś potrzebnego, pełnego znaczenia, ważnego\*...

Dla uzupełnienia portretów maminego rodzeństwa trzeba powiedzieć kilka słów o Fiodorze. Nie uciekł i on od wspólnego przeznaczenia całej rodziny, tylko los złał go nieco wcześniej, niż innych.

Był to młody człowiek o niezwykłych uzdolnieniach do matematyki, fizyki i chemii. Tuż przed rewolucją przyjęto go do arystokratycznej kasty — Gwardii Mors-

---

\* Anna Siergiejewna zmarła w sierpniu 1964 roku w podmiejskim, kremlowskim szpitalu. Od czasów więziennych bała się zamkniętych drzwi. Nie bacząc na to zamknęto ją kiedyś na noc w szpitalnej sali. Następnego ranka znaleziono ją martwą...

kiej — właśnie dzięki jego talentom. Potem nastąpiła rewolucja i wojna domowa.

Rzecz jasna, Fiodor też poszedł się bić. Chciał wstąpić do zwiadu. Postanowił przyjąć go do swego oddziału Kamo\*, legendarny, nieustraszony Kamo, który jeszcze z Tyflisu dobrze znał rodziców Fiodora. Ale Kamo przełiczył się. To co on i jego obdarzeni żelaznymi nerwami zwiadowcy mogli znieść bez mrugnienia okiem, było ponad siły innych...

Kamo lubił urządzać swym żołnierzom „próby wierności”. Bez uprzedzenia inscenizował atak: wszystko rozbite, wszyscy wzięci do niewoli, związani w kij. Na podłodze — skrwaniony trup dowódcy... Tuż obok leży jego serce — krwawa bryła na drewnianych deskach... Co uczyni w tej sytuacji żołnierz pojmany do niewoli, jak się zachowa?

Fiedia nie wytrzymał „próby” Na widok tej sceny oszalał. A potem chorował długo, całe życie. Na zawsze już pozostał półinwalidą. Był to dobry, mądry człowiek, zaczytujący się książkami ze wszystkich dziedzin, piszący bez końca jakieś artykuły, rozprawy, sztuki. Żył z renty i umarł mając około sześćdziesięciu lat nie osiągnąwszy w życiu niczego. Poświęcił całkowicie swój los, swoją młodość, swoje zdrowie, talent i gorące serce — rewolucji. Skądże mógł wiedzieć, że jego mózg predysponował go do pracy w gabinecie naukowym, że tam było jego przeznaczenie. Tam też byłby pewnie o wiele pożyteczniejszy dla rewolucji, niż w oddziale rzezimieszków Kamo...

Ale człowiek nie zna drogi swego przeznaczenia. Chce być tam, gdzie wymachują szablami, gdzie huczą działa i łopocą sztandary...

Nie znałam dobrze wuja Fiedi, rzadko go spotykałam. Bardzo kochał on moją mamę i nas, jej dzieci.

---

\* Ter-Petrosjan, kaukaski bolszewik.

Choroba uczyniła go nadzwyczajnie nieśmiałym i samotnym, zabrała mu wszystko — nawet możliwość założenia własnej rodziny. Był brzydki, w odróżnieniu od reszty rodzeństwa, tylko oczy miał przepiękne — łagodne, czarne, ciepłe. Nieuczestny, niezdarny przy stole — zachowujący się w sposób typowy dla chorego umysłowo — Fiodor nie wzbudzał sympatii obcych. Ale bliscy i przyjaciele znali wartość jego wiedzy, jego czytanie, jego dobre serce. Ojciec mój współczuł mu (choć i pokpiwał sobie z jego cudactw) ale unikał z nim spotkań.

Wszystkie dzieci dziadka i babci były zbyt wrażliwe, miały zbyt dobre, zbyt silnie reagujące serca, aby mogły uniknąć ciosów w tym strasznym świecie. Każde z nich zapowiadało się ciekawie, każde miało talenty, zdolności... Nikomu spośród nich nie dane było dożyć spokojnego końca, cieszyć się spokojną, twórczą egzystencją. Żadne z nich nie goniło za dostatnim, mieszczańskim szczęściem.

Nie opowiedziałam jeszcze o mamie. Opowiem. Poczekaj trochę, to takie trudne. Poczekaj, o niej potem. Ja i tak wciąż mówię o niej, czyż nie widzisz jej obok dziadka, babci, Anny, Pawłuszy, Fiodora? Czyż nie widzisz, jak wszyscy oni są sobie bliscy, jak podobni do siebie, jakie to pokrewne dusze?

Wciąż staram się wskrzesić stare czasy, pierwsze, słoneczne lata dzieciństwa. Dlatego mówię o tych wszystkich, którzy uczestniczyli w naszym wspólnym, gwarnym życiu owych lat na Kremlu i w Zubałowie. Muszę jeszcze koniecznie opowiedzieć ci o Swanidze — wuju mego brata Jaszy. Aleksander Siemionowicz i jego żona Maria Anisimowna byli wtedy ludźmi bardzo bliskimi dla mego ojca i dla mamy.

Zauważyłeś już pewnie, że w naszej rodzinie kochano Gruzję jak własną ojczyznę. Dzięki wszystkim — dzięki babci, dziadkowi i mamie — rozstłoneczniona Gruzja z jej gorącym uczuciem i wdziękiem wrodzonym zarówno księżętom jak i chłopom, owa niezwykła Gruzja opiewana przez rosyjskich poetów — żyła w naszym domu i to wcale nie dlatego, że była krajem rodzinnym ojca. On sam zresztą mniej ulegał jej czarowi niż pozostali, kochał Rosję, polubił Syberię z jej surowym pięknem i milkliwymi, grubo ciosanymi ludźmi. Nie cierpiał „feudalnych hołdów” składanych mu przez Gruzynów. Przypomniawsobie Gruzję dopiero w starości.

Możliwe, że wspólna więź z Gruzją dopomogła w pewnym stopniu zawiązaniu się przyjaźni między krewnymi Jekatieriny Swanidze — pierwszej, nieżyjącej żony ojca — i mamą oraz jej bliskimi. Możliwe też, że to mama umiała stworzyć w swym domu taką atmosferę, że wszyscy czuli się tam dobrze, że swojsko im było z nią w domu ojca, a raczej w jej domu, bo ona była gospodynią, a ojciec tam tylko bywał kiedy wyrwał się z wiecznego młynka politycznych ambicji, walki, dyskusji, sporów i posiedzeń...

Dziś nie mogę już pisać o przeszłości. Dzisiejsze ki-

piące, skrzące się życie obstało mnie ze wszystkich stron i nie pozwala zagłębiać się w przeszłość, wyrwać się...

Mój syn pojechał do Moskwy, na lekcję fizyki. Przygotowuje się do egzaminów wstępnych na wydział medyczny.

Dziwne. Ojciec mój znał i widział tylko troje ze swych ośmiorga wnucząt — moje dzieci i córkę Jaszy. I choć do Jaszy odnosił się zawsze z niezastężonym chłodem, jego córka Gala wzbudziła w nim niekłamana tkliwość. A co jeszcze dziwniejsze, mój syn, pół-Żyd, z mojego pierwszego małżeństwa (ojciec nigdy nie chciał poznać mego męża) — pozyskał sobie jego czułą miłość. Pamiętam, jak bardzo bałam się pierwszego spotkania ojca z moim Oską. Mały miał wówczas około trzech lat. Był to prześliczny chłopczyk — w typie trochę Grek, trochę Gruzin — z wielkimi, semickimi oczami o długich rzęsach. Sądziłam, że nie wzbudzi on w dziadku miłych uczuć; byłam przekonana, że jest to nieuniknione. Okazało się, że niewiele wiedziałam o logice ludzkiego serca. Ojciec roztajał na widok chłopca. Było to podczas jednej z jego rzadkich, powojennych wizyt w opustoszałym, nie do poznania Zubałowie. Mieszkali tam już tylko mój syn i dwie nianie — jego i moja, ta ostatnia stara i schorowana. Kończyłam wtedy ostatni rok uniwersytetu i mieszkałam w Moskwie, a chłopczyk rósł pod „moją” tradycyjną sosną i pod opieką dwu czułych staruszek. Ojciec pobawił się z nim pół godzinki, pospacerował z nim wokół domu — a raczej obiegali go dookoła, bo ojciec do ostatniego dnia chodził szybkim, lekkim krokiem — i odjechał. A ja zostałam, żeby „poprzeżywać” jeszcze i „przetrawić” to, co się stało. Byłam w siódmym niebie. Przy lakonicznej oschłości ojca słowa: „masz synka ładnego, ma ładne oczy” — równały się długim zachwytom w ustach kogokolwiek innego. Zrozumiałam, że źle pojmowałam życie, pełne niespodzianek. Ojciec widział Oskę jeszcze dwa razy — ostatni raz na cztery miesiące przed



śmiercią, chłopczyk miał wtedy siedem lat i chodził do szkoły. „Jakie myślące oczy!” — powiedział ojciec. — „Mądry chłopiec”. I znów byłam szczęśliwa.

Dziwne, że i Ośka zapamiętał to ostatnie spotkanie i zachował w pamięci uczucie serdecznego kontaktu, nawiązanego między nim i dziadem. Przy całej apolityczności jego młodego umysłu, typowej dla współczesnej młodzieży, powinien był, zdawałoby się, nienawidzić wszystkiego, co wiązało się z „kultem jednostki”, całego kręgu zjawisk przypisywanych jednemu człowiekowi, a także tego człowieka.

Tak, on nienawidzi tych zjawisk, ale w głębi duszy nie skojarzył ich z imieniem dziada, którego portret stoi na jego stole do nauki. Stoi tam już od kilku lat, a ja nie mieszam się do sentymentów syna i nie kontroluję jego uczuć. Trzeba dzieciom więcej ufać. Znów przekonuję się, że ciągle jeszcze źle pojmuję życie pełne niespodzianek...

Syn mój ma już osiemnaście lat, ukończył szkołę i ze wszystkich możliwych zawodów wybrał sobie najbardziej człowieczy — zawód lekarza. Cieszę się, niezmiernie się cieszę, że tak właśnie wybrał. Cieszę się tak bardzo, że aż boję się zdradzić przed nim z tą radością, żeby się czasem nie rozmyślił.

Jest ładnym, miłym, łagodnym chłopcem. A córka moja ugania się tu gdzieś po lesie z przyjaciółką. Obie urodziły się dziewczętami przez jakieś nieporozumienie: Bóg powinien był je stworzyć jako dwoje bliźniąt — chłopców. Łażą po drzewach i płotach, ścigają się na rowerach, kąpią w rzece, śpią w namiocie przed domem, tresują psy i koty, grają w koszykówkę.

Dzieci moje nie wiedzą (i nie trzeba by wiedziały!) jak upajam się życiem z nimi, jak to *one* mnie wychowują, a nie na odwrót... Ileż radości znajduję w tym, że rosną w tym samym lesie, tuż obok miejsca gdzie i ja wyrosłam, że oddychają tym samym powietrzem tych samych kwiecistych łąk i polanek i że, być może, tak jak

ja, zachowując na całe życie pamięć o tej Żukowce z okolicami jako o swej rodzinnej ziemi.

Mimo, że ojciec kochał ojca mojej Kati (jak zresztą wszystkich Żdanowów), nie wzbudziła ona w nim żadnych, specjalnie tkliwych uczuć. Widział ją tylko raz, kiedy miała dwa i pół roku. Wyglądała jak mały zabawny żuczek z wielkimi, ciemnymi, okrągłymi jak wiśnie oczami. Ojciec roześmiał się na jej widok i potem już śmiał się często przez cały wieczór. Było to 8 listopada 1952 roku, w dwudziestolecie śmierci mamy. Nie zamieniliśmy ani słowa o tej rocznicy i nie wiem nawet, czy ojciec przypomniał sobie tę datę. Ale ja nie umiałam jej zapomnieć. Zabrałam w ten dzień dzieci i pojechaliśmy do niego na daczę (choć nie przyszło to łatwo, bo w ostatnich latach coraz trudniej było umówić się z nim na spotkanie).

Było to moje przedostatnie z nim widzenie — na cztery miesiące przed śmiercią. Wydawało się, że był zadowolony z naszej wizyty i cieszył się nią. Jak zwykle, siedzieliśmy przy stole zastawionym różnymi smakołykami — świeżymi warzywami, owocami, orzechami. Było dobre, gruzińskie wino — prawdziwe, wiejskie. Ostatnimi laty przywozili je specjalnie dla ojca, a on delectował się nim, ze znanstwem pociągając z małego kieliszka. A nawet jeśli nie wypił i łyka, wino zawsze musiało być na stole — i to w dużym wyborze — cała bateria butelek. Choć sam jadał mało — próbował raczej szczyptę tego i owego — stół musiał być zastawiony jedzeniem. Taka była zasada. Dzieci do woli nałasowały się owoców, a on był zadowolony. Lubił kiedy jedli inni, a sam mógł siedzieć, ot tak sobie, dla towarzystwa.

Dlaczego nagle przypomniał mi się ten wieczór? Chyba dlatego, że był to jedyny raz, kiedy znalazłam się jednocześnie z ojcem i obydwójkiem moich dzieci. Było przyjemnie, ojciec częstował dzieci winem — kaukaski oby-

czaj — a one nie odmawiały, nie kaprysiły, zachowywały się dobrze i wszyscy byli zadowoleni.

Czy ojciec chciał żebyśmy byli razem? Czy było mu z nami przyjemnie? Chyba tak. Ale pod koniec wieczoru był zmęczony, przywykł do wygod i swobody samotności. W ciągu ostatnich dwudziestu lat staliśmy się sobie nawzajem tak obcy, że nie mogło już być mowy o jakimkolwiek wspólnym życiu, o stworzeniu choćby pozorów rodziny, domu, nawet gdyby były ku temu obopólne chęci. Ale i tych nie było... Ale wieczór ten zapamiętaliśmy wszyscy, nawet moje dzieci.

Siedzimy sobie właśnie teraz na naszej maleńkiej werandzie. Syn mój wkuwa fizykę, córka czyta powieść fantastyczno-naukową, kot Miszka pomrukuje tuż obok. Upał. Cisza. Las wokół huczy od pszczoł i os, przekwitają lipy. W powietrzu stoi cichy, rozmarzający żar. Przyroda wokół spokojna, piękna, wspaniała. Realizuje swój zwykły cykl nie oglądając się na nic i na nikogo.

Boże, jak przepiękny, jak doskonały jest Twój świat — każda trawka, każdy kwiatek i listek! A Ty wciąż jeszcze umacniasz, podtrzymujesz człowieka żyjącego w strasznym, obezwładniającym umysł tłumie, dajesz mu przyrodę i tylko ona, wieczna i potężna, zapewnia mu siłę i pociechę, równowagę i harmonię ducha.

Tylko ci, którzy są już na samym dnie, przeklęci od Boga i ludzi, mogliby targnąć się na wielkość i piękno świata, mogą myśleć o unicestwieniu wszystkiego, co kwitnie, rośnie i cieszy się wokół nas życiem. To straszne, że wielu jest takich szaleńców. Jak straszne, jak niesprawiedliwe jest już samo to, że szaleńcy ci stawiają sobie jakiś tam „cel”, który — ich zdaniem — usprawiedliwia niszczenie życia — własnego, cudzego, nawet życia najdalszego, nieznanego narodu. Błuznierstwem jest już sam zamiar unicestwiania życia, bez względu na cel... A cóż to może być za cel?

Najbardziejniejsza, bosa, nieumyta i ciemna chłopka w jakimkolwiek kraju wie, że tak nie wolno, że to niedopuszczalne. A cywilizowani ludzie uważają, że można. Ludzie nazywający siebie marksistami — komuniści chińscy — uważają, że nie tylko można, ale nawet trzeba.

Tyleż nabierało się w świecie głupoty, zła i złej woli, co postępu, rozumu, wiedzy, człowieczeństwa i przyjaźni. I jedno i drugie spoczywa na szalach wagi. Wszyscy żyjemy w tej szatańskiej równowadze — nasze dzieci, nasze pokolenie, cały nasz wiek. Trzeba, żeby wszyscy wierzyli w potęgę dobra i dobrej woli.

Myślę, że teraz, w naszych czasach, wiara w Boga jest właśnie wiarą w dobre, w to, że jest ono potężniejsze od zła, że — prędzej czy później — zatriumfuje, zwycięży. Różnice kierunków wiary nie mają znaczenia w dzisiejszym świecie, w którym ludzie intelektu nauczyli się już rozumieć nawzajem ponad granicami państw i kontynentów, języków i ras.

Wszelkie dogmatyczne różnice pomiędzy religiami tracą dziś jakąkolwiek treść. Dziś ludzie dzielą się już raczej na tych tylko, dla których Bóg istnieje i tych, którym istnienie Boga jest w ogóle niepotrzebne. Kiedy skończyłam 35 lat, kiedy przeżyłam już i widziałam coś niecoś, stanęłam zdecydowanie po stronie tych, dla których nie do pomyślenia jest życie bez Boga. Uczyniłam to mimo, że — od dzieciństwa — rodzina i społeczeństwo wychowywały mnie w duchu materializmu i ateizmu. I szczęśliwa jestem, że tak się ze mną stało.

Znów powracam w przeszłość, do naszego dawniejszego, ludnego i wesołego domu. Znów chcę wspomnieć o tych wspaniałych ludziach, którzy pozostali na zawsze w mojej pamięci związani z tamtymi dniami. Przyjemnie — grzebiąc się w pamięci — wynajdywać tam okruchy dobrego, miłego.

Zaczęłam już mówić o Gruzji, ale przestałam, rzuciłam wszystko, bo nagle poczułam, że sił nie starcza, że serce nie wytrzyma. Wciąż opowiadam ci i opowiadam o wspaniałych ludziach, którzy zginęli na darmo... Poczekaaj, jeszcze wiele będzie powiedziane. To dopiero początek. Któż winien temu, że nie potrafię wymyśleć dla ciebie *innych* opowieści...?

Chcę opowiedzieć teraz o Aleksandrze Siemionowiczu Swanidze, bracie pierwszej żony mego ojca. Nosił pseudonim partyjny „Alosza” (był jednym z najstarszych gruzińskich bolszewików, prawie rówieśnikiem ojca — o trzy lata tylko od niego młodszym) i dlatego wszyscy nazywali go Aloszą, a my, dzieci, „wujem Aloszą”. Wraz z żoną Marią Anisimowną byli oni — dzięki mamie — bardzo blisko zaprzyjaźnieni z naszą rodziną, a także z wszystkimi krewnymi mamy. Stanowili parę niezwykłych ludzi.

Wuj Alosza był przystojnym Gruzinem w typie swan-  
skim<sup>o)</sup>), niewysoki, krępy blondyn o niebieskich oczach  
i cienkim nosie z garbkiem. Ubierał się zawsze doskonale,  
a nawet z pewną pedanterią. Gruzini bardzo czuli są na  
wszelkie formy zewnętrzne i potrafią zawsze przestrzegać  
ich ze swobodą i wdziękiem. Marksistowskie przekonania  
wcale im w tym nie przeszkadzają. A wuj Alosza był sta-  
rym marksistą z europejskim wykształceniem. Jeszcze  
przed rewolucją studiował na koszt partii w Jenie, w  
Niemczech, znał języki zarówno zachodnie jak i wschod-  
nie. Doskonale znał też historię i ekonomię, a zwłaszcza  
finanse.

Pierwsza wojna światowa zastała go w Niemczech,  
gdzie go początkowo internowano. Zwolniony po rewolu-  
cji wrócił do Gruzji, gdzie objął stanowisko tamtejszego  
nar-kom-fina\* i został członkiem KC. Tam też wkrótce  
ożenił się z Marią Anisimowną, absolwentką Wyższych  
Kursów Żeńskich w Petersburgu i konserwatorium gru-  
zińskiego, śpiewaczką opery tyfliskiej.

Ciocia Marusia była przystojną kobietą. Pochodziła z  
bogatej, żydowskiej rodziny nazwiskiem Korona, wywo-  
dzącej się z Hiszpanii. Ale z wyglądu przypominała Sło-  
wiankę: regularny owal twarzy, króciutki, zadarty nos,  
śliczna, biało-różowa cera i ogromne, bławatkowe oczy.  
Była dużą, wesołą i elegancką kobietą, pachnącą zawsze  
dobrymi perfumami. Stanowili z Aloszą cudowną parę  
— żywi, przystojni, czarujący.

Nie dziwisz się, że wciąż o wszystkich mówię „pięk-  
na”, „przystojny”? Może ci się wydaje, że zmyślam? Nie,  
to prawda! Takie to jakieś były czasy, że wszyscy byli  
piękni. Spójrz na twarze starych, rosyjskich rewolucjo-  
nistów — wyraziste oczy, wysokie, mądre czoła, twardo  
zarysowane usta; w twarzach tych nie było sceptycyzmu,  
zwątpienia ani złości...

<sup>o)</sup> Swan — plemię kaukaskie (przyj. tłumacza).

\* Ministra finansów.

Wuj Alosza nie zrobił czysto politycznej, partyjnej kariery (nie wiem, czy chciał jej, czy nie) i poświęcił się całkowicie finansom. Wkrótce wysłano go za granicę. Mieszkał z rodziną w Berlinie (jeszcze przedfaszystowskim), w Genewie i Londynie. Ostatnie swe lata (do 1937 r.) przepracował w Moskwie jako dyrektor czy też kierownik Banku Handlu Zagranicznego. W tym właśnie okresie — i jeszcze za czasów mamy — widywałam ich z ciocią Marusią często u nas w domu.

Mama na pewno bardzo ich lubiła, ale oni obydwójce po prostu ją kochali. Byli od niej znacznie starsi i traktowali ją, a także nas, dzieci, z ojcowską czułością. Ciocia Marusia zawsze starała się okrasić mamie skromniutką egzystencję i przywoziła jej i nam, rozmaite drobiazgi z Berlina.

Byli obydwójce Europejczykami w najlepszym sensie tego słowa. Kiedy patrzę dziś na tępy, zaściankowy, filisterski nacjonalizm Gruzinów, kiedy obserwuję ich nietaktowną manierę mówienia po gruzińsku przy osobach nie rozumiejących tego języka, ich skłonność do wychwalania wszystkiego, co swoje i łajania wszystkiego, co obce — to myślę sobie: Boże! Jak dalecy byli kiedyś ludzie od tego wszystkiego! Jak niewielką wagę przywiązywali do owej przekłętej „kwestii narodowej”! A jaka wielka przyjaźń i zaufanie wiązały ludzi nawzajem. Któż zajmował się wtedy budowaniem dacz, dorabianiem się samochodów i mebli...?

Ciocia Marusia otrzymała dobre wykształcenie ekonomiczne na Wyższych Kursach Żeńskich i — kiedy wyjechali z mężem za granicę, a także i potem, w Moskwie — była nieocenioną pomocnicą Aleksandra Siemionowicza. A on zawsze omawiał z nią swoje sprawy tak, że była dobrze zorientowana w jego pracy i problemach.

Pamiętam, jak oboje przyjeżdżali do nas, do Zubałowa, lub przychodzili pieszo z Zubałowa-2, gdzie mieszkali z całą rodziną w oficynie. Było tam ludno i gwarно. Sy-

nowie Mikojana, córka Gamarnika, dzieci Woroszyłowa i Szaposznikowa — wszyscy oni pamiętają ten gościnny, wesoły dom. Bywało tam kino, jeszcze wówczas nieme — rzadko tylko przywożono aparaturę dźwiękową; był kort tenisowy, na którym spotykali się młodzi i starzy i wreszcie — była tam też „bania”, rosyjska łaźnia, do której uczęszczali jej miłośnicy, a w tej liczbie — mój ojciec. W tymże Zubałowie-2 wyrósł syn Swanidze, któremu rodzice dali dość dziwne imię — Dżonrid<sup>o</sup>) — na cześć znanego, amerykańskiego dziennikarza. Kiedy był malutki wszyscy nazywali go Dżonem lub Dżonikiem. Dziś stał się Iwanem Aleksandrowiczem i wspomina swe dzieciństwo w Zubałowie-2 z taką samą tkliwością, z taką radością, z jaką ja pamiętam moje szczęśliwe dni w Zubałowie naszym...

Swanidze ubóstwiali swego Dżonika — byli niemłodymi już rodzicami — i uczyli go wszystkiego, czego tylko można było chłopca nauczyć. Brał lekcje niemieckiego (wówczas przyjęte było uczyć się niemieckiego, a nie angielskiego, jak teraz), rysunków, muzyki, modelowania w glinie. W wieku pięciu lat układał już własne wiersze i „pisał książki” — to znaczy rysował je w swoim bloku i robił napisy wielkimi, drukowanymi literami. Wuj Alosza miał własne metody wychowawcze, odmienne nieco od pedagogiki Lidii Trofimowny (guwernantki i niańki w jednej osobie). Zauważywszy kiedyś jak Dżonik, w zabawie, wrzucił kota do rozpalonego kominka, wuj Alosza schwytał syna za rękę i — z głośnymi przekleństwami — przyciągnął go do kominka i wsunął jego rękę w ogień. Chłopczyk zawył z bólu, a wuj Alosza krzyczał: „A jego też boli! A jego też boli!” Tak to, z iście gruzińskim temperamentem, wymierzał sprawiedliwość.

Bardzo kochał syna i niedzielami spacerowali zawsze po lesie otaczającym Zubałowo-2 (chodzę tam teraz na

<sup>o</sup>) John Reed, autor książki o rewolucji 1917 r. pt. „20 dni, które wstrząsnęły światem” (przyp. tłumacza).



przechadzki, to niedaleko od Żukowki). Podczas tych spacerów opowiadał mu zawsze coś z historii. Bardzo lubił historię i znał ją dobrze — zwłaszcza starożytną: Persów, Hetytów, Greków. W ostatnich latach życia wydrukował w czasopiśmie „Więstnik Drewniej Istorii” kilka artykułów o pochodzeniu najstarszych plemion gruzińskich. Znał również doskonale gruzińską poezję i zajmował się badaniem tekstów Rustaweli’ego.

Maria Anisimowna bardziej rozpieszczała syna i powierzała go całkowicie opiece Lidii Trofimowny. W Moskwie, ciocia Marusia choć nie była już śpiewaczką operową, często występowała na koncertach. Lubiła światowe życie, smakowała w nim. Miała dobry gust, a dom swój prowadziła na szeroką skalę. Był to dom otwarty, gościnny i pełen drogiej i pięknych rzeczy. Pamiętam ich oboje — a zwłaszcza ciocię Marusię — jako bardzo pięknych, dobrych i wesołych ludzi, dla mnie niezwykle czułych. Rzuciałam się zawsze wujowi Aloszy na szyję i nie schodziłam z jego kolan.

Mówię tylko o tym, co sama wiem lub widziałam. Widziałam i pamiętam, że ojciec bardzo ich oboje lubił, a szczególnie wuja Aloszę, że często bywali u nas i że przyjmowano ich jak ludzi bliskich. Czy były między nimi polityczne różnice zdań? Czy ojciec spierał się z wujem Aloszą, z Redensem, z wujem Pawłuszą na tematy polityczne? Możliwe, że tak. W owych czasach ludzie pozwalali sobie na własne poglądy i mieli je we wszystkich sprawach. Nie uciekali od życia, nie chowali głowy w piasek w obliczu ciężkich problemów. W każdym razie ja nic o tym nie wiedziałam i nie mogę dać żadnego świadectwa. Wiem tylko, że wszyscy oni byli nie tylko krewnymi, ale i bliskimi nam ludźmi i że ich słowa, poglądy i informacje na temat życia (od którego ojciec już się w te lata oddalał) — miały dla ojca ogromne znaczenie. Ufał im wtedy bez cienia wątpliwości, jak ludziom bliskim, i na pewno nie przychodziło mu do głowy, że mogą

być ukrytymi „wrogami narodu” i jego osobistymi przeciwnikami (co potem, niestety, oznaczało już dla niego jedno i to samo...).

Odwiedzali nas nadal po śmierci mamy, choć w domu nie było już gospodyni ani stworzonej przez nią serdecznej atmosfery. Przyjeżdżali do naszego Zubałowa na święta dziecięce — urodziny moje lub Wasyla — które odbywały się jeszcze siłą tradycji. Pewnego razu dorośli postanowili sprawić nam radość i urządzili dla nas kukielkowe przedstawienie „Otello”. Odsunięto od ściany kanapę, a za jej oparciem ukryli się ciocia Marusia i inni i — operując mymi nie najpiękniejszymi lalkami — odegrali tragedię, która wyszła bardzo śmiesznie. Potem ciocia Marusia śpiewała romanse. Ale my nie słuchałyśmy. To nas nie interesowało.

W 1937 roku aresztowano Redensa. Był to pierwszy cios w naszą rodzinę, w nasz dom. Wkrótce potem aresztowani zostali także wuj Alosza i ciocia Marusia.

Jak to się mogło stać? Jak ojciec zdobył się na to? Wiem tylko jedno: samemu nie przyszłoby to mu do głowy. Ale jeśli ktoś mu sprytnie i umiejętnie to podsunął, jeśli jakiś podstępny pochlebca (jakim był Beria) szeptał mu do ucha, że „ci ludzie są przeciw”, że „istnieją kompromitujące ich materiały”, że miały miejsce „niebezpieczne powiązania” przy wyjazdach za granicę itp. — ojciec rzeczywiście mógł w to uwierzyć. Napiszę jeszcze osobno o tym, jak bardzo był wstrząśnięty, rozbity duchowo śmiercią mamy i Kirowa. Przestał wierzyć w ludzi. Być może, zresztą, nigdy im zbytnio nie wierzył... Można go było przekonać, wmówić mu, że ten oto człowiek jest *niedobry* — choć przez wiele lat uważaliśmy go za dobrego — że to zły człowiek, a tylko *wydawał się* dobrym, że w rzeczywistości — to wróg, zdrajca, „źle o was mówił”, oto fakty, oto dowody, X i Z „wydali” go... A że owi X i Z mogli w katowniach NKWD „wydać” kogoś i cokolwiek — w to już ojciec nie wnikał. To

już była sprawa Berii, Jeżowa i innych podobnych im katów którym przyroda dała zamiłowanie do tej profesji...

A kiedy już „fakty przekonały” ojca, że jakiś dobrze mu znany człowiek okazał się *złym*, zachodziła w nim swoista metamorfoza psychiczna. Być może, w głębi duszy powątpiewał w to, bolał nad tym i myślał... Ale ulegał żelaznej, dogmatycznej logice: skoro powiedziano A, trzeba też powiedzieć B, C i tak dalej, do końca. Skoro postanowił, że N — to *wróg*, należało bezwzględnie uznać, że *tak jest w istocie*, a potem fakty już same układały się na potwierdzenie tego... Powrót do poprzedniego stanu rzeczy, uwierzenie na nowo, że N nie jest wrogiem, że to uczciwy człowiek — było dla niego psychiczną niemożliwością. Przeszłość dla niego *umierała*, przestawała istnieć i w tym właśnie była cała bezlitosność i okrucieństwo jego natury. Przeszłość jakby dla niego nie istniała; wspólny los, wspólna walka o tę samą sprawę, wieloletnia przyjaźń — ulegały przekreśleniu jakimś wewnętrznym, niepojętym gestem — i przepadał człowiek. „Aaa, zdradziłeś mnie” — mówiło coś w jego duszy, jakiś straszny szatan brał go w swoje ręce — „to i ja ciebie więcej nie znam!” Starzy towarzysze pracy, starzy przyjaciele i współbojownicy mogli wołać do niego pamiętając jego dawniejszy stosunek do nich — bez skutku! Był już głuchy na ich wołanie. Nie potrafił zrobić ku nim kroku wstecz, z powrotem. Przystawała istnieć pamięć. Była już tylko złowieszcza ciekawość — jak się teraz zachowuje N? Czy przyznaje się do swoich błędów?

Zdumiewające, jak ojciec był bezsilny wobec machinacji Berii. Wystarczyło przynieść mu papiery, protokoły, w których N „przyznawał się” do winy, albo inni „przyznawali się” za niego. A jeśli się „nie przyznawał” — było jeszcze gorzej.

Wuj Alosza był silnym człowiekiem. „Nie przyznał się” do żadnej winy. Mówił o tym N. S. Chruszczow w przemówieniu na XXII Zjeździe partii. Nie przyznał się

i nie „prosił o przebaczenie”, to znaczy nie błagał ojca listownie o pomoc, jak to bezskutecznie czyniło wielu innych. Wuj Alosza pokazał siłę i męstwo prawdziwego bolszewika. To tak bardzo podobne do niego, tak silnie kojarzy się z całą jego świetlaną postacią. Musiał jednak zapłacić za swoją wytrzymałość, za swą ludzką dumę i twardość. Rozstrzelano go w lutym 1942 roku, w wieku 60 lat.

Było to już podczas wojny. Znajdował się wówczas pod Uchtą, gdzie go zesłano na czas nieograniczony. Po śledztwie dali mu 10 lat, tyle samo, co cioci Marusi, ale ona odbywała wyrok w Dolińskoję, w Kazachstanie. Cóż jednak warte były wyroki sądu...? W 1942 roku przyszła jakaś „fala” terroru — rozstrzeliwano mnóstwo ludzi po obozach. I to ludzi skazanych już na roboty, na zsyłkę lub długoletnie więzienie. Czy miał na to wpływ przebieg wojny (nie doszło jeszcze do zwrotu na lepsze — jak pod Stalingradem — i sytuacja była ciężka), czy może znowu Beria, nakłaniając bez trudu ojca, postanowił rozprawić się z tymi, którzy szczegółowo znali jego ciemne sprawy — nie wiem, nie znam powodów.

Cioci Marusi wkrótce oznajmiono o wykonanym na jej mężu wyroku śmierci... Wysłuchała komunikatu i umarła. Pękło jej serce.

Dopiero w czasie wojny, kiedy już obydwójce znajdowali się w łagrach, on — na północy, a ona — na południu, zezwolono im wreszcie pisywać do syna, który znajdował się wówczas w Moskwie, pod opieką swojej wychowawczynie Lidii Trofimowny. Uratowała ona życie chłopcu dzieląc z nim swój skromny kawałek chleba, na który pracowała w szwalni.

Czytałam te listy teraz, niedawno, po spotkaniu z Iwanem Aleksandrowiczem Swanidze (Dżonikiem) — pierwszym od dwudziestu pięciu lat. Nie widzieliśmy się od 1937 roku. Pokazał mi te listy i opowiedział wszystko, co było mu wiadome o losie rodziców.

Listy zawierały zwykłe, czułe, rodzicielskie pytania: czy chłopczyk zdrowy, jak się uczy, jak układa mu się życie. Obydwoje mieli nadzieję, że liczni krewni zatroszczą się o chłopca. Było ich wielu zarówno od strony ojca, jak i matki. Ale krewni odmówili. Brat mój Jasza chciał kiedyś wziąć chłopca do siebie, ale żona ubłagała go, żeby tego nie czynić, że chłopiec trudny, rozpieszczony i że, w ogóle, ma przecież bliższych krewnych — wujków i ciotki. Z drugiej strony jednak, siostra wuja Aloszy — Mariko — również została aresztowana i zaraz potem zginęła w więzieniu. A brat Marii Anisimowny, na którego opiekę nad synem najbardziej liczyła — też trafił do więzienia, choć miał więcej szczęścia niż inni — żyje do dziś.

Jedną tylko Lidia Trofimowna, wierząca stara panna, fanatycznie ubóstwiająca Aleksandra Siemionowicza — uważała za swój *obowiązek* chować chłopca póki sił starczy... I zrobiła wszystko, co było w jej mocy.

A Iwan Aleksandrowicz, mimo wrodzonej neurastonii, mimo strasznych doświadczeń życia, które ze szczytów dobrobytu cisnęło nim o samo dno, pchnęło do więzienia z kryminalistami, a potem na zsyłkę do Kazachstanu, mimo wszystko — wyrósł na człowieka godnego swych wspaniałych rodziców. Przez jedenaście lat szczęśliwego, rodzinnego życia, udało się im nauczyć go wielu rzeczy, wpoić wiele dobrego. Zapas tych dziecięcych nauk starczył mu na bardzo długo. I kiedy wreszcie, w 1956 roku, po powrocie ze zsyłki w Kazachstanie dano mu możliwość wstąpienia na Moskiewski Uniwersytet, na wydział historii, uczył się celująco. Aspirantura i obrona pracy kandydackiej w Instytucie Afrykanistyki Akademii Nauk ZSSR — nie przedstawiały dla niego trudności. Odziedziczył po rodzicach wielką pracowitość. Jednego tylko nie potrafił do dzisiejszego dnia zachować — zdrowia. Nerwy jego nie wytrzymały wszystkich doświadczeń i często zawodzą. Jest dla swych bliskich trudnym, cięż-

kim we współżyciu człowiekiem. Za to dla obcych, dla studentów z Instytutu, dla wyborców z dzielnicy, w której jest radnym Rajsowiet<sup>o</sup>) — jest człowiekiem dobrym, serdecznym, wrażliwym. Dobroć jego jest bezinteresowna, dla siebie nie chce niczego. Ale walcząc o przyznanie pokoju jakiejś nieszczęsnej rodzinie, gnieźdzącej się w piwnicy, mógłby własnymi rękami zadusić tych, którzy stają mu na drodze. Gruziński temperament i bezkompromisowość buchają wtedy z niego jak płomień. Urodzony w 1929 roku, w Berlinie, nigdy dotąd nie był w Gruzji. Miejmy nadzieję, że odwiedzi jeszcze te strony, gdzie pamięć jego ojca otaczana jest szacunkiem i miłością. Niech Bóg da mu dużo zdrowia i powodzenie — Iwanowi Aleksandrowiczowi, Dżonuszce, jak nazywał go wuj Alosza w swych ostatnich listach.

No cóż, oto i wszyscy ci, którzy stanowili nasz dom i byli czynnymi świadkami mego dzieciństwa.

Jak straszny los ich spotkał, jak bezlitośnie, każde po swojemu, zginęło.

Wuj Alosza i ciocia Marusia kiedy zginęli mieli prawie po sześćdziesiąt lat, zdążyli jednak żyć długo, ciekawie i pożytecznie. Ale mama, Redens, wuj Pawłusza — nie wiele mogli zdziałać, odeszli w młodych latach. Anna Siergiejewna i Fiodor Siergiejewicz zostali inwalidami, zamknięto przed nimi życie. Babcia i dziadek żyli długo — prawie osiemdziesiąt lat — ale po śmierci mamy życie ich było właściwie powolną agonią na skutek tego, co się działo wokół, czego byli świadkami.

Był to kiedyś krąg ludzi żywych, przyjaznych sobie, wesołych. Pozostały nieupozowane, naturalne fotografie — z naszego tarasu w Zubałowie, z ogrodu, z Soczi, do kąd wszyscy jeździli latem. Pozostały też dzieci tych ludzi — dwóch synów i córka Pawłuszy, dwóch synów Anny

---

<sup>o</sup>) *Rajonny sowiet* — rada dzielnicowa (przyp. tłumacza).

Siergiejewny, Iwan Aleksandrowicz Swanidze, no i — ja. Dzieci pamiętają to i owo, przechowują coś w sercach, chowają stare, wyblakłe fotografie wesołych, kochanych, dobrych twarzy... Wszyscy pamiętamy nasze słoneczne dzieciństwo; pamiętamy Zubałowo-2 i Zubałowo-4 gdzie wszyscy mieszkaliśmy, biegaliśmy po lesie, zbieraliśmy poziomki i grzyby i chodziliśmy kąpać się w rzece Moskwie. Przez prawie siedem lat żyłam w normalnej, dobrej, interesującej rodzinie, która nam, dzieciom, starała się dawać i dawała wiele dobrego. W domu były zawsze tłumy dzieci — my, nasi przyjaciele i towarzysze, kuzyni i kuzynki. A wszyscy dorośli kochali dzieci, nikt na nie nie psykał i nie fukał, każdy jak mógł starał się je zabawić i nauczyć czegoś. Cały dom obracał się wokół dzieci. Taka była zasada mamy, taki był jej porządek, jej prawo.

I oto, mój miły przyjacielu, jakbym nie starała się skrycie odwlec tę chwilę, trzeba mi wreszcie opowiedzieć i o mamie — choć pewnie możesz już sobie po trosze wyobrazić jej postać. Nazbierało się wokół niej mnóstwo legend — kłamliwych, sentymentalnych, głupich, krótko mówiąc — niezycliwych. Legendy wymyśla się wtedy, kiedy ludzie nie rozumieją, nie znają lub nie umieją wytłumaczyć sobie pewnych zjawisk. A życie mojej mamy było przejrzyste jak kryształ. Charakter jej był wybitnie jednolity i stanowczy, pozbawiony wewnętrznych sprzeczności, manieri. Jej krótkie, 31-letnie zaledwie życie (jestem już starsza od niej) było niezwykle konsekwentne. Każdy człowiek, każdy charakter ma swoją własną logikę postępowania. *A* nie rozumie *B* dlatego właśnie, że — w tych samych okolicznościach — *A* nigdy nie postąpiłby tak, jak to uczynił *B*...

Dziś robi się z mamy to świętą, to znów chorą umysłową albo niewinnie zamordowaną. A ona nie była ani tym pierwszym, ni drugim ni trzecim. Była, po prostu, sobą. Już od dziecięcych lat wykształcił się jej jednolity, mocny charakter.

Na szczęście mam jej listy — bardzo wiele mówią one o jej naturze. Anna Siergiejewna przekazała mi nie-



dawno kopie listów mamy do A. I. i I. I. Radczenków — starych przyjaciół dziadka i babci. Listy te (prócz ostatniego, datowanego z 1924 roku) pochodzą z lat 1916-1918. Przeczytasz je zaraz. Pisała je gimnazistka, która przekształca się w dorosłą kobietę.

Mama urodziła się w Baku i dzieciństwo jej minęło na Kaukazie. Dzięki jej południowemu wyglądowi ludzie źle znający Gruzję brali ją niekiedy za Gruzinkę. W rzeczywistości jednak jej typ urody miewają Bułgarki, Greczynki lub Ukrainki — regularny owal twarzy, czarne brwi, troszeczkę zadarty nos, smągła cera i ciepłe, czarne oczy o prostych, ciemnych rzęsach. Co prawda, w tej urodzie mamy było również coś cygańskiego — jakies wschodnie znużenie, smutek w oczach, długość i szczupłość palców. Bardzo lubiła owijać się szalem. Było jej w tym ładnie. Zresztą nawet indyjskie sari wyglądałoby na niej naturalnie.

Była najmłodsza z całej swojej rodziny. Dwaj bracia i siostra kochali ją i rozpieszczali — była zresztą ślicznym dzieckiem. Zachowały się u mnie stare pocztówki, zapisane jej dziecięcym pismem — świąteczne pozdrowienia dla braci i siostry, prośba o książkę. Rodzina ta żyła w ciepłe, w przyjaźni. W Petersburgu dziadek i babcia żyli — według naszych dzisiejszych standartów — w wielkim dostatku i dzieci uczyły się w gimnazjach. We wcześniejszych listach mamy do przyjaciół jej rodziców, to jest do Alisy Iwanowny i Iwana Iwanowicza Radczenków, przebija jeszcze obraz autorki jako wesołej, miłej i dobrej piętnastolatki. Żadnej maniery, żadnych neurasznicznych skłonności, żadnej pozy.

„Droga Aliso Iwanowna, wybaczenie, że tak długo nie odpowiadałam na list. Zupełnie nie miałam czasu. Leniuchowałam w lecie i teraz w ciągu dziesięciu dni musiałam przygotować się do egzaminów. Musiałam podgonić trochę, zwłaszcza w algebrze i geometrii. Dziś rano poszłam na egzamin, ale nie wiem jeszcze

czy zdałam, czy nie. Myślę jednak, że zdałam ze wszystkich przedmiotów prócz wypracowania z rosyjskiego, chociaż temat był łatwy, ale w ogóle jestem w tym słaba.

Musiałam rzucić poprzednie gimnazjum, ponieważ zbyt daleko przenieśliśmy się, a obecne jest akurat naprzeciwko Dworca Nikołajewskiego.

Droga A. I., bardzo dziękuję za zdjęcia. My z Niurą\* też się sfotografowałyśmy. Niury zdjęcie już jest gotowe, a moje jeszcze nie. Niura wstąpiła do Instytutu Psycho-Neurologicznego, ale zdjęcia jeszcze się tam nie zaczęły. W naszym domu jest szkoła wstępna. Zachorowała tam nauczycielka i Niura ją zastępuje”.

(List z 1 maja 1916 r.)

Następny list, napisany 10 września 1916 roku, adresowany jest do Alisy Iwanowny i jej malutkiego Aloszy, zwanego w domu Niaką.

„Jestem już tu w nowym gimnazjum. Zdaje się, że niczego sobie, choć z nikim się jeszcze nie zaprzyjaźniłam, a tylko rozglądam się na razie; dziewczynki są całkiem sympatyczne, ale nie dla nowych. A ponieważ ja jestem nowa, to i nie są dla mnie zbyt życzliwe, ale myślę, że z czasem wszystko się ułoży.

Niurę przyjęli do Psysz\*\*. A. I., bardzo nas interesuje gdzie teraz jest Iwan Iwanowicz, jak mu się powodzi i czy prędko będzie w Pitrze? Bardzo chcielibyśmy zobaczyć się z nim. Ciężko do nas kogoś zwabić, taka męcząca droga i tak nam schodzą wszystkie dni, wstajemy wcześniej i tak też chodzimy spać; kładziemy się z kurami a wstajemy z kogutami. Jak żyje Niaka, czy zdrowy i wciąż dokazuje z Lidą? Ciekawa jestem co z ogrodem i jak się wszyscy mają. Niura i Fiedia przygotowują dwoje uczniów: dziewczynkę do czwartej klasy i chłopca — do drugiej...

Naszego Pawłuszę, zdaje się, odkomenderowali do Pskowa czy do Archangielska. Był teraz u nas i zabrał rzeczy, powiedział, że ich wysyłają i że to nie najlepiej, bo mu zdrowie nie dopisuje. No, więcej już chyba nie ma o czym pisać. Życzę wam wszystkiego najlepszego. Całuję was mocno. Przekażcie wszystkim ukłony od nas”.

\* Anną Siergiejewną.

\*\* Instytut Neuro-Psychologiczny.

Kolejne dwa listy napisane w zimie, w grudniu tego samego, 1916 roku. Wciąż te same rodzinne troski związane ze służbą Pawłuszy i obawy, że mogą zabrać i Fiedię.

Niedługo rozpuszczą nas na wakacje i chyba spędzimy Boże Narodzenie w Piotrogradzie. Wyjechać gdzieś byłoby za długo, drogo i ciężko. Podoba mi się życie w gimnazjum, ale jeszcze się z nim nie oswoiłam.

Niaka pewnie będzie miał choinkę. Przekażcie mu, żeby mu nie przyszło do głowy chorować na Nowy Rok; życzę mu wesołego spędzenia świąt. Pozdrowienia dla A. I. i dla Niaki. Nasi domownicy przesyłają Wam ukłony”.

I za dziesięć dni:

„Zwolnili nas już na święta, będziemy teraz wolne przez trzy tygodnie — będzie można wyspać się, choć zadali nam sporo, zwłaszcza z rosyjskiego i z historii. Wydali nam już świadectwa za drugi okres, jak dotąd wszystko idzie pomyślnie, dwójek nie ma, choć trójek dużo. Najtrudniejszym przedmiotem jest dla mnie niemiecki, bo u nas czytają i nie tłumaczą, a ja zupełnie nie władam językiem niemieckim, a także francuskim. Osiągnęłam wreszcie to, że z religii mam pięć. To jest coś niebywałego, ale cały okres wkuwałam na pamięć, co było zupełnie okropne. Bardzo się cieszę, że wstąpiłam do tego gimnazjum, dziewczynki tu takie miłe i dobre, że po prostu przyjemnie się z nimi uczyć. Zaczynam już tęsknić za swoją klasą choć minął dopiero jeden tydzień.

... Jak już wiecie, mój starszy brat jest teraz w Nowgorodzie. Papa i mama zrzędzą po staremu. Już od ponad miesiąca piszę dziennik, bardzo mnie to pochłania; kiedy nie mam z kim porozmawiać, to wyrażam w nim swoje uczucia. Jestem bardzo zadowolona, że wzięłam się do tego, chociaż możliwe, że wkrótce mi się znudzi. Życzę Wam i Niace żebyście się przyszli do siebie i zaczęli od nowego roku nowe, zdrowe życie...”

W styczniu 1917 roku mama pisze do Alisy Iwanowny:

„... Jutro nie pójde do gimnazjum z powodu chłódów. Tylko co wróciłam z lekcji muzyki bardzo zmarznięta. 3 stycznia zdałam egzamin na 5! Jestem bardzo zadowolona, że moje wysiłki nie poszły na marne; jest mi trochę trudno, ale mimo to nie chcę

rzucac nauki. U was teraz na pewno pieknie i Niaka wciaz jezdzi na nartach i lyzwach, a my siedzimy w klasie i sluchamy jakiegos niemozliwego wykladu z religii, podczas gdy nalezaloby korzystac z ladnej pogody. Niura tez juz chodzi do swego Psyszu, przygotowuje sie teraz z laciny; bardzo Was przeprasza, ze nie pisze.

Bardzo czekam lata. Droga A. I., przysla mi do glowy mysl, o ktorej chce Wam napisac: zastanawialismy sie z Niura i z mama dokad pojechać na dace i ja wyrazilam swoje zyczenie, na ktore mama sie zgodzila. Teraz potrzebna jest Wasza zgoda. Mianowicie: jezli mozna, pojechalabym do Was, do Elektrowni i wstapilabym do kogos na sluzbe. Mysle, ze moge juz to zrobic, bo wkrótce skonczę szesnaście lat. Jezli mozna mieszkalabym u Was... Napiszcie mi, czy aprobujecie moje zyczenie, czy nie. Niura jedzie do znajomych w Czarnomorskiej Gubernii. Mama otrzymala urlop trzytygodniowy, bo bardzo wychudla i jest przemeczona, a ponadto rozstrojona jest zupełnie po wyjeździe Pawluszy. Za miesiac wysla go pewnie na front — od razu zrobili mu trzy szczepienia”.

A oto list z 27 lutego 1917 roku, czyli napisany w wigilie rewolucji:

„Zebrałam się wreszcie by napisac do Was, cały ten czas zupełnie nie bylo kiedy. A teraz odwołano u nas zajęcia na cztery dni w związku z niepokojami w Piotrogradzie i mam czas. Sytuacja w Piotrogradzie jest obecnie bardzo nerwowa i ciekawa jestem bardzo co dzieje się w Moskwie. Prawie nikogo z naszych nie ma w domu: Niura jest u brata mamy, Fiedia tez gdzieś tam, papa — w mieście, a my z mama siedzimy same i wyglądamy papy, bo jakoś dlugo juz go nie bylo.

... Po Bozym Narodzeniu mieliśmy bardzo malo zajęć, to bylo zimno, to znów ja chorowalam, a teraz nawet na ulice wyjść nie mozna. Napisalabym bardziej szczególowo o co tu chodzi, ale mysle, ze w liście lepiej się nie rozpisywac. Przez wszystkie te dni bede czytala Czechowa, bardzo to nudne. Znudzilo mi się wszystko i chcialabym, zeby przedzej juz przyszlo piekne, gorace lato. Calá ta zima byla bardzo zimna i pewnie Niaka niewiele wychodzil. A teraz zycze Wam wszystkiego dobrego i mocno caluje”.

Jeszcze tego samego dnia, 27 lutego, w slad za listem posla pocztowka:

„... Nudzimy się bardzo, bo od czterech dni nie ma już w Piotrogradzie komunikacji. Ale po tych smutnych dniach nastąpiło święto i to wielkie, a mianowicie — 27 lutego! Jestem teraz w domu z papą, a pozostali pojechali „dwójką” czyli na własnych nogach w miasto, tylko Niura, ze względu na chorobę, leży już piątą dzień u wujka i nie przychodzi do domu, ale Fiedia przychodzi. Papa jest w podniosłym nastroju, cały dzień sterczy przy telefonie. Dziś przyjechał Awiel Enukidze i zupełnie nieoczekiwanie trafił wprost z Nikołajewskiego — na święto. Tymczasem życzę Wam wszelkiego dobra. Całuję. Nadia”.

Oto i przyszło święto — rewolucja lutowa. Wrócił dziadek i opowiedział w domu, co zaszło. Nie rozumieją jeszcze w rodzinie, co się właściwie dzieje, a już przyjeżdża Awiel Sofronowicz Enukidze. Wrócił z zsyłki, z Syberii. A trzeba dodać, że wuj Awiel — to mamy chrzestny, którego znała i kochała cała rodzina i cały dom składał się na paczki, które posyłało mu na Syberię. Ojciec mój także znajdował się w tym czasie na syberyjskiej zsyłce i pisywał stamtąd do Olgi Jewgieniewny, naszej babci. I jemu posyłała cała rodzina Allilujewów takie same paczki jako staremu przyjacielowi i towarzyszowi walki.

W liście z 30 marca to i owo z rozgrywających się wydarzeń zaczyna już interesować młodą dziewczynę, dla której jednak wciąż jeszcze zajęcia w gimnazjum są najważniejsze:

„... W ciągu tego krótkiego czasu zaszło wiele ciekawego. Słyszeliście na pewno o nieoczekiwanej śmierci syna Czcheidze? Byłam na pogrzebie i widziałam ojca — bardzo, bardzo smutny obraz... Nie bacząc jednak na ciężkie okoliczności kontynuuje on swoją działalność. Strasznie go żal.

13 marca poszliśmy wszyscy na pogrzeb poległych. Uroczystość była wspaniała, choć trzeba było przez siedem godzin stać na jednym miejscu. Śpiewaliśmy jednak bez przerwy i czas przeleciał niepostrzeżenie. Kiedy już po dziesiątej wieczorem przybyliśmy na Marsowe Pole, uderzył nas piękny widok: wszędzie płonęły pochodnie, grzmiała muzyka i w ogóle widowisko było zachwycające. Przyszliśmy do domu zmoknięci i zmęczeni, ale pełni ja-

kiejs otuchy i w podniosłym nastroju. Nasz papa był chorąży, przez ramię miał przewieszoną czerwoną wstęgę a w ręku trzymał białą chorągiew.

Dziękuję Wam za zaproszenie. Zajęcia mijają u nas bardzo cicho, bo wszyscy zajęci są czym innym. Po Wielkanocy będą egzaminy z botaniki i zoologii, a zatem trzeba będzie się tym zająć. Mówią, że zajęcia trwać będą tylko do 20 maja, a my, klasy średnie, zakończymy już 15-go. Bardzo jesteśmy urażone, że w ósmej, siódmej i szóstej wybrali delegatki, a nam powiedzieli, że my jeszcze jesteśmy do tego za małe i za głupie. Ale i my mamy swoje kółko, w którym bardzo energicznie pracujemy — jest to kółko samokształcenia. Zaczynamy zestawiać bibliotekę, pomagamy sobie nawzajem w trudniejszych przedmiotach i w ogóle naszym celem jest, aby cała nasza klasa przyjaźniła się i stanowiła zwarty blok. Ale, niestety, mamy jeszcze w klasie bardzo wiele dzieciaków, które nam tylko przeszkadzają. Niedawno miałyśmy posiedzenie, które trwało trzy i pół godziny. Mnie to wszystko interesuje i prawie za każdym razem jestem obecna. Pełnię obowiązki skarbniczki, choć jeszcze nie mam doświadczenia i źle się wywiązuję. Ale wszyscy są ze mnie zadowoleni.

Pozdrawiam was wszystkich z okazji obecnych świąt”.

Lato 1917 roku — lipiec i sierpień — spędziła mama na dacy A. I. i I. I. Radczenków. Dziadek zajęty był działalnością partyjną. Latem — w lipcowe dni — w jego mieszkaniu ukrywał się na krótko Lenin. Oddano mu maleńki pokoik mamy. Teraz w mieszkaniu tym jest muzeum — na ścianach wiszą fotografie z tych lat, w pokoiku zachowano skromne meble: wąskie, żelazne łóżko, koc, etażerka, stolik.

Byłam w tym mieszkaniu dziadka latem 1955 roku, podczas pierwszej wizyty w Leningradzie. Było mi jakoś dziwnie i straszno stąpać po tych schodach, po których mama zbiegała w drodze do gimnazjum; jakoś dziwnie czułam się wchodząc do mieszkania, gdzie ona po raz pierwszy spotkała ojca.

Na szczęście nie było w ten dzień zwiedzających. Długo wałęsałam się po pustych pokojach, postąpiłam w kuchni i próbowałam wyobrazić sobie życie w tym mieszka-

niu... Czułam się dziwnie i — co ciekawsze — zupełnie nie było mi smutno. Wiało na mnie z tych ścian ciepłem, przytulnością i miłością mojej rodziny, choć przybrały już one niestety, urzędowy wygląd „wystawy”. Ale, mimo to, duch pozostał żywy, duch mamy unosił się gdzieś tutaj, w tym maleńkim, dobrym mieszkaniu, nigdy stąd nie odszedł, nie mieszkał na Kremlu — tam byłoby dla niego nie do wytrzymania... Kreml zawsze był jej obcy i wszystkie urzędowe mieszkania, całe późniejsze życie — wszystko to było nie jej, to było obce. A tu była i pozostała milutką gimnazistką pobierającą pierwsze lekcje historii — nie z podręczników, a z otaczającego ją życia. Tu był dom jej rodziny, jej ojca i matki. Tu było jej miasto. I gdyby stąd nigdzie nie wyjeżdżali, to — być może — los całej rodziny byłby zupełnie inny, o ileż szczęśliwszy...

Oto po letnich wakacjach, jesienią 1917 roku, mama i cała rodzina — znów są w domu, w Piotrogradzie; 19 października mama pisze do Radczenko:

„... Mamy teraz taki nawał zajęć, a mnie jeszcze dwie godziny dziennie zabiera muzyka. Piszę teraz do Was, jest już 12 godzina, a ja jeszcze nie odrobiłam francuskiego. I tak co dzień — przed pierwszą nie chodzę spać. Wszyscy już w łózkach, a ja jeszcze siedzę, wkuwam...

Nie mamy zamiaru nigdzie wyjeżdżać z Pitra. Z żywnością jak dotąd dobrze. Można dostać jajka, mleko, chleb i mięso, tyle że drogo... I w ogóle żyć można choć jesteśmy (jak wszyscy tutaj) w okropnym nastroju, czasem aż człowiek płacze: straszne nudy, nie ma dokąd pójść. Ale w ostatnich dniach byłam z nauczycielką muzyki w Teatrze Muzycznym i widziałam „Sorocziński jarmark”. Byłyśmy bardzo bardzo zadowolone. W Pitrze chodzą słuchy, że 20 października ma być pochód bolszewików, ale wszystko to, zdaje się, bzdura. No, na razie wszystkiego dobrego. Kiedy znów będzie czas, napiszę do Niaki, a tymczasem bardzo dziękuję mu za list. Całuję mocno, pozdrowienia od wszystkich”.

A jednak „pochód bolszewików” odbył się.

Już po październikowym przewrocie, 11 grudnia 1917 roku, mama pisze:

„Droga A. I.! Proszę wybaczyć długie milczenie. Żyję tymczasem dobrze, choć trochę nudno, ale przecież my zawsze tak żyliśmy. Zajęcia idą źle. Dwa razy w tygodniu wyłączają prąd i, w związku z tym, wykłady mamy tylko cztery razy na tydzień. Zawiadomcie mnie czy Iw. Iw. otrzymuje gazety. Zaprenumerowałam mu trzy... Chciałam kupić jeszcze dla Iw. Iw. papierosów, ale kolejka taka długa — pełna klęska! Trzeba by wstać w nocy, a do tego jeszcze dają bardzo mało...

Droga A. I., ja teraz w gimnazjum wojuję. Zbierali u nas właśnie pieniądze na urzędników i wszyscy dawali po dwa, trzy ruble. Podeszli do mnie, a ja mówię: „Ja nie ofiaruję nic”. Pytają mnie: „Zapomnieliście pewnie pieniędzy?” A ja powiedziałam, że w ogóle nie chcę nic dać. Ale była burza! A teraz wszyscy nazywają mnie bolszewiczką, ale nie złośliwie, z sympatią. Bardzo jestem ciekawa do jakiej partii należy Alosza, on to już na pewno bolszewik...

Już od dwóch miesięcy uczę się muzyki. Postępy — tak sobie, nie wiem jak będzie dalej. Tymczasem do widzenia, muszę jeszcze uczyć się nieszczęsnej religii”.

Przyszedł rok 1918.

Dwa listy do Alisy Iwanowny napisane w styczniu i w lutym pełne są troski o gospodarstwo, o dom, a także nowych zainteresowań...

„Dzień dobry droga A. I.! Wybaczcie, że dawno nie pisałam, zupełnie rozleniwiłam się w święta. Zawsze tak: im więcej czasu, tym więcej lenistwa. Pozdrawiam z okazji Nowego Roku. Zmienił on u nas zupełnie życie domowe. Mama już nie mieszka w domu bo my wyrosliśmy i chcemy myśleć i postępować tak, jak my chcemy, a nie tańczyć jak nam rodzice zagrają; w ogóle kompletni z nas anarchiści, a ją to denerwuje. Są to jednak powody drugorzędne, głównie chodzi o to, że nie ma już dla niej w domu prywatnego życia, a ona jest jeszcze młodą i zdrową kobietą. Całe gospodarstwo zważyło się teraz na mnie. Bardzo przez ten rok urosłam, jestem już zupełnie dorosła i bardzo mnie to cieszy.

Zajęcia w gimnazjum idą bardzo ospale. Cały ten tydzień odwiedzamy Wszechrosyjski Zjazd Rad Delegatów Rob., Żoń. i Chł. Całkiem to ciekawe, zwłaszcza kiedy mówią Trocki albo



Lenin, inni mówią bardzo rozwlekłe i bez treści. Jutro, 17 stycznia, jest ostatni dzień Zjazdu i wszyscy, obowiązkowo, pójdziemy.

A jak wy wszyscy żyjecie? Szczególnie mnie interesuje jak żyje szalony Ałoszka. Czy wiecie coś o Krasinach? Wpadli czemuś w dumę i nie odpisują na nasze listy. Moja nowa wada: stałam się bardzo zła i ordynarna, ale mam nadzieję, że to minie.

Fiedia rzucił szkołę wojskową i wstąpił na Akademię, na wydział matematyczny. Odegrałam rolę mamy i krzątałam się koło niego bez przerwy. Wreszcie jakoś się urządził. Jednocześnie pracuje i uczy się. Mnie już zaczyna być wstyd, że wszyscy u nas pracują, a tylko ja jedna próżnuję i wydaję więcej niż wszyscy inni. Ale w ogóle wszyscy mnie raczej lubią”.

I oto ostatni list mamy z Piotrogradu napisany w lutym 1918 roku:

„Witajcie, kochani. Bardzo się cieszę, że wreszcie otrzymaliście wysłane przeze mnie papierosy. Zresztą teraz pewnie potrzebniejsze są niż przedtem. Tylko dlaczego nie piszecie nic na temat gazet, czy otrzymujecie je? Bałam się zaprenumerować na luty, bo obawiałam się, że ich nie dostajecie.

Mam już powyżej uszu zajmowania z gospodarstwem, ale zdaje się, że niedługo mama mnie znów zastąpi. Smutno jej mieszkać bez naszej wrzaskliwej hałastry. Oczywiście, strasznie jesteśmy jej radzi. Ojciec przeleżał w łóżku trzy tygodnie, najpierw na anginę. Ledwie po niej wyszedł, zwichnął sobie silnie nogę wsiadając do tramwaju. Teraz zaczyna pomału wstawać. Podczas jego choroby byłam gospodynią i siostrą miłosierdzia w jednej osobie plus jeszcze gimnazjum, gdzie opuściłam trzy czy cztery dni.

W Pitrze straszna głódówka, dają jedną ósmą funta chleba dziennie, a jednego dnia w ogóle nie dali. Wyłajałam nawet bolszewików. Ale obiecali dawać więcej od 18 lutego. Zobaczymy!

...Straciłam dwanaście funtów i muszę teraz przerabiać wszystkie spódnice i bieliznę — wszystko ze mnie spada. Podejrzewają mnie już nawet, czy przypadkiem nie zakochałam się, że tak schudłam.

Przyjechał do nas na pięć dni Pawłuszka i znów pojechał. Zapisał się do nowej, socjalistycznej armii, choć mówi, że frontu już ma powyżej uszu. Mama go besztala, a my na hurra broniliśmy. Ojciec też chce się zapisać, ale to oczywiście żarty. Jak żyje

Aloszka? Powiedzcie mu, żeby napisał do mnie liścik, na pewno przecież umie już doskonale pisać.

No, całuję mocno. Wasza Nadia”.

Wkrótce mama wyszła za mąż i przyjechała z mężem do Moskwy. Zaczęła tam pracować u Ł. A. Fotijewej, w sekretariacie W. I. Lenina. Potem pojechała wraz z ojcem na front południowy.

Kończyło się beztróskie, szczęśliwe dzieciństwo. Zaczynało się inne życie — nie dla niej jednej, dla całej ogromnej Rosji.

Mama i później widywała się z rodziną Radczenków. Oto jej ostatni list do I. I. Radczenko napisany po sześciu latach:

„Drogi Iwanie Iwanowiczu!

Zwracam się do Was z wielką prośbą. Jeśli moglibyście dać mi rekomendację potrzebną do przeszerogowania z kandydata na członka WKP, to bardzo Was o to proszę. Chciałam do Was zająć dzisiaj sama, ale punktualnie o dziewiątej godzinie muszę być w SNK i nie zdążyłabym przed dziewiątą wrócić. Moją rekomendację należy napisać na osobnym arkuszu i jak najprościej. W każdym razie obowiązkowo do Was zajdę, ale teraz w żaden sposób nie dam rady. Wybaczcie, że was niepokoję i z góry bardzo dziękuję. Pozdrowienia dla Alisy Iw. i Aloszki.

9. VIII. 24 r.

Nadia Allilujewa”.

Jakaś naiwność i czystość przebija z tych listów. Wszak to jeszcze dziecko, a już na jej plecach zwałił się taki los! Nie dość było rewolucji, wojny domowej, chaosu... Nie, na dziecko to zwała się jeszcze kamieniem miłość do człowieka o 22 lata od niej starszego, zesłańca i naznaczonego ciężkim życiem rewolucjonisty; człowieka, z którym niełatwo było iść przez życie nawet jego własnym towarzyszom. A ona poszła wraz z nim, jak mała łódeczka przywiązana do ogromnego, oceanicznego parowca. Tak właśnie ją widzę tę „parę” płynącą razem przez rozszalały ocean...

A ona, jeszcze za gimnazjalnych czasów, jak tylko się zakochała, starała się ze wszystkich sił *dorównać* temu potężnemu statkowi w jego wielkich rejsach. Starala się tak bardzo, że sama nie zauważyła jak rosła i rosła stając się poważnym, mądrym, dojrzałym człowiekiem. A potem najpewniej, zaczęła nawet więcej rozumieć niż on sam...

Wtedy zaś miała inne spojrzenie na świat, inną skalę: zaczynała dopiero żyć, kiedy dokonała się rewolucja. A on był już dojrzałym, czterdziestoletnim człowiekiem, zaczął się już dla niego wiek sceptycyzmu, rozsądku i chłodnego wyrachowania — wszystkiego tego, co tak ważne jest dla polityka.

Teraz, kiedy mam 37 lat, jakoś bardziej wyraźnie widzę całą duchową różnicę między tym dwojgiem ludzi, którzy połączyli się w rodzinę. Bardzo szybko musiały nadejść chwila kiedy romantyzm, uskrzydlenie i młodzieńczy entuzjazm rewolucji, jaki ożywił mamę, nieuchronnie zamieniły się w dojrzałą trzeźwość. I wtedy spojrzała na wszystko innymi oczami. Ale nie wybiegajmy w przód.

Przejdę teraz wprost do okresu mego dzieciństwa, bo wtedy sama obserwowałam mamę i z tych czasów ją pamiętam. Ale czytając o tym wszystkim, co nastąpiło później, proszę cię nie zapominać mój przyjacielu o tych jej młodych listach: w duchu pozostała nie zmieniona, na zawsze taka sama jak wówczas. W chwili, o której opowiem, już przez drugi dziesiątek lat konfrontowała swą czystą, uczciwą duszę z tym ciężkim światem, w której przyszło jej żyć. Zrozumiesz, jak bardzo jej było trudno, jak wszystko to nie było w jej stylu...

Mimo wszystko jednak potrafiła wówczas stworzyć życie rodzinne — niedługo wprawdzie, ale takie, że z wdzięcznością wspominają je ci, którzy znali nasz dom i bywali w nim — życie, które po dziś dzień jaśniej w mej pamięci słonecznym dzieciństwem.

Mama była dla nas surowa, nieubłagana i niedostępna. Nie wynikało to z oschłości serca, a z wewnętrznego poczucia obowiązku, który dyktował jej, że należy być wymagającą i wobec siebie i wobec nas. Zapamiętałam mamę jako bardzo ładną kobietę — nie tylko mnie zresztą taką się wydawała. Nie pamiętam dokładnie twarzy, ale pozostało związane z nią wrażenie czegoś pięknego, wdzięcznego, poruszającego się lekko i przyjemnie pachnącego. Było to nieświadome odczucie dzieciństwa, po prostu taką tworzyła wokół siebie atmosferę, taka była jej natura. Rzadko mnie pieściła, w przeciwieństwie do ojca, który nosił mnie na rękach, lubił głośno i cmokliwie całować, nazywał pieściliwymi słowami — „wróbelek”, „muszka”. Kiedyś pocięłam nożyczkami nowy obrus. Boże mój, jak boleśnie wytrzepała mnie mama po rękach! Tak się rozryczałam, że przyszedł ojciec, wziął mnie na ręce, pocieszał, całował i jakoś wreszcie uspokoił... Nieraz ratował mnie od baniek i okładów z górczycy — nie znosił dziecięcego płaczu i krzyku. A mama była nieubłagana i złościła się na niego za „rozpieszczanie”.

Oto jedyny zachowany list mamy do mnie, z 1930 lub 1931 roku:

„Dzień dobry, Swietłanoczka,

Wasia napisał mi, że dziewczynka nielecho szaleje. Strasznie mi smutno czytać takie listy o dziewczynce. Myślałam, że zostałam dziewczynką dużą, rozsądną, a ona, jak się okazuje, zupełnie jeszcze jest malutka i nie umie żyć po dorostemu. Proszę cię, Swietłanoczka, porozmawiaj z N. K.\* jak by uporządkować wszystkie twoje sprawy tak, żebym już podobnych listów nie otrzymywała. Porozmawiaj z nią koniecznie i napiszcie mi razem z Wasią albo z N. K., co postanowiliście. Kiedy mama wyjeżdżała, dziewczynka obiecywała bardzo, bardzo dużo, a teraz okazuje się, że mało z tego robi.

Obowiązkowo zatem mi odpisz, jak postanowiłaś żyć dalej — na poważnie, czy jakoś inaczej.

Zastanów się jak należy. Dziewczynka już duża i umie myśleć. Czy czytasz coś po rosyjsku? Czekam na odpowiedź dziewczynki.

Twoja mama”.

Oto i wszystko. Ani jednego czułego słowa. Z pewnością niewielkie były psoty „dużej dziewczynki”, która miała wtedy pięć i pół czy sześć lat; byłam zresztą spokojnym, posłusznym dzieckiem. Ale wymagania wobec mnie były surowe.

Ojciec pisał do mnie inne listy.

Zachowały się dwa spośród nich, przypuszczalnie z tego samego (1930-32 r.) okresu, bowiem ojciec napisał je dużymi, równymi, drukowanymi literami. Listy kończą się niezmiennym „całuję” — ojciec bardzo lubił to robić dopóki nie urosłam. Nazywał mnie (zdaje się do szesnastego roku życia) „Sietanką” — sama tak siebie nazywałam, kiedy byłam małeńka. Nazywał mnie też „Gospodynią”, bo bardzo pragnął żebym była, za przykładem mamy, czynnym elementem gospodarstwa domowego. A jeśli o coś prosiłam lubił mawiać: „No, o co chcesz prosić! Rozkaż tylko, a my wszystko zaraz wypełnimy”. Stąd — zabawa w „rozkazy”, która długo ciągnęła się w naszym domu. Ponadto była jeszcze wymyślona „idealna dziewczynka” — Lelka — którą wечно stawiano mi za

---

\* Natalia Konstantinowna, nasza wychowawczyni i nauczycielka.

przykład. Robiła zawsze wszystko jak należy, a ja ją za to zniecierpliwiałam. Wyjaśniliśmy co trzeba, mogę przytoczyć ojca listy z tych lat:

„Do Sietanki-Gospodyni.

Ty na pewno zapomniałaś o tatce. Dlatego i nie piszesz do niego. Jak twoje zdrowie? Nie chorujesz przypadkiem? Jak spędzasz czas? Lelki nie spotkałaś czasem? Lalki jeszcze żywe? Myślałem, że prędko przyślesz rozkaz, a rozkazu jak nie ma, tak nie ma. Niedobrze. Tatko się obrazi. No, całuję. Czekam na twój list.

Tatko”.

Wszystko to starannie wykaligrafowano dużymi, drukowanymi literami. Oto inny list z tych samych lat:

„Dzień dobry Sietanko!

Dziękuję za prezenty. Dziękuję też za rozkaz. Widać, że nie zapomniałaś o papie. Jeśli Wasia z nauczycielem pojedą do Moskwy ty zostań w Soczi i czekaj na mnie. Dobrze? No, całuję.

Twój papa”.

Cała korespondencja z rodzicami odbywała się między Zubałowem i Soczi, dokąd oni wyjeżdżali w lecie, a my zostawaliśmy na daczach — lub odwrotnie. Przytaczam jednocześnie list mamy i listy ojca, bowiem są one charakterystyczne dla ich stosunku do dzieci. Ojciec nie krępował nas (choć co prawda był bardzo srogim i wymagającym dla Wasyła), pieścił, lubił się ze mną bawić — byłam jego rozrywką i wypoczynkiem. Mama bardziej ujmowała się za Wasylem, a dla mnie była surowa, żeby zrównoważyć czułość ojca. Mimo to jednak kochałam ją bardziej...

Doskonale pamiętam jak spytałam kiedyś nianię: „Dlaczego tak jest: z babci i dziadka bardziej kocham dziadka, a z mamy i taty bardziej kocham mamę?” Moja niania plasnęła w ręce i rzuciła się na mnie: „No a babcia, a tatko!? Wszystkich trzeba kochać! Czyż tak można?!” Długo biadoliła i robiła mi wyrzuty. Wszystkich trzeba

kochać — to była dewiza całego jej życia, a także dobry nawyk sumiennej służącej: nie robić żadnych różnic między obojgiem gospodarzy i nie wpajać ich w dzieci. Nigdy nie ujawniała przede mną swych osobistych sympatii, do wszystkich odnosiła się jednakowo.

Mama bywała z nami bardzo rzadko. Wiecznie pochłonięta nauką, pracą, poleceniami partyjnymi i robotą społeczną — wciąż znajdowała się poza domem. A my też zawałeni byliśmy lekcjami, spacerami z nauczycielem lub Natalią Konstantinową, zestawianiem zielnika, pielęgnowaniem królików — żeby tylko nie siedzieć bezczynnie! Wypowiedzianą jeszcze w jednym z gimnazjalnych listów zasadę: „im więcej czasu, tym więcej lenistwa” — mama przestrzegała ściśle w wychowaniu swoich dzieci. Prócz niemieckiego, ogólnych zajęć z rosyjskiego i arytmetyki, prócz rysowania i lepienia z Natalią Konstantinową, mama skierowała mnie jeszcze do przedszkola muzycznego. Była to grupa około 20 dzieci, których rodzice przyprowadzali do mieszkania Łomowów. Przez dwa lata prowadziła mnie tam niania, na Spaso-Pieskowski zaułek. Były to cudowne zajęcia. Dzieci śpiewały chórem i solo, grały w rozmaite gry rozwijające słuch i poczucie rytmu, a potem uczono nas nut i pisaliśmy dyktanda nutowe — robiłam w tym dobre postępy. Mama była bardzo zadowolona, że zajęcia te nie idą na marne. Nie pamiętam już niestety nazwiska nauczycielki, która dała nam wszystkim jakie takie podstawy wykształcenia muzycznego. Niania moja umarła i nie mam już kogo spytać ani o jej nazwisko, ani o to kim byli sami gospodarze Łomowowie. Mieli w domu piękne książki dla dzieci. Stąd właśnie zjawił się u mnie „Maks i Moryc”. Czytaliśmy tę książkę na głos wraz z nianią. Miała ona doskonałą pamięć do wszelkich wierszy i potem często cytowała całe fragmenty.

Mimo braku czasu mama też nadal uczyła się muzyki u znanej całemu ówczesnemu Kremłowi nauczycielki

Aleksandry Wasiliewny Puchljakowej. Poznałam ją już znacznie później. Mama uczyła się też francuskiego. Nie wiem u kogo, ani jakie zrobiła postępy. W każdym razie chciała dalej uczyć się i doskonalić swą wiedzę, by nie pozostawać w tyle za tymi wspianymi, wykształconymi ludźmi, którzy ją otaczali.

Była bardzo młoda i miała jeszcze przed sobą całe życie. W 1931 roku skończyła zaledwie trzydzieści lat. Studiowała w Akademii Przemysłowej na wydziale sztucznych włókien. W tamtych latach była to nowa dziedzina, nowa, przemysłowa chemia. Mama byłaby doskonałym specjalistą. Pozostały jej zeszyty — prowadzone czyściutko, na pewno dokładnie. Znakomicie kreśliła; w domu, w jej pokoju, stał stół kreślarski. W Akademii studiowały też jej przyjaciółki — Dora Moisiejewna Chazan (żona A. A. Andriejewa) i Maria Markowna Kaganowicz. Sekretarzem ich jacejki partyjnej był młody Nikita Siergiejewicz Chruszczow, który przybył na Akademię z Donbasu. Po ukończeniu Akademii został on zawodowym pracownikiem partyjnym. Przyjaciółki mamy natomiast zaczęły pracować w przemyśle tekstylnym. Ona też pragnęła samodzielnej pracy, przygniatała ją sytuacja „pierwszej damy królestwa”.

Pewnego razu — była to rzadkość — mama spędziła cały dzień z nami, w Zubałowie. Zdaje się, że trzeba było zastąpić nauczycielkę. Porządkowała coś, trochę szyła, omawiała jakieś sprawy z nianią i przeglądała moje zeszyty. Niecierpiała sentymentalnej paplaniny z dziećmi, ale za to kiedy budowano u nas w Zubałowie boisko sportowe dla dzieci, sama myślała, jakby je najlepiej urządzić. Także „robinsonowski domek” na drzewach na pewno nie powstał bez jej udziału. Była doskonałym fotografem. To ona zrobiła wszystkie nasze fotografie rodzinne z Zubałowa i z Soczi. Fotografowała dzieci, przyrodę, nasz dom. Dzięki niej pozostały zdjęcia naszego domu w Zubałowie, daczy w Soczi, dokąd mnie z nią zabierano, oraz



pierwszego domu zbudowanego dla ojca w Soczi przez architekta M. I. Mierzanowa. Później już ojciec — opętany żądzą przebudowywania — pozmieniał te domy nie do poznania. Dzięki Bogu można je oglądać na zdjęciach zrobionych przez mamę — rozpoznać i wspomnieć...

Była po dzieciach najmłodszą w domu. Nauczycielki, niania — wszyscy byli starsi, po czterdziestce, a nasza gosposia Karolina Wasiliewna i kucharka Jelizawieta Leonidowna — były to już kobiety w sile wieku, powyżej pięćdziesiątki. Ale mimo to wszyscy kochali młodą, ładną, delikatną gospodynię — była dla nich uznany autorytetem. Mój starszy brat Jasza był tylko o siedem lat od niej młodszy. Mama była dla niego bardzo tkliwa, troszczyła się o niego, pocieszała go w jego pierwszym, nieudanym małżeństwie, z którego urodziła mu się i wkrótce zmarła córeczka. Mama starała się uczynić życie znośniejszym dla Jaszy, zamartwiała się o niego, ale wszystko to było na nic. Ojciec niezadowolony był z jego przyjazdu do Moskwy (nalegał na to wuj Alosza Swandze), z jego pierwszego małżeństwa, z jego nauki, z jego charakteru, słowem — ze wszystkiego.

Mama była pod bardzo ciężkim wrażeniem próby samobójstwa Jaszy. Doprowadzony do rozpaczycy stosunkiem ojca, który odmawiał mu jakiegokolwiek pomocy, Jasza strzelił do siebie u nas, w kuchni, w mieszkaniu na Krem-lu. Na szczęście tylko się zranił — kula przeszła na wylot. Ale ojciec znalazł i tu powód do drwin: „Ha, spudłował!” — lubił szydzić. Mamie strzał ten na długo zapadł w serce, by się pewnego dnia odezwać...

Jasza bardzo kochał i szanował moją mamę, kochał mnie i rodziców mamy. Dziadek i babcia opiekowali się nim jak mogli. Wyjechał potem do Leningradu i mieszkał tam z dziadkiem Siergiejem Jakowlewiczem.

Pozostało sporo rodzinnych fotografii, które pozwalają mi przypomnieć sobie wiele innych rzeczy. Patrząc na nie, a one rosną mi w oczach, wypełniają się barwami,

1879 1001  
52

postacie zaczynają się poruszać — słyszę jak rozmawiają między sobą... Te zdjęcia są dla mnie jak zastygłe kadry filmu. Oglądam je i zaczyna przesuwać się przede mną taśma filmowa. Raz już to kiedyś widziałam...

Na fotosach z ulubionych przez wszystkich, rodzinnych pikników — ojciec i mama, weseli, roześmiani. Wokół wiele pogodnych, szczęśliwych, zdrowych twarzy. Ojciec nie wygląda tu wcale na swoje pięćdziesiąt lat (skończył 50 lat w 1929 roku). Mama promieniejąca, błyskająca białymi zębami w uśmiechu — młoda, kwitnąca, wdzięczna. Wszystkie kobiety — w skromniutkich sukniach, ale wyglądają tak pięknie, zdrowo i pociągająco!

Mama na balkonie naszego Zubałowa, przy stole z Anną Siergiejewną; przy stole z Ziną Ordzonikidze.

Mama w ogródku w Soczi, na sofie siedzi rodzina Orachełaszwili\*, wuj Awiel Enukidze struga kijek bambusowy.

Mama na Krymie, w Muchołatce, dokąd rodzice jeździli odpoczywać; stoi na brzegu morza, a z wody wyłaniają się mordki w białych panamkach — to mój brat Wasyli i jego przyjaciele Artiom Siergiejew i Żenia Kurskij.

Mama na tarasie w Muchołatce obok białych, marmurowych lwów — ubrana w prostą, workowatą według ówczesnej mody suknię, dekolt w karo, krótkie rękawy. Mama — opalona, włosy gładko zaczesane, zebrane w węzeł na tyle głowy.

Mama w Zubałowie, na leśnej ścieżce wiodącej do naszej furtki. Przyjechali „dostojni goście” z Turcji. K. E. Woroszyłow, W. M. Mołotow, M. M. Litwinow — na spacerze, widocznie wszystkich „podejmował” ojciec. A oto i ja — dla rozrywki. Mama z szalem narzuconym na plecy, twarz napięta — uważa na mnie, żebym się „przyzwoicie zachowywała”.

\* M. Orachełaszwili — przewodniczący sownarkomu Gruzji aresztowany w 1937 r.

Mama — znów z szalem — przy stoliku w Zubałowie. Po jej śmierci powiększono to zdjęcie na życzenie ojca. Ogromne powiększenia tej fotografii rozwieszono we wszystkich pokojach naszego nowego mieszkania na Kremlu.

Mama tu taka szczęśliwa, taka promienna, że patrząc na to zdjęcie nie można uwierzyć w jej dalszy los, niesposób go pojąć. Dlatego też wielu i nie rozumiało i nie wierzyło...

Czym dalej jednak, tym fotografii stają się smutniejszej. Dobre portrety zrobione w Moskwie przez N. A. Swieszowa-Paoła tchną już smutkiem. Twarz jej zda się zamknięta, dumna, smutna. Strach było zbliżyć się do niej wtedy, a nuż nie zechce zamienić słowa. A w oczach taka tęsknota, że nawet jeszcze teraz nie czuję się na siłach, by powiesić ten portret w pokoju i patrzeć nań; taka nostalgia, że — zdawałoby się — przy pierwszym spojrzeniu tych oczu wszyscy winni byli zrozumieć, że to człowiek skazany, że człowiek ten ginie, że trzeba mu jakoś pomóc. Dlaczego — zastanawiam się teraz — nikt nie pośpieszył jej z pomocą? Dlaczego nikt nie rozumiał, czym to wszystko może się skończyć?

Mama była bardzo skryta i ambitna. Nie lubiła przyznawać, że jest jej źle, ani dyskutować swoich spraw osobistych. Obrażały się na nią za to babcia i siostra, Anna Siergiejewna — obie niezwykle otwarte, szczerze — co w głowie to i na języku.

Teraz, kiedy już sama dorosłam, rozumiem ją lepiej i nawet maleńkie szczegóły, drobne rysy jej życia, które przeblyskują czasem z opowiadań innych — mówią mi o niej wiele.

Anna Siergiejewna, siostra mamy, mówiła mi niedawno, że w ostatnich latach życia mama coraz częściej myślała o odejściu od ojca. Anna Siergiejewna powiada zawsze, że mama była „świętą męczennicą”, że ojciec był zbyt dla niej szorstki, ordynarny, nieuważny i że ją

strasznie to wszystko jąrzyło, chociaż bardzo go kochała.

Kiedyś, jeszcze w 1926 roku, kiedy miałam dopiero sześć miesięcy, rodzice pokłócili się i mama zabrała mnie, brata i nianię i wyjechała do dziadka, do Leningradu postanawiając nie wracać już do ojca. Miała zamiar rozpocząć tam pracę i stopniowo ułożyć sobie samodzielne życie. Powodem kłótni była ordynarność ojca, pretekst był błahy, ale najwidoczniej wybuch nastąpił w rezultacie zbyt wielu od dawna nagromadzonych zadrażnień. Uraza jednak szybko minęła. Niania opowiadała mi, że ojciec zadzwonił z Moskwy i powiedział, że chce przyjechać „pogodzić się” i zabrać wszystkich do domu. Ale mama, nie bez złośliwej ironii, odrzekła: „Po co masz przyjeżdżać, za drogo by to kosztowało państwo! Sama przyjadę”. I wszyscy wrócili do domu...

Anna Siergiejewna powiada, że mama — w okresie ostatnich tygodni, kiedy kończyła już Akademię — chciała wyjechać do siostry, do Charkowa — Redens pracował w ukraińskiej CzeKa — zamieszkać tam i urządzić się gdzieś w swojej specjalności. Anna Siergiejewna cały czas powtarza, że myśl ta uparcie do mamy powracała, że mama bardzo pragnęła wyzwolić się ze swojej „wysokiej pozycji”, która była dla niej tylko ciężarem. Bardzo to jest prawdopodobne. Mama nie należała do zbyt praktycznie i „życiowo” rozumujących kobiet — nie miało dla niej żadnego znaczenia to, co „dawała” jej ówczesna „pozycja”. Nie mogą tego zupełnie pojąć kobiety trzeźwe, wyrachowane (typu mojej byłej świekry Z. A. Żdanowej, która nazywała mamę „obłąkaną” i mawiała, że „nie było żadnych przyczyn”, dla których miałyby trapić się i cierpieć!) Każda z nich pogodziłaby się ze wszystkim, żeby tylko nie utracić tego darowanego przez los „miejsca na szczycie”.

A mama wstydziła się zajeżdżać pod Akademię samochodem, wstydziła się opowiadać tam kim jest (wielu przez dłuższy czas nie wiedziało czyją żoną jest Nadia

Allilujewa). W ogóle życie było wówczas o wiele prostsze. Ojciec chodził jeszcze wtedy — jak wszyscy — pieszo po ulicach (choć, co prawda, zawsze wolał samochód). Nawet jednak w tamtych czasach, w porównaniu z innymi, zachowanie mamy było wyjątkowe. Uczciwie wierzyła ona w reguły i normy moralności partyjnej, która zalecała partyjnikom skromny sposób bycia. Starła się przestrzegać tych zasad bowiem były one bliskie jej samej, jej rodzinie, ojcu i matce, jej wychowaniu.

Jeden zwłaszcza przypadek może tu być charakterystycznym przykładem. Po śmierci Lenina (a być może jeszcze wcześniej), KC uchwaliło rezolucję, że członkowie KC nie mają prawa otrzymywać honorariów za publikowanie swoich partyjnych artykułów i książek i że należności te winny być przekazywane do kasy partii. Otóż mamie się to nie podobało, bowiem uważała, że lepiej brać pieniądze naprawdę zapracowane, niż sięgać bez końca i bez żadnych ograniczeń do państwowej kieszeni i brać stamtąd na domowe potrzeby, dacje, samochody, utrzymywanie służby itp. Wtedy był to dopiero początek systemu polegającego na tym, że państwo pokrywało potrzeby członków rządu. Chwała Bogu, mama nie dożyła późniejszych czasów i nie widziała jak wszyscy nasi wybitni partyjnicy — odmawiając z jednej strony honorariów za pracę partyjną, z drugiej — pozwalali się utrzymywać przez państwo z dziećmi, domownikami i wszystkimi, najdalszymi nawet krewnymi.

Wszystko sprowadza się do tego, że mama pojmowała życie według własnej logiki, której uparcie się trzymała. Kompromisowość nie leżała w jej charakterze. Należała do młodego pokolenia rewolucji, do owych entuzjastycznych pracowników pierwszych pięciolatek, do tych ludzi, którzy z przekonaniem budowali nowe życie, sami byli nowymi ludźmi i święcie wierzyli w swój nowy ideał człowieka wyzwolonego przez rewolucję od filisterstwa i wszelkich dawnych ułomności. Mama wierzyła w to

wszystko z całą siłą swego rewolucyjnego idealizmu i było wówczas wokół niej wielu ludzi, którzy swoim postępowaniem utwierdzali ją w tej wierze. A spośród nich wszystkich ojciec wydawał się jej kiedyś najbliższym owego ideału nowego człowieka. Takim był w oczach młodej gimnazystki — on, „niezlomny rewolucjonista”, przyjaciel jej rodziców, który powrócił z sybirskiej zsyłki. Takim był dla niej długo, ale nie zawsze...

Myślę, że właśnie dlatego, iż była kobietą mądrą i nieskończenie prawą — pojęła wreszcie w głębi serca, że ojciec nie jest tym nowym człowiekiem, jakim wydawał się jej w młodości i w tym momencie ogarnęło ją straszne, pustoszące rozczarowanie.

Niania mówiła mi, że w ostatnim okresie przed śmiercią mama była niezwykle smutna i drażliwa. Przyjechała do niej wtedy z wizytą jej gimnazjalna przyjaciółka — siedziały w moim pokoju (był to tradycyjnie mamy „pokój gościnnie”) i rozmawiały. Niania słyszała, jak mama mówiła co chwila, że ma „wszystkiego dość”, że „wszystko jej obmierzło”, „nic nie cieszy”, a przyjaciółka pytała ją: „No a dzieci, dzieci?” „Wszystko, także i dzieci” — odpowiadała mama. I niania moja zrozumiała, że skoro tak, to znaczy — obrzydło już mamie życie... Ale niani, podobnie jak innym, nie mogło przyjść do głowy, że za kilka dni mama targnie się na swoje życie...

Niestety, jesienią 1932 roku nikogo z bliskich nie było w Moskwie. Pawłusza i rodzina Swanidze byli w Berlinie, Anna Siergiejewna z mężem — w Charkowie, dziadek był w Soczi. Mama kończyła Akademię i była nadzwyczajnie wyczerpana.

Ze względu na niezbyt silne nerwy, mamie nie wolno było pić wina. Działo na nią źle i dlatego też nie lubiła a nawet bała się, kiedy pili inni. Ojciec opowiadał mi kiedyś jak zrobiło się jej niedobrze po wieczorku w Akademii — wróciła do domu zupełnie chora po tej odrobienie wina, którą wypiała. Ręce jej drgały spazmatycznie.

Ojciec ułożył ją, pocieszał a ona powiedziała: „Ty jednak, mimo wszystko, kochasz mnie troszeczkę...” Sam mi to opowiadał już po wojnie. W ostatnich latach coraz częściej wracał myślą do mamy i wciąż szukał „winnych” jej śmierci.

Ostatni raz widziałam się z mamą chyba w wigilię jej śmierci, a w każdym razie na dzień lub dwa przedtem. Zawołała mnie do swego pokoju, posadziła na swojej ulubionej „tachcie” (każdy, kto pomieszkał na Kaukazie nie może wyrzec się owej tradycyjnej „tachty”) i długo pouczała jaka powinnam być i jak postępować. „Nie pij wina” — mówiła. — „Nigdy nie pij wina!” Były to refleksje wiecznego sporu z ojcem, który — kaukaskim zwyczajem — zawsze dawał dzieciom do picia mocne, gronowe wino. W oczach mamy były to początki, które nie prowadzą do niczego dobrego. Miała chyba rację — brata mego, Wasyla, zgubił w końcu alkoholizm. Długo siedziałam tego dnia u niej i pewnie dlatego, że spotkania z mamą były w ogóle rzadkie, dobrze zapamiętałam to właśnie, ostatnie.

„Ty jednak, mimo wszystko, kochasz mnie troszeczkę” — powiedziała do ojca, którego sama nadal kochała, nie zważając na nic... Kochała go całą mocą swej konsekwentnej natury człowieka, który kocha tylko raz. Jakby nie buntował się jej rozum — serce już było pokonane. Raz i na zawsze. Ponadto mama zbyt kochała rodzinę, zbyt wiele znaczył dla niej mąż, dom, dzieci i obowiązki wobec nich. Dlatego, sądzę, że nie potrafiłaby odejść od ojca, choć nie raz nawiedzała ją taka myśl. Nie zrobiłaby tego nigdy... Do kobiet niestałych zaliczyć jej w żaden sposób nie można. Zbyt była surowa wobec samej siebie.

Nazywali ją „surową”, „poważną” — nie ze względu na lata — wyglądała wprawdzie na więcej lat, niż miała, ale tylko dlatego, że była bardzo powściągliwa, rzeczowa i nie lubiła sobie „popuszczać”. Według mojej niani — wizyty babci i Anny Siergiejewny drażniły ją

właśnie dlatego, że obie te dobre, szczerze kobiety żądały od niej otwartości, Skarga i płacz były dla nich czymś zupełnie naturalnym, a mama tego niecierpiała.

To powściągnięcie samej siebie, ta straszna, wewnętrzna dyscyplina i napięcie, to tłumione niezadowolenie i rozdrażnienie sprężające się coraz silniej i silniej — wszystko to musiało w końcu doprowadzić do nieuchronnego wstrząsu; sprężyna musiała kiedyś rozluźnić się ze straszną siłą....

Tak też się stało. Bezpośredni powód nie był wcale taki ważny i nie wywarł na nikim specjalnego wrażenia — „nie miała powodu”, mówiono potem. Niewielka sprzeczka na bankiecie świątecznym z okazji XV rocznicy Października — tylko to. Ojciec jej „tylko” powiedział: „Ej, ty, pij!” A ona „tylko” odrzeknęła: „Ja dla ciebie nie EJ!” — i wstała i przy wszystkich poszła precz od stołu.

Moja niania, na krótko przed śmiercią, kiedy poczuła już, że nie długo jej życia zostało, opowiedziała mi jak się to wszystko stało. Nie chciała tej tajemnicy zabierać ze sobą do grobu, pragnęła oczyścić duszę, wypowiedzieć się. Siedziałyśmy z nią w lasku, niedaleko od tej dachy w której jestem teraz i piszę, i niania opowiadała.

Karolina Wasiliewna Til, nasza gosposia, zawsze rano budziła mamę, która spała w swoim pokoju. Ojciec kładł się u siebie w gabinecie albo w małym pokoiku z telefonem, obok jadalni. Tej nocy też tam spał wróciwszy późno z tegoż samego, świątecznego bankietu, który mama opuściła wcześniej.

Pokoje te były oddalone od pomieszczeń służbowych, trzeba było iść stamtąd korytarzykiem obok naszych, dzieciennych pokoiów. Pokój, w którym spał ojciec był na lewo od jadalni, a do pokoju mamy szło się z jadalni w prawo i jeszcze tym korytarzykiem. Okna jej wychodziły na Aleksandrowski Ogród, w kierunku Bramy



Troickiej. (... Jeśli się stanie dziś przy kasach teatru w Pałacu Zjazdów i patrzy nieco w prawo od Pałacu, w kierunku Aleksandrowskiego Ogrodu, to widać stamtąd budynek pałacu Potiesznyj, zbudowanego w starorosyjskim stylu. Pałac ma ostry, spadzisty dach, a na ogród wychodzą okna — wśród nich znajdują się właśnie okna pokoju mamy. Nie lubię patrzeć w tę stronę... )

Wczesnie rano, jak zawsze, Karolina Wasiliewna przygotowała w kuchni śniadanie i poszła obudzić mamę. Trzęsąc się ze strachu przybiegła po chwili do nas, do dziecinnego i gestami wywołała nianię — nie mogła powiedzieć ani słowa. Poszły razem. Mama leżała przy swoim łóżku cała we krwi, w rękę trzymała malutki pistolet „Walter”, który Pawłusza przywiózł jej kiedyś z Berlina. Huk wystrzału był zbyt słaby, aby można go było w domu usłyszeć. Mama była już zimna. Obie kobiety, oniemiałe z przerażenia, że lada chwila może wejść ojciec, położyły ciało w pościeli i przyprowadziły je do porządku. Następnie zaś, skołowane, nie wiedząc co robić pobiegły dzwonić do tych, którzy wydawali się im najważniejsi — do naczelnika ochrony, do Awieła Sofronowicza Enukidze, do Poliny Siemionowny Mołotow, mamy bliskiej przyjaciółki...

Po chwili wszyscy przybiegli. Ojciec wciąż spał w swoim pokoiku na lewo od jadalni. Przyszli W. M. Mołotow i K. E. Woroszyłow. Wszyscy byli wstrząśnięci i nie mogli uwierzyć...

Wreszcie i ojciec przyszedł do jadalni. „Josif, Nadi już nie ma wśród nas” — powiedzieli mu.

Tak mi opowiadała moja niania. Wierzę jej bardziej, niż komukolwiek innemu. Po pierwsze — dlatego, że była człowiekiem absolutnie prostodusznym. A po wtóre — bo to jej opowiadanie było *spowiedzią* której ja wysłuchałam, a prosta kobieta, prawdziwa chrześcijanka nie potrafi przy spowiedzi kłamać...

Polina Siemionowna Mołotowa (Żemczuzina) opo-

wiała mi o tym w bardzo podobnych słowach, niemal w tym w czasie co niania — było to w 1955 roku. Polina Siemionowna tylko co wróciła ze zsyłki w Kazachstanie, gdzie spędziła cztery lata (1949-1953).

Polina Siemionowna też była na tym listopadowym bankiecie, w którym uczestniczyła mama i wszyscy inni. Wszyscy byli świadkami kłótni i odejścia mamy, ale nikt nie przywiązywał do tego większej wagi. Polina Siemionowna wyszła wtedy razem z mamą, żeby nie zostawiać jej samej. Wyszły, obeszły kilka razy wkoło pałac kremowski, aż mama się uspokoiła.

„Uspokoiła się i zaczęła mówić o swoich studiach w Akademii, o możliwościach pracy, które bardzo ją interesowały i cieszyły. Ojciec był ordynarny, było jej z nim trudno — wszyscy o tym wiedzieli, ale przecież przeżyli już razem niemało lat, były dzieci, dom, rodzina i Nadię wszyscy tak bardzo lubili... Kto by pomyślał! Oczywiście, nie było to idealne małżeństwo, ale czy takie bywają?”

„Kiedy już się zupełnie uspokoiła — opowiadała Polina Siemionowna — rozeszliśmy się do domów spać. Byłam zupełnie przekonana, że wszystko jest w porządku, że wszystko się ułożyło. A rano zadzwonili do nas z tą straszną wiadomością...”

Pamiętam, że nas, dzieci, wysłano na spacer rankiem, o zupełnie niezwykłej porze. Pamiętam, jak przy śniadaniu Natalia Konstantinowna ocierała chusteczką oczy. Spacer trwał czemuś długo. A potem nagle zawieźli nas na daczę w Sokołowce — do ponurego, ciemnego domu, do którego zaczęliśmy tej jesieni jeździć zamiast do naszego miłego Zubałowa.

Dom w Sokołowce był wyjątkowo przygnębiający — wielka, ciemna sala na dole, wszędzie jakieś ciemne kąty i zaułki, w pokojach było zimno, niemiło, nieprzytulnie. Potem, pod wieczór, przyjechał do nas Kliment Efremowicz\*, poszedł z nami na spacer, próbował bawić się i płakał. Nie pamiętam jak mi powiedziano o tej śmierci, ani jak to przyjąłem. Nie pamiętam pewnie dlatego, że pojęcie śmierci jeszcze wtedy dla mnie nie istniało...

Zrozumiałam coś niecoś dopiero potem, kiedy zaprowadzili mnie do budynku, w którym obecnie znajduje się GUM — wtedy mieściła się tam jakaś instytucja państwowa. W sali odbywało się pożegnanie i stała trumna ze zwłokami. Przeraziłam się okropnie kiedy Zina Ordżonikidze wzięła mnie na ręce i podniosła blisko maminej twarzy — żebym się „pożegnała”. W tym momencie pewnie poczułam śmierć, bo zrobiło mi się strasznie.

\* K. E. Woroszyłow.

Krzyknęłam głośno i gwałtownie odwróciłam się od tej twarzy; ktoś szybko wziął mnie na ręce i wyniósł do innego pokoju. A tam wuj Awiel Enukidze posadził mnie na kolana, zaczął się ze mną bawić, podsuwał jakieś owoce i znów zapomniałam o śmierci. Na pogrzeb już mnie nie zabrano, poszedł tylko Wasyli.

Potem, kiedy już dorosłam, opowiadano mi, że ojciec był wstrząśnięty tym, co się stało. Był wstrząśnięty, bo nie rozumiał: za co? Za co spotkał go taki cios w plecy? Był zbyt mądry, aby nie rozumieć, że celem samobójcy jest zawsze „ukaranie” kogoś — „a masz”, „dobrze ci tak”, „będziesz wiedział!” To on zrozumiał, tylko nie mógł uświadomić sobie — dlaczego? Za co go tak ukarano?

I wypytywał otoczenie: czy był z nią nieuważny? Czyż nie kochał jej i nie szanował jako żonę i jako człowieka? Czy to naprawdę takie już ważne, że nie mógł ileś tam razy pójść z nią do teatru? Czy to rzeczywiście takie ważne?

Przez pierwsze dni był załamany. Mówił, że jemu samemu nie chce się już żyć. (Opowiadała mi to wdowa po wuju Pawłuszy, która wraz z Anną Siergiejewną pozostawała bez przerwy przez pierwszych kilka dni i nocy w naszym domu). Ojciec był w takim stanie, że bano się zostawić go samego. Chwilami nachodziła go jakaś złość, ataki wściekłości. Tłumaczyło się to listem, który mama mu zostawiła.

Najwidoczniej napisała ten list w nocy. Rzecz jasna, nigdy go nie widziałam. Niewątpliwie natychmiast go zniszczono. *Ale list istniał*, mówili mi o nim ci, którzy go widzieli. Było to straszne pismo, pełne oskarżeń i wyrzutów. Nie tylko o charakterze osobistym, ale także, po części, politycznym. Czytając je ojciec mógł pomyśleć sobie, że mama tylko pozornie była wraz z nim, że w rzeczywistości była gdzie indziej — z opozycją tych lat.

Był tym wstrząśnięty i wściekły. Podczas uroczystości żałobnej, na którą przyszedł pożegnać się z mamą, zbliżył się do trumny, a potem nagle odepchnął ją od siebie rękami, odwrócił się i poszedł precz. Na pogrzeb nie przyszedł.

Chowali mamę przyjaciele i bliscy, kroczył za trumną jej chrzestny Awiel Enukidze. Ojciec był na długo wyprowadzony z równowagi. Ani razu nie odwiedził jej grobu na Nowodziewiczym. Nie mógł. Uważał, że mama odeszła jako jego osobisty nieprzyjaciel.

Dopiero w ostatnich latach, na krótko przed śmiercią zaczął nagle mówić ze mną o tym wszystkim, a ja odchodziłam dosłownie od zmysłów... Widziałam, że szuka, w mękach szuka „przyczyny” i nie znajduje jej. Raz przeklinał tę „plugawą książczynę”, którą mama przeczytała niedługo przed śmiercią — było to modne wówczas dzieło „Zielony kapelusz”\* — bo wydawało mu się, że książka ta wywarła na mamę duży wpływ... Innym razem zaczynał kląć Polinę Siemionowną, Annę Siergiejewną i Pawłuszę, który przywiózł ten pistolecik przypominający niemal zabawkę... Szukał wokół — „kto winien”, kto jej „wmówił tę myśl”. Być może, chciał w ten sposób wykryć jakiegoś swego ważnego wroga...

Jeżeli jednak wtedy jej nie rozumiał, to później, po dwudziestu latach, przestał ją zupełnie pojmować i zapomniał jakim człowiekiem w istocie była... Dobrze, że przynajmniej zaczął cieplej o niej mówić, a nawet, zdawało się, żałował jej i nie robił próżnych wymówek...

W tych czasach samobójstwa nie były rzadkością. Wykończono trockizm, zaczęła się kolektywizacja, partię rozdzierała walka frakcyjna, wewnętrzna opozycja. Człowi działacze partii kończyli z sobą jeden za drugim. Niedawno właśnie zastrzelił się Majakowski — jeszcze

---

\* „The Green Hat”, Michaela Arlena.

nie zapomniano tego i nie potrafił sobie wytłumaczyć...

Myszę, że wszystko to nie mogło nie wycisnąć piętna w sercu mamy — istoty wrażliwej i impulsywnej. Wszyscy Allilujewowie — to natury wrażliwe, delikatne, nieśmiałe — natury artystów, a nie polityków. „Nie można rumaka i trwożliwej łani do jednego zaprząć wozu...” — powiedział Puszkina.

Rzecz w tym, że mama zawsze żyła i postępowała według wskazań serca. Logika jej charakteru była logiką poety.

Czyż Majakowski nie zapewniał na krótko przed śmiercią: „Nie rzucę się w przepaść, nie wypiję trucizny, ani kurka nacisnąć nie potrafię przy skroni...”. Powiedział to, i tak właśnie zrobił.

Takich rzeczy nikt z góry nie planuje.

Mama była kobietą rozumną, ojciec szanował ją za to, ufał jej bez zastrzeżeń i uważał ją za swego najbliższego i najwierniejszego przyjaciela — ale przy całym swoim wewnętrznym zorganizowaniu i powściągliwości, mama pozostała człowiekiem gorących uczuć.

W owych czasach ludzie w ogóle byli niezwykle emocjonalni i bezkompromisowi — jeśli uznali, że nie można tak dalej żyć, to i strzelali do siebie... Kto tak dziś robi? Któż tak bezkompromisowo patrzy dziś na życie, spory, na przekonania swoje i przeciwników, na kwestie dopuszczalności lub niedopuszczalności takiego czy innego kroku?

Dziś opętał wszystkich duch chłodnego sceptycyzmu, obojętności, apatii. Żeby tylko jakoś żyć...

A wtedy ludzie żyli inaczej. I mama była dzieckiem swoich czasów. Możliwe, że gdyby była starsza, nie postąpiłaby w ten sposób. Ale pora chłodnego wyrachowania nie zaczęła się dla niej jeszcze w wieku trzydziestu jeden lat.

Zastanawiam się często, jaki byłby jej los, gdyby nie umarła? Wcześniej czy później znalazłaby się wśród prze-

ciwników ojca. Nie można po prostu wyobrazić sobie, że *milczalaby* widząc jak giną najlepsi, starzy przyjaciele — N. I. Bucharin, A. S. Enukidze, Redens, obydwójce Swanidze. Nie przeżyłaby tego nigdy.

Być może los podarował jej śmierć, aby zbawić ją od jeszcze większych, przyszłych nieszczęść? Wszak ona — „trwożliwa łania” — nie umiałaby zapobiec tym wszystkim nieszczęściom ani wstrzymać ich naporu...

To, co napisałam do ciebie przedwczoraj, przyjacielu mój, trudniejsze było dla mnie niż wszystko inne... Samo myślenie o tym — a cóż dopiero pisanie — jest za każdym razem straszne, jest męką. Im dłużej żyję na świecie, im jestem starsza, tym trudniej mi o tym myśleć.

Na szczęście, moi mili przyjaciele Zajmowscy przedwczoraj właśnie wyciągnęli mnie ze sobą na wieś, w stronę Istrinskiej zapory wodnej gdzie mieszkają nasi wspólni znajomi; zimą robimy zawsze razem z nimi wycieczki na nartach — tu, wokół Żukowki. Jakże byłam wdzięczna moim przyjaciołom — oni na pewno nawet nie podejrzewali...

Za Istrą zjechaliśmy w bok, na bużarowską szosę. I nagle znalazłam się wśród ogromnej jak niebo, spokojnej, wiecznej i obojętnej wobec wszystkiego przyrody. Jakie cudowne są tu miejsca! Ileż tu wokół harmonijnego, cichego, pogodnego, z niczym nie porównywalnego piękna!

Piękno morza — bogactwo południa — potęga gór — wszystko to działa na nas bardzo silnie. Ale tutejsze szare chaty — od iluż lat już stojące, niezmiennie — te pola i łąki, laski na horyzoncie i niebo nad nimi — nie błękitne, także szarawe — cóż za magia tkwi w tym



wszystkim? I ten nostryk przy szosie mieniący się biało i złoto: rozetrzesz na dłoni kwiat — pachnie miodem. Cóż da się porównać z tym słodkim zapachem, jakie dorównają mu róże południa? A sama rzeczka Istra z jej ciemnozieloną, spokojną wodą, z krętymi brzegami, zarosłymi krągłą łożyną — nijak tu się wykąpać a tylko patrzeć by i patrzeć i aż w gardle ściska od całej tej krasy i płacz słodki wzbiera jak na widok dawno nie widzianego przyjaciela — oto jest, przyszedł i chciałoby się paść głową na jego pierś i płakać z radości...

A Istrinska zaporą wodna — to już przyroda potężna, majestatyczna. Wielka płaszczyna wody marszczy się i przelewa w słońcu. Wszędzie namioty, samochody, młode twarze, opalone ciała, pstre kostiumy kąpielowe — pełno młodzieży; ściągają tu na rowerach, piechotą — z plecakami przez ramię, samochodami z łódkami przywiązanymi na dachach. Jak bardzo pragną ludzie żyć jasno i prosto, jak bardzo wszystkim na ziemi tęskno do zdrowego, dobrego życia...

We wsi Aljochnowo podjechaliśmy do ostatniego domu, stojącego na skraju osiedla. Dalej rozciąga się już kapuściane pole. Domy we wsi — czyściutkie, ładne. I pola porządnie utrzymane — aż dziw bierze — bez porównania lepiej uprawiane, ładniejsze, rośnie wszystko bujniej niż w naszym krasnogorskim rejonie, tuż pod Moskwą... Okazuje się, że przewodniczącym kołchozu w Aljochnowie jest agronom Szmidt przysłany tu z Moskwy podczas mobilizacji kołchozowej. Wyjechało wtedy na wieś dużo wszelakiej hałastry, ale trafiali się i prawdziwi ludzie. Ów Szmidt ( tu biorą go za Żyda, ale jest on pewnie zruszczonym Niemcem — u nas zresztą nie rozróżniają między jednym i drugim ) dźwignął gospodarkę kołchozu: wokół sady, pszenica, warzywa a i ludzie żyją nie najgorzej. Tak mało właściwie potrzeba — trochę smykałki i zmysłu organizacyjnego, trochę wykształcenia i inicjatywy...

Przyjechaliliśmy pod wieczór, ale długo jeszcze było jasno. Wieś leży wśród pól, niedaleko zapory wodnej, na płaskiej równinie. Nad nią — otwarta przestrzeń nieba, z której długo, długo spływało światło — różowe od zachodu, to znów liliowe, to znów — o zmierzchu — ciemnoniebieskie. Cisza wokół, zewsząd unoszą się zapachy traw — mocne, aromatyczne, słodkie... Potem zza lasu wychynął krągły, srebrny księżyc i zapachniało jeszcze silniej, trawa zwilgotniała pod nogami i coraz bardziej gęstniał atramentowy kolor powietrza. Jedna za drugą zapalały się gwiazdy nad głową, i wkrótce było ich tyle, że nie można już było o niczym innym myśleć, tylko o tych gwiazdach. Ułożyłam się spać na rozkładanym łóżku, na dziedzińcu, wprost pod otwartym niebem. Migwały mi w oczach gwiazdy i chciało się płakać z radości, że żyję, że chłonę oddech tych słodkich traw, że widzę te gwiazdy...

We dnie spacerowaliśmy i kąpaliśmy się w zbiorniku wodnym przypominającym morze. Rozkoszowaliśmy się widokiem z wysokiej skarpy: za nami złociło się pszeniczne pole, a nad wodną przestrzenią kłębiły się pyszne, białe, okrągłe obłoki.

Potem zjawiała się skądś burzowa chmura, rosła, w oczach nabierała czerni — całe niebo nagle zaciągnęło się, tylko pole dalej świeciło żółtym blaskiem. Gruchnął piorun i deszcz lunął potężny zamieniając się nagle w grad. Ale wszystko to przewaliło się dalej nad gładką powierzchnią wody i połowa nieba znów zajaśniała błękitem...

Spoza oddalającej się czarnej chmury wystrzeliły długie, złote promienie i przeszyły światłem rozpraszające się szybko resztki obłoków. Znowu wychynęło i zaświeciło słońce, szybko wysychały krople deszczu; cały, świeżo spłukany świat był tak piękny, że oddech zapierało z zachwytu... I cały ten dzień dusiły mnie łzy...

Wszystko minęło, jakby nie było ni burzy ni deszczu.

Już za godzinę znów powrócił upał, wszystko wokół wyschło, znów turyści opalają się na piasku i ruszyły łódki prując wodę we wszystkich kierunkach.

Wieczorem wracaliśmy do domu — wszyscy wypoczęci i odświeżeni tą jedną dobą. Rozglądałam się wciąż dookoła z radością i smutkiem i myślałam — skąd we mnie taka miłość do Rosji?

Wszak my — barbarzyńcy, jakich nie znajdziesz gdzie indziej. W Gruzji, w Uzbekistanie, na Ukrainie każdy stary kamień kryją glazurą, każdy stary mur chronią jak relikwię, jak najdroższy majątek, jak coś drogiego. A my? My jesteśmy „leniwi i świata nie ciekawi”. Niedaleko od Aljochnowa znajduje się cerkiew, a przy niej dzwonnica — cudem ocalały od strzelaniny ostatniej wojny. Wokół — niby straż — stare lipy, a cerkiewka (prosta, sześcienne z jedną kopułką po środku) już w ruinie, dach dzikim bzem zarasta. Znajduje się tam teraz magazyn ziemniaków i siana...

Nigdzie, w żadnym kraju nie trwonią tak — po prostu z lenistwa — własnego majątku, własnych, starych i pięknych skarbów. Nigdzie, tak jak w Rosji, rewolucja nie zniszczyła tyle dobra — naszego przecież, własnego. I teraz, kiedy mówimy wciąż o naszych rosyjskich tradycjach ojczyznianych, to tylko słowa, słowa...

Mimo domieszek innej krwi, mama była prawdziwą Rosjanką — z wychowania, z charakteru, ze swej natury. Ojciec pokochał Rosję bardzo mocno i głęboko — na całe życie. Nie znam żadnego innego Gruzina, który by do tego stopnia zapomniał o swoich cechach narodowych i tak bardzo ukochał wszystko, co rosyjskie. Jeszcze na Syberii pojawiła się u ojca ta wielka miłość do Rosji — jej ludzi, języka, przyrody. Wspominał zawsze lata zsyłki tak, jakby była to wyprawa na ryby, polowanie, czy przechadzka po tajdze. Miłość ta przetrwała w nim na zawsze.

A ja? Cóż mówić o mnie! Rozumiem tych wszystkich, którzy wrócili do Rosji z emigracji we Francji, gdzie życie wcale nie było tak bardzo nieznośne... Rozumiem i tych, którzy nie wyjechali do krewnych za granicą powróciwszy z łagrów i więzień — nie, mimo wszystko, nie chcą wyjeżdżać z Rosji!

O czymże tu mówić! Jak by nie był okrutny nasz kraj, jak nie byłaby ciężka nasza ziemia, jak byśmy wszyscy nie cierpieli, nie padali raniąc się do krwi, znosili ból i niezasłużone, niesprawiedliwe obelgi — nikt z nas, których serce zrosło się z Rosją, nie zdradzi jej nigdy, nie porzuci i nie ucieknie od niej poszukując komfortu — komfortu bez duszy. I jak blask jej jasnego nieba — spokojny i smutny — świeci nam wszystkim jej spokojne piękno, którego nic nie zmoże, które wszystko przetrzyma i przetrwa na wieki.

I dla mnie — po tylu najokrutniejszych stratach, po tylu gorzkich rozczarowaniach i ciosach, po całych trzydziestu siedmiu latach mojego marnego, głupiego, podwójnego, bezużytecznego i — niestety — pozbawionego perspektyw życia — dla mnie też świecisz kochana moja, serdeczna, piękna, bezradna, mądra, okrutna Rosjo. Świecisz mi i pocieszasz i nikt jeszcze nie potrafił oczernić cię w moich oczach... I gdyby nie świeciło mi wieczne światło twojej prawdy i dobra, dawno już wsunęłabym głowę w pętlę — tak, żeby się już z niej nie zerwać... Ale ty wciąż świecisz i grzejesz i wciąż obiecujesz mi coś w życiu na tej pięknej, ukochanej mojej, zielonej i błękitnej ziemi\*...

---

\* Kiedy pisałam te stronicie, 4 lata temu, naprawdę nie wyobrażałam sobie, że potrafię wyjechać z Rosji. Wówczas wszyscy żyli nadzieją głębokich przemian w kierunku prawdziwej demokracji.

Po śmierci mamy (miałam wtedy sześć lat) nastąpiło dziesięciolecie, w którym ojciec starał się być, i był na ogół, dobrym ojcem, choć przychodziło mu to bardzo trudno przy jego sposobie życia. W owe lata, mimo że całe nasze poprzednie życie domowe uległo zniszczeniu, autorytet ojca pozostał dla mnie we wszystkim niewzruszony. Potem, po ukończeniu szkoły i dzięki różnym innym wydarzeniom, począwszy od lat 1942-43, wszystko uległo dużym zmianom. Zmieniły się też nasze z ojcem stosunki, zarysowała się przepaść, która potem coraz bardziej się pogłębiała.

Śmierć mamy położyła kres naszemu dziecięcemu, beztroskiemu, pełnemu zabaw i pożytecznych rozrywek, wesołemu życiu.

Już w następnym, 1933 roku, przybywszy latem do Zubałowa nie zastałam dziecięcego boiska w lesie — nie było huśtawek, obręczy gimnastycznych, „robinsonowskiego domku”. Wszystko jak miotłą wymiótł. Jeszcze tylko pusta polanka i ślady piasku długo pozostawały wśród lasu. Potem wszystko zarosło...

Od razu odeszła od nas nasza wychowawczyni, Natalia Konstantinowna. Nigdy nie zapomnę jej lekcji niemieckiego, czytania i rysowania. Nie wiem czy sama wy-

mówiła, czy ją wyrzucono, ale cały rytm zajęć uległ zakłóceniu. Aleksander Iwanowicz, „nauczyciel” brata, pozostawał jeszcze przez dwa lata. Potem jednak zbrzydł Wasylowi, bo zmuszał go czasem do odrabiania lekcji i także w końcu znikł z naszego domu.

Ojciec zmienił mieszkanie — nie mógł pozostać tam, gdzie umarła mama. Zaczął budować sobie własną dachę w Kuncewie, dokąd przeniósł się na następne dwadzieścia lat. Wszyscy zaś pozostali — dzieci i nasi bliscy — nadal spędzaliśmy w Zubałowie niedziele, święta i wakacje letnie. Ojciec rzadko bywał w nowym mieszkaniu na Kremlu, przychodził tam tylko na obiady. Było ono zresztą bardzo niewygodne. Mieściło się na pierwszym piętrze budynku Senatu zbudowanego przez Kazakowa i było kiedyś po prostu długim, biurowym korytarzem z wychodzącymi na jedną stronę pokojami — smutnymi, bez wyrazu, o grubych, półtorametrowych ścianach i łukowatych sklepieniach.

To dawne biuro przerobiono na mieszkanie dla ojca tylko dlatego, że jego gabinet — urzędowy gabinet przewodniczącego Rady Ministrów i pierwszego sekretarza KC — mieścił się w tym samym budynku na drugim piętrze i ojcu było wygodnie móc zejść piętro w dół i znaleźć się od razu „w domu”, na obiedzie. A po obiedzie, który ciągnął się zazwyczaj od szóstej lub siódmej wieczorem do jedenastej lub dwunastej w nocy, ojciec wsiadał do samochodu i odjeżdżał na dachę Bliższą. Następnego dnia o drugiej lub trzeciej po południu znów przyjeżdżał do swego gabinetu w KC. Do samej wojny ojciec zachował ten porządek życia.

Dzieci, widywał w mieszkaniu podczas obiadu. Przy tej okazji wypytywał nas o postępy w nauce, przeglądał moje stopnie w dzienniczku, czasem prosił żebym pokazała zeszyty. Do samej też wojny osobiście — jak to robią wszyscy rodzice — podpisywał nasze dzienniczki, mój i brata (dopóki ten nie poszedł w 1939 roku do spec-

szkoły lotniczej). Tak zatem, widywaliśmy się wówczas często, prawie codziennie.

Kontynuowano jeszcze letnie wyjazdy do Soczi, dokąd zabierano i nas. Przychodzili też jeszcze z wizytą do ojca dziadek, babcia, wuj Pawłuszka z żoną, Redensowie, Swanidze. Wszyscy razem jeździli do ojca na Bliższą i urządzali tam urodziny lub spotykali Nowy Rok; wszyscy razem spędzali wakacje w Soczi.

Katastrofalne zmiany przyszły od wewnątrz — załamało się coś w samym ojcu. I zmienił się dom.

Odbywało się to pomału, stopniowo, ale już około 1938 roku nie pozostał — prócz mojej niani — nikt spośród tych ludzi, którzy otaczali mamę, którzy kochali ją, szanowali i pamiętali, i którzy starali się zachować w miarę możliwości ustalony przez nią porządek. Znikali stopniowo, z każdym kolejnym rokiem. Kiedyś, po powrocie do domu z wakacji, na zajęcia szkolne, które zaczynały się we wrześniu, nie zastałam naszej starej kucharki Jelizawiey Leonidowny. Była to kobieta otyła, surowa, staromodnie uczesana — prawdziwa caryca Katarzyna Wielka. Wygryziono ją. Potem wygryźli też Tanię — była to przeraźliwie brzydka dziewczyna, bardziej grenadier niż kobieta, ale bardzo miła i wesoła. Nosiła ona ciężkie tace z zastawą stołową.

Wreszcie odeszła także nasza gosposia Karolina Wasiliewna. Był to rok 1937; powiedziano jej, że „jest z Niemców” i — choć przesłużyła u nas dziesięć lat i była niemal członkiem rodziny — pokazano jej drzwi. Również w Zubałowie zmienił się personel, a na dacy ojca byli już zupełnie nowi, nieznanymi mi w ogóle ludźmi.

Co najważniejsze jednak — zmienił się cały system gospodarstwa w domu. Przedtem mama osobiście wyszukiwała sobie ludzi, dobierając takich, którzy podobali się jej, dla ich ludzkich cech. Teraz zaś cały dom przeszedł na urzędowy, państwowy rachunek. Natychmiast, rzecz jasna, kolosalnie wzrosła liczba personelu obsługującego,

czyli „obsługi” (tak to nazywano dla odróżnienia od dawniejszej, „burżuazyjnej” służby). Na wszystkich daczach zjawili się komendanci, zespoły straży przybocznej (ze swoimi naczelnikami), po dwóch kucharzy — żeby mogli się zmieniać i pracować codziennie, podwójne — również dwuzmianowe — zespoły służących i sprzątaczek. Wszystkich tych ludzi rekrutował specjalny wydział kadr i dobierano ich według warunków ustalonych przez tenże wydział. Przyjęci do „obsługi” stawali się automatycznie „współpracownikami” MGB (wtedy jeszcze GPU).

Naczelnikom źle było z moją nianią — wyglądała jak biały kruk na tle całego tego urzędowego tłumu. Postanowiono więc wygryźć i ją.

W 1939 roku, kiedy koszone ludzi na prawo i lewo, jakiś nieprzeładowany widocznie pracą kadrowiec dogrzebał się, że mąż mojej niani — z którym rozeszła się ona w latach pierwszej wojny światowej — pracował *przed rewolucją* jako pisarz w policji. Wielkie nieba! Zameldowano ojcu, że niania — to „niepewny” człowiek, i że syn jej Bóg wie z kim przestaje. Ojcu nie chciało się w te sprawy wnikać, uważał, że szczegółowe ich rozpatrywanie należy do specjalnie zajmujących się tym ludzi i że jemu należy przedstawiać już „gotowe materiały”.

Kiedy usłyszałam, że zabierają się do wypędzenia niani — wybuchnęłam płaczem. Ojciec nie znosił łez, a ponadto — być może — odezwał się w nim jakiś zdrowy protest przeciw bezmyślnej tępotcie: rozzłościł się nagle i polecił, żeby zostawiono moją nianię w spokoju.

I przez trzydzieści lat, od 1926 do 1956 roku — to jest do samej śmierci w wieku siedemdziesięciu jeden lat — niania pozostała członkiem naszej rodziny. Opowiem o niej osobno, jej życie na to zasługuje.

Urzędowy „stan obsługi” powiększał się z niewiarygodną szybkością. Podobnie zresztą działo się i w innych domach członków rządu, a w każdym razie — członków Politbiura. Tylko że nigdzie tak jak u nas nie rozpano-



szył się urzędowy, pół-wojskowy duch, żaden inny dom nie był tak kompletnie podporządkowany GPU-NKWD-MGB, jak nasz — bowiem my nie mieliśmy *pani* domu, gdzie indziej obecność jej zmiękczała nieco i trzymała w ryzach całą tę biurokrację. W gruncie rzeczy jednak system był wszędzie jednakowy: pełna zależność od państwowych środków i państwowych urzędników, którzy nie spuszczała z oka domu i jego mieszkańców.

System ten narodził się gdzieś w początkach lat trzydziestych i rósł zarówno w skali jak i w uprawnieniach. Dopiero po zlikwidowaniu Berii KC uznał za niezbędne postawić MGB na swoim miejscu. Dopiero wtedy wszyscy zaczęli żyć inaczej i odetchnęli swobodnie — członkowie rządu z niemniejszą ulgą niż prości ludzie.

Wygnano z naszego Zubałowa dobre dziewczyny (sprzątaczkę) — rosła, potężną Kławdię i szczupłą Zinę. Pojawiły się nowe twarze, a w tej liczbie młodzieńca Waleczka o zadartym nosie, której buzia przez cały dzień nie zamykała się od wesołego, dźwięcznego śmiechu. Po trzech latach pracy w Zubałowie, przeniesiono ją na dach ojca w Kuncewie, gdzie była później gospożą (czyli, jak było wówczas przyjęte mówić — „siostrą-gospodynią”) i pozostała już tam do jego śmierci.

Dłużej też zatrzymał się w naszym domu Siergiej Aleksandrowicz Jefimow. Był on komendantem Zubałowa jeszcze za czasów mamy. On również przeszedł później na Bliższą, do Kuncewa. Ze wszystkich naczelników ten był najbardziej ludzki i najskromniejszy w swoich ambicjach. Zawsze ciepło odnosił się do nas, do dzieci i do ocalałych krewnych. Krótko mówiąc potrafił zachować jakieś elementarne, ludzkie uczucia do nas jako rodziny, czego nie można było powiedzieć o innych wysokich funkcjonariuszach straży, których nazwisk nie mam nawet ochoty wspominać... Ci wszyscy jedną tylko pałali żądzą — zagarnąć dla siebie jak najwięcej przysasswszy się do tego ciepłego miejsca. Wszyscy oni pobudowali sobie

dacze, postarali się o samochody na państwowy rachunek i żyli nie gorzej niż ministrowie, a nawet członkowie Politbiura. Dziś oplakują swoje utracone majątkości.

Siergiej Aleksandrowicz był inny, choć z racji swego wysokiego stanowiska korzystał z życia. Czynił to jednak „z umiarem”. Do poziomu ministrów nie doszedł, co nie zmienia faktu, że członek-korespondent Akademii Nauk mógł mu pozazdrościć mieszkania i dachy... Mimo wszystko jednak, w jego sytuacji świadczyło to o skromności. Osiągnąwszy stopień generalski (według rang MGB) utracił w ostatnich latach łaski ojca, został odsunięty, a następnie wygryziony przez swój „kolektyw”, to znaczy przez pozostałych generałów i pułkowników z MGB, którzy utworzyli wokół ojca swoisty dwór.

Trzeba też wspomnieć i o innym generale — Nikołaju Siergiejewiczu Własiku, który utrzymał się przy ojcu bardzo długo — od 1919 roku. Był wtedy jeszcze zwykłym krasnoarmiejcem przydzielonym do ochrony. Z czasem stał się szarą eminencją. On to kierował całą ochroną wokół ojca i uważał się bodaj za najbliższego mu człowieka. Ten nieprawdopodobnie ciemny, ordynarny i głupi, ale wszechwładny osobnik posunął się w ostatnich latach do tego, że dyktował niektórym artystom „gusty towarzysza Stalina”, twierdził bowiem, że doskonale je zna i rozumie. A artyści słuchali i postępowali według tych wskazań. Ani jeden uroczysty koncert w Teatrze Wielkim lub na bankiecie w Georgiewskiej Sali nie odbył się bez aprobaty Własika. Bezcelność jego nie miała granic. Łaskawie informował artystów, że „jemu” „spodobał się” film, lub opera lub nawet sylwety budowanych wówczas wysokościorców...

Może i nie warto go wspominać — tylu ludziom zrujnował życie — ale była to postać tak barwna, że wprost nie sposób go pominąć. W oczach „obsługi” naszego domu Własik dorównywał niemal ojcu z tą różnicą, że ojciec był wysoko i daleko, a Własik na miejscu, przy

czym władza jaką mu powierzono pozwalała mu na wszystko...

Za życia mamy istniał gdzieś na ostatnim planie pełniąc funkcje przybocznego strażnika a w domu, rzecz jasna, noga jego nie powstała. Ale w Kuncewie przebywał stale na daczcy i „kierował” stamtąd wszystkimi pozostałymi rezydencjami ojca, których z upływem lat było coraz więcej...

Pod samą tylko Moskwą, nie licząc Kuncewa i Zubałowa, gdzie cichutko siedzieli po kątach krewni, były jeszcze Lipki — stara posiadłość przy szosie dmitrowskiej, z jeziorkiem, cudownym domem i ogromnym parkiem pełnym wiekowych drzew, oraz Siemienowskoje — nowy dom, zbudowany tuż przed wojną obok starej posiadłości ze stawami wykopanymi jeszcze przez chłopów pańszczyźnianych i z dużym lasem. Dziś jest to „daczca państwowa”, gdzie odbywały się znane spotkania rządu z artystami.

Zarówno w Lipkach jak i w Siemienowskoje wszystko szło tym samym porządkiem, co na daczcy ojca w Kuncewie — tak samo umeblowane były pokoje (identycznymi meblami), przed domem rosły te same krzaki i kwiaty. Własik — jako najwyższy autorytet — pouczał wszystkich co „sam” lubi, a czego nie lubi. Ojciec bywał tam bardzo rzadko — czasem i przez rok go nie widzieli — ale tu i tam personel oczekiwał go dniem i nocą w pełnej gotowości bojowej... No, a jeśli zdarzyło się, że „opuszczali” Bliższą i kierowali się całą kawalkadą samochodów ku Lipkom — popłoch ogarniał tam wszystkich: od wartownika przy bramie — po kucharza i od kelnerki — po komendanta. Wszyscy drżeli przed tą chwilą, jak przed sądem ostatecznym. A najstraszniejszym wydawał się im na pewno Własik — ordynarny żołdak lubiący na wszystkich wrzeszczeć i wszystkich łajać...

Równie godną uwagi — także jako unikalny, szkarad-

ny okaz tamtych czasów — była zarządzająca (czyli „siostra-gospodyni”) przydzielona do naszego mieszkania na Kremlu. Lejtenant (a następnie major) bezpieczeństwa państwowego Aleksandra Nikołajewna Nakaszidze zjawiała się w naszym domu w 1937 lub 1938 roku. Trafiała tu z poręki Berii, którego była krewną — przyrodnią siostrą żony. Krewna była raczej nieudana i żona Berii, Nina Tejmurazowna, gardziła „głupkowatą Saszą”. Decyzja jednak zapadła bez jej wiedzy, a najpewniej — bez wiedzy obydwu i pewnego pięknego dnia na młodziutką, całkiem zresztą urodziwą Saszę spadło to wielkie szczęście i honor... Wracając jak zwykle w końcu sierpnia z Soczi, zobaczyłam nagle, że — zamiast Karoliny Wasiliewny — spotyka mnie w przedpokoju młoda, cokolwiek speszona Gruzinka: nowa „siostra-gospodyni”.

Nie była z gruntu złym człowiekiem (więcej zła wyrządziła z głupoty lub z racji swych obowiązków, niż z własnej, świadomej woli), a ponadto była nową twarzą w naszym smutnym domu. Zaprzyjaźniłyśmy się i pozostawałyśmy w dobrych stosunkach do 1942-43 roku, kiedy to — wraz z Własikiem oddali mi „niedźwiedzią przysługę”. Ale wtedy miałam zaledwie jedenaście czy dwanaście lat i nie byłam w stanie uświadomić sobie całej potworności faktu zjawienia się w domu bezpośrednio naślanego, osobistego szpicla Berii.

Moje ciotki — Anna Siergiejewna i Żenia (wdowa po wuju Pawłuszy) — już wtedy rozumiały co to oznacza i tylko spytały ją, czy zna się dobrze na gospodarstwie i czy umie gotować gruzińskie potrawy. „Nie — prostodusznie przyznała się Aleksandra Nikołajewna — nigdy niczego nie robiłam w domu, mama zawsze prowadziła gospodarstwo, a ja nawet filiżanki po sobie nie wymyłam...”. „Jeśli tak, to będzie wam tu bardzo trudno” — zaczęły zdziwione nieco ciotki, ale potem machnęły ręką. Rozumiały, że od „oper-upełnomocnionej”

wymagano umiejętności nie mających wiele wspólnego z przygotowaniem posiłków...

Zresztą i tak zabroniono wkrótce ciotkom wstępu do naszego mieszkania na Kremlu. Redens był aresztowany, a Żenię podejrzewano o otrucie zmarłego nagle wuja Pawłuszy. Wstęp do domu pozostał otwarty już tylko dla dziadka, babci i dla Jaszy. Widocznie Aleksandra Nikołajewna „obsmarowała” ciotki przed swym potężnym krewnym i ten postanowił, że dość już nacieszyły się przy Stalinie, że trzeba teraz odizolować je od niego, a jego — od nich. A Berii, przy całej swej przebiegłości, nie trudno było przekonać ojca, że — jako „krewne osób poddanych represjom” — sięją one wśród otoczenia wątpliwości i obawy.

Aleksandra Nikołajewna królowała w naszym mieszkaniu do 1943. Opowiem jeszcze w jaki sposób i dlaczego usunął ją sam ojciec. Do jej obowiązków należało utrzymywanie jak najściślejszych kontaktów ze mną i z Wasylem. Miała zaledwie trzydzieści lat, lubiła się śmiać, od niedawna dopiero działała w charakterze „operupełnomocnionej” i nie zdążyła jeszcze stać się zbiurokratyzowanym funkcjonariuszem. Zresztą gruzińska dziewczyna z natury swej nie pasuje zupełnie do takiej roli. Ogólnie biorąc Sasza nie była złym człowiekiem i trudno się dziwić, że w sposób naturalny pragnęła przyjaźni z nami w tym domu, który jej samej wydawał się straszny, obcy i groźny. Jej własne funkcje i obowiązki budziły w niej lęk... Była nieszczęsnym pionkiem, który dostał się w tryby potwornego mechanizmu, kierującego każdym jej ruchem. Nie pozostawało jej nic innego, jak wyteńczyć swe wątłe siły i takież umysł wykonując to, czego od niej wymagano...

Chodziła ze mną do teatru. Nauką moją zajmowały się inne osoby, ale ona jakoby sprawowała „ogólne kierownictwo” nad moim wychowaniem, kontrolowała mnie i czasem zaglądała do zeszytów. Źle mówiła po rosyjsku,

jeszcze gorzej pisała i nie była zdolna do nadzorowania mojej nauki. Zresztą sama zdawała sobie z tego sprawę. Nieustannie kontrolowała krąg moich szkolnych przyjaciółek i w ogóle znajomych, ale krąg ten był wówczas tak już ograniczony, tak wąski, poruszałam się w tak mikroskopijnym świecie, że zadanie to nie nastęczało jej żadnych trudności...

Jestem pewna, że błogosławiła dzień, w którym zabrano ją z naszego domu. Życie jej nie było tu słodkie. Dla wypełnienia czymś ponurej i samotnej egzystencji, ściągnęła do Moskwy rodzinę — ojca, mamę, siostrę, dwóch braci. Wszyscy oni otrzymali tu mieszkania, młodzi pozakładali rodziny. Takie oto możliwości wiązały się z jej „pracą”. W mieszkaniach jej siostry i brata widywałam potem to i owo z naszych starych, domowych rzeczy, wyrzuconych przez nią z racji ich „bezużyteczności”...

W naszym domu — rzecz jasna, tylko u mnie i u brata, bo w pokojach ojca nie wolno było nikomu tknąć czegokolwiek — zaczęła „zaprowadzać porządek”. Z żarliwością prawdziwej drobnomieszczanki, wyrzucała precz wszystkie stare meble, zdobyte jeszcze przez mamę. Posługiwała się przy tym pretekstem, że są to meble „przedpotopowe” i że trzeba urządzić się bardziej „współcześnie”. Kiedyś, po powrocie jesienią z południa, nie poznałam swego pokoju. Gdzie podział się mój stary, ubóstwiający, rzeźbiony kredens — stara relikwia po mamie przeniesiona jeszcze przez nią samą do mojego, dzieciennego pokoju? Był to ogromny, pękaty sprzęt, gdzie przechowywane były w pudełkach prezenty przywiezione z Berlina przez mamę i ciocię Marusię, oraz niezliczone podarki od Anny Siergiejewny. Na górnych półkach tej pięknej, uniwersalnej szafy stały gliniane, malowane figurki ulepione przez nas pod nadzorem Natalii Konstantinowny. Na dole ułożone były nasze stare bloki rysunkowe i zeszyty z rysunkami i wypracowaniami po rosyjsku i po

niemiecku... Moja niania uważała, że należy to wszystko zachować.

Aleksandra Nikołajewna natomiast, która uważała siebie za osobę kulturalną (zanim trafiła do MGB studiowała dwa lata w Instytucie Przemysłowym, w Tbilisi) — uznała te rzeczy za śmiecie i wyrzuciła precz razem z szafą nie podejrzewając, że wyrzuci drogą pamiątki dzieciństwa... Wyrzucono także okrągły stół i krzesła, które ustawiła w moim pokoju jeszcze mama. Aleksandra Nikołajewna rzeczywiście zastąpiła te sprzęty bardziej nowoczesnymi meblami, ale były to rzeczy obce, chłodne, bez wyrazu, nie mówiły one nic ani mnie, ani innym...

Podobnie obesza się z pokojem brata usuwając stamtąd wszystko, co przypominało nam stare mieszkanie — wygodne i przytulne — w którym każdy kącik był obmyślany przez mamę i przystosowany do naszych potrzeb.

Moja niania zносиła to wszystko w milczeniu. Rozumiała że oponować nie można, że najlepiej cierpieć po cichu i czekać opiekując się biednym dzieckiem, które los jej powierzył. Bez szemrania, oburzając się tylko w duchu, pozwoliła wyrzucić wszystkie moje stare drobiazgi, ale co się dało — odesłała na wieś, do swojej wnuczki Kati, nieco młodszej ode mnie.

Stopniowo znikwały — nie wiadomo gdzie — także rzeczy mamy, które stały na mojej toalecie: ładne, emaliowane pudełko ze smokami, filiżanki, szklaneczka. Nie wiele mama miała tych drobnych bibelotów. Wszystko gdzieś przepadało. Wiedzieliśmy już jednak, że według „nowych” porządków całe gospodarstwo domowe stanowiło własność państwową i że raz do roku odbywała się inwentaryzacja, podczas której „spisywano” wszystkie stare rzeczy i wywożono je nie wiadomo dokąd.

A tymczasem ojciec był daleko i wysoko. Od czasu do czasu wydawał tylko polecenia Własikowi, który był naszym oficjalnym opiekunem, jak nas wychowywać. Polecenia te miały bardzo ogólny charakter: żebyśmy się

dobrze uczyli, żeby nas karmiono, pojono, odziewano i obuwano na państwowy rachunek — bez luksusów i wariactw, ale dostatnio, żeby nas nie rozpieszczano, trzymano dużo na świeżym powietrzu (w Zubałowie) i latem wożono na południe (do Soczi albo do Muchołatki na Krymie). Przestrzegano tych poleceń bardzo pilnie, choć również w ogólnych zarysach, a rezultaty całego tego systemu — zależały już tylko od Pana Boga i od nas samych.

W związku z tymi właśnie generalnymi postanowieniami na temat naszego wykształcenia, zjawiała się przy mnie nieoczekiwanie — było to już wtedy, jak zaczęłam chodzić do szkoły — guwernantka Lidia Gieorgiewna. Już na samym początku niemile uderzyła mnie jej powierzchowność: włosy malowała na rudo, była maleńka i garbata. Od pierwszego dnia jej pobytu u nas zaczął się permanentny konflikt między nią i moją nianią. Nie wiem o co im poszło, ale widziałam jak niania, obrażona wyszła z pokoju, a Lidia Gieorgiewna histerycznie krzyczała w ślad za nią: „Towarzyszko Byczkowa! Nie zapominajcie się! Nie macie prawa tak ze mną rozmawiać!” Popatrzyłam na nią i powiedziałam spokojnie: „A wy — głupia! Nie obrażajcie mojej niani!”

Dostała napadu hysterii. Szlochała i śmiała się — nigdy nie widziałam czegoś podobnego — łajała mnie, „niewychowaną dziewczynkę” i moją „niekulturalną” niańkę.

Wszystko się jakoś ułożyło, ale pozostałyśmy z nią na zawsze wrogami. Uczyła mnie niemieckiego i „pomagała” odrabiać szkolne lekcje. W porównaniu z żywymi, ciekawymi lekcjami Natalii Konstantinowny — było to zupełne ubóstwo, nuda i tępe kucie. Przy wydatnej pomocy mojej nowej guwernantki udało mi się serdecznie zniechęcić niemiecki, a także muzykę — fortepian, wprawki i ćwiczenia, gamy, a nawet same znaki nutowe za to, że *ona* wbijała mi je tępo do głowy...



„Wychowywała” mnie przez pięć lat; dzień w dzień zjawiała się u nas, próbowała kłótni z moją pogardliwie obojętną nianią i zameczała mnie swoimi histerycznymi humorami, bez talentu prowadzonymi lekcjami i całą niezdatną pedagogiką. Przywykliśmy przecież do wspaniałych pedagogów, których nam wyszukiwała mama...

Po pięciu latach nie wytrzymałam i ubłagałam ojca, żeby zabrał ją z domu. Ojciec sam nie odczuwał żadnej sympatii do garbuski, która jeszcze na domiar wszystkiego kokietowała każdego napotkanego mężczyznę. Już samo to wystarczyło, aby ojca rozwścieczyć i wreszcie mnie od niej wyzwolił.

Guwernantek już więcej nie było. Zjawiali się tylko i znikali jak efemerydy nauczyciele angielskiego, bo ojciec doszedł nagle do wniosku, że trzeba rzucić wszystko do diabła i uczyć się tego języka. Miłym, wesołym człowiekiem była Tatiana Dmitriewna Wasilczikowa — grubachna, z wielkim warkoczem okręconym wokół głowy. Zaprzyjaźniłyśmy się z nią, jeździłyśmy razem do Soczi, a jej lekcje były ciekawe, wesołe i owocne.

Po odejściu Aleksandra Iwanowicza nauka Wasyla postępowała coraz gorzej. Dyrektor szkoły i nauczyciele zasypywali ojca listami o złym zachowaniu i mizernych postępach syna. Ojciec unosił się, krzyczał, sprawiał Wasylowi lanie i łąjał przy tym wszystkich — Własika, ciotki, cały dom. Ale stan rzeczy nie ulegał przez to poprawie. W końcu brat przeniósł się do szkoły artylerii, a następnie — do uczelni lotniczej w Kaczy, na Krymie. Wyjechał tam w 1939 roku i w domu pozostałam już tylko ja z nianią.

I jeszcze kilka słów o jedynych w swoim rodzaju osobistościach naszego życia domowego tych lat — o moich „wujaszkach”.

Nie wiem czyja to była decyzja, może ojca, może Własika, a może MGB. W każdym razie, począwszy od 1937 roku, wprowadzono następujący zwyczaj: dokąd

bym nie szła, ze szkoły, do szkoły, na daczę lub do teatru — deptał mi po piętach (nieco z tyłu, nie tuż przy mnie) dorosły mężczyzna, czekista. Jego obowiązkiem było sprawowanie nade mną „ochrony”. Przed kim? Przed czym?

Początkowo rolę tę odgrywał chudy i zgryźliwy Iwan Iwanowicz Kriwienko. Zauważyłem kiedyś, jak grzebał w mojej teczce szkolnej i przeglądał mój pamiętnik, który nosiłam ze sobą i pokazywałam przyjaciółkom. Znienawidziałam go od tamtej chwili. Wkrótce jednak zastąpił go nadęty tłuścioch Aleksander Siergiejewicz Wołkow, który stopniowo sterroryzował całą moją szkołę\*. Zaprowadził tam własne porządki. Musiałam wkładać palto w specjalnym kąciku, obok kancelarii, a nie w ogólnej szatni. Chodziłam tam czerwona ze wstydu i złości. Również śniadanie podczas dużej pauzy odbywało się w specjalnie odgrodzonym kącie jadalni szkolnej, dokąd „wujaszek” z domu przynosił mi kanapki. Znosiłam to wszystko przez jakiś czas, ale w końcu zbuntowałam się.

Po tym zjawił się cichy, dobry człowiek Michaił Nikitycz Klimow, z którym nawet jakoś zaprzyjaźniłam się pomimo jego szpetnej roli... „Tupał” za mną od 1940 do 1944 roku, kiedy to wreszcie zniesiono instytucję „wujaszków”. Byłam już wtedy na pierwszym roku uniwersytetu i błagałam ojca, żeby „skasował” ów porządek, bo wstyd mi było chodzić na uniwersytet z „ogonem”. Ojciec zrozumiał najwidoczniej absurdalność takiej sytuacji, bo powiedział tylko: „No, czort z tobą, niech cię zabiją — ja nie odpowiadam”. (Wrócił właśnie wtedy z konferencji teherańskiej i był w bardzo dobrym usposobieniu). Tak więc, w wieku siedemnastu i pół lat uzyskałam prawo do tego, aby samej chodzić na uniwersytet, do teatru, do kina i — po prostu — ulicami...

Ale nie rozstaliśmy się z Michaiłem Nikityczem jako wrogowie. Podobało mu się, że często chodziliśmy do

\* Była to tak zwana 25-ta Szkoła Wzorcowa, w Staropimienowskim Zaułku (przy ulicy Gorkiego). Chodziłam tam od 1933 do 1943 roku.

teatru. Lubił bardzo dramat, operę — mniej, a już zupełnie ponad jego siły było konserwatorium, do którego wtedy się przyczepiłam. „Dokąd dziś idziemy, Swietoczka?” — pytał i usłyszawszy, że na koncert, chwycił się za głowę: „Ooo, znów na piłowanie drewna! No co tam ciekawego?” Szedł jednak, bo takie były jego obowiązki i spokojnie sobie zasypiał podczas koncertu jeżeli muzyka nie była zbyt burzliwa i jeśli nie „piszczwały” skrzypce. Nawet teraz jeszcze dzwoni on do mnie czasem — podobnie jak Siergiej Aleksandrowicz Jefimow i Waleczka — pyta jak mi się żyje, jak dzieciaki i „wykłada” mi wszystkie swoje rodzinne nowiny. Nie był to człowiek zły ani podły i na swój sposób żałował mnie widząc całe to moje bezsensowne życie. Podobnie jak Aleksandra Nikołajewna był tylko małym wykonawcą powierzonych mu funkcji i „od siebie” nie czynił nikomu premedytowanej krzywdy. Podły był tylko cały ten potworny system, cały ten straszny mechanizm. Ratowała mnie jeszcze bez wątpienia moja młodość. Dopiero teraz zdaję sobie sprawę czym to wszystko było. *Wtedy* wiedzieli czym jest ten cały system tylko dojrzały, mądrzy ludzie, którzy nie czekali na XX Zjazd, żeby „przejrzeć”, jak to niektórzy dziś utrzymują.

Dom nasz — jeśli można go jeszcze było tak nazywać — żył do samej wojny takim właśnie życiem. Dziadek i babcia wciąż mieszkali w Zubałowie, dokąd jeździliśmy latem. Wszyscy zbierali się jeszcze wtedy u ojca, w Soczi, gdzie można było oglądać nowe, świeżo ukończone dacje. Architekt Miron Iwanowicz Mierżanow zbudował dla ojca trzy cudowne domy: jeden w Soczi, nie daleko od Macesty, w miejscu wybranym przez ojca jeszcze wspólnie z mamą; drugi — w pobliżu Gagry, przy Chłodnej Rzeczce i trzeci — za Adlerem, nad rzeczką Miussera.

Obydwoje Swanidze, wuj Pawłuszka i Redens odwiedzali jeszcze wtedy nasze mieszkanie na Kremlu. Ale bez mamy wszystko nie było już tak, jak dawniej. Wszystko

rozpadło się — zarówno dom, jak i stosunki pełne wzajemnego zainteresowania i przyjaźni.

Pamiętam bardzo dobrze ostatnie odwiedziny wuja Aloszy Swanidze. Przyszedł smutny, przygnębiony. Przeważał już pewnie, co go czeka; w Gruzji — skąd Beria zaczął — na dobre już szły aresztowania... Oczekując ojca wuj Alosza długo siedział w moim pokoju, bawił się ze mną, całował mnie, huśtał na kolanach. Wreszcie nadszedł ojciec. Bardzo rzadko przychodził sam — zazwyczaj przychodzili też wszyscy ci, którzy pracowali z nim w ciągu dnia, żeby kontynuować za stołem omawianie spraw. Wujowi Aloszy trudno było rozmawiać z nim przy wszystkich.

Ojciec demonstracyjnie niemal odciął się od wszystkich rodzinnych spraw, od rodziny, krewnych i bliskich mu ludzi.

Śmierć mamy była dla niego strasznym ciosem. Osa motniła go, odebrała mu wiarę w ludzi i przyjaciół. Zawsze uważał mamę za swego najbliższego i najwierniejszego przyjaciela. Śmierć jej przyjął jak zdradę, jak cios wymierzony mu w plecy. I stał się okrutny. Najwidoczniej obcowanie z bliskimi było dla niego odtąd zbyt trudne, bo przypominało mu o mamie. Zaczął więc unikać spotkań z nimi.

Na ten właśnie nastrój duchowej pustki i zawziętości natrafił Beria, który dotąd z rzadka tylko pojawiał się w Soczi, kiedy ojciec przebywał tam na odpoczynku. Teraz zawładnął on zaufaniem ojca i bardzo szybko — z jego poparciem — przepchał się do sekretariatu KC Gruzji. Stara zakaukaska bolszewiczka O. G. Szatunowskaja opowiadała mi jak wstrząśnięci byli wszyscy partyjnicy Gruzji tym awansem Berii na pierwszego sekretarza, jak uparcie sprzeciwiał się temu Ordżonikidze. Ale ojciec postawił na swoim.

Z sekretariatu KC Gruzji do Moskwy droga już nie była daleka. W 1938 roku Beria rozsiadł się w Moskwie

i zaczął codziennie bywać u ojca. Wpływ jaki nań wywierał już do końca nie uległ osłabieniu. Nie przypadkiem bynajmniej mówię o *jego* wpływie na ojca, a nie na odwrot. Jestem zdania, że Beria był bardziej przebiegły, wiarołomny, tchórzliwy, bezczelny, bezwzględny w dążeniu do celu i twardszy — w sumie silniejszy — niż ojciec. Ojciec miał swoje słabości — potrafił wątpić, był bardziej łatwowierny, prostszy, spontaniczny. Człowiek o przebiegłości Berii mógł go oszukać. A ten znał słabe strony ojca, jego drażliwą ambicję, uczucie pustki, duchową samotność i lał oliwę do ognia i rozdmuchiwał go jak potrafił, a przy tym schlebiał z prawdziwie wschodnim bezwstydem. Schlebiał i kadził mu tak, że starzy przyjaciele ojca marszczyli się ze wstydu — oni przywykli widzieć w nim równego sobie towarzysza...

Beria odegrał straszną rolę w życiu całej naszej rodziny. Jak bardzo bała się i nienawidziła go mama! Wszyscy jej przyjaciele — obydwójce Swanidze, siostra Swanidze Mariko (pracowała jako sekretarka Awiela Enukidze), a także sam Enukidze — pierwsi padli ofiarą jego knowań, jak tylko Berii udało się przekonać ojca, że są jego osobistymi nieprzyjaciółmi i źle mu życzą...

Mówiłam już, że w wielu wypadkach ojciec i Beria razem ponoszą winę. Nie będę próbowała przerzucać winy z jednego na drugiego. Na nieszczęście, stali się obydwaj duchowo nierozłączni. Ale wpływ na ojca tego potwornego, złowrogiego demona był niewątpliwy i zawsze efektywny...

Szatunowskaja mówiła mi, że rola, jaką Beria odegrał podczas wojny domowej na Kaukazie była co najmniej dwuznaczna... Był urodzonym prowokatorem i — jako zwiadowca — wysługiwał się raz dasznakom, a raz czerwonym, w zależności od tego, w czyje ręce przechodziła władza. Szatunowskaja twierdzi, że nasi żołnierze aresztowali kiedyś Berię — został schwytany na gorącym uczynku zdrady i oczekiwał kary — i że przyszedł telegram

od S. M. Kirowa (dowodzącego wówczas działaniami wojennymi na Zakaukaziu) z żądaniem rozstrzelania zdrajcy. Nie zdążyli jednak tego zrobić. Dalszy bieg wypadków wojennych odwrócił uwagę od tego marnego człowieczyny. Ale wszyscy starzy, zakaukascy bolszewicy wiedzieli o tym telegramie. Wiedział o nim i sam Beria... Czy nie tu szukać trzeba źródeł bandyckiego zabójstwa Kirowa w wiele lat później? Wszak tuż po zamordowaniu Kirowa w 1934 roku, Beria wypływa na powierzchnię i zaczyna wspinać się ku górze... Jak dziwnie zbiegają się owe dwa wydarzenia — śmierć pierwszego i wyniesienie drugiego. Nie ulega wątpliwości, że Kirow nie dopuściłby, aby taki człowiek jak Beria został członkiem KC...

Siergiej Mironowicz Kirow od dawna — jeszcze chyba z Kaukazu — był wielkim przyjacielem naszej rodziny. Doskonale znał rodzinę dziadka, a mamę moją bardzo lubił. Mam jedną fotografię: Kirow i Enukidze u trumny mamy. Jakież ból maluje się na twarzach obydwu tych silnych, nie skłonnych do sentymentalizmu ludzi...

Po śmierci mamy Kirow i ojciec jeździli w lecie razem na odpoczynek do Soczi i zabierali mnie ze sobą. Pozostało z tamtych czasów wiele amatorskich, nieupozowanych fotografii. Zupełnie nienajgorzej fotografował N. S. Własik, który towarzyszył ojcu we wszystkich podróżach. Mam je tu przed sobą: tradycyjny piknik w lesie, kuter, którym odbywaliśmy wycieczki wzdłuż wybrzeża, Kirow po domowemu — w koszuli i mokasynach, ojciec w letnim, płóciennym garniturze. Przypominam sobie te wyjazdy. Przyjeżdżali też jacyś inni ludzie, może bywał tam i Beria, nie pamiętam. Ale Kirow *mieszkał* w naszym domu, był to swój człowiek, przyjaciel, stary towarzysz. Ojciec kochał go, był do niego przywiązany.

Lato 1934 roku minęło podobnie — Kirow był z nami w Soczi. A w grudniu padł strzał Nikołajewa... Czyż nie lepiej, czyż nie logiczniej byłoby skojarzyć sobie ten

strzał z nazwiskiem Berii, a nie mego ojca, jak to się teraz czyni?

Nigdy nie uwierzę w udział ojca w *tej* śmierci. Kirow był bliższy ojcu niż wszyscy Swanidze, wszyscy krewni, Redens i inni towarzysze pracy. Kirow był mu bliski, był mu potrzebny.

Pamiętam, jak straszne wrażenie zrobiła śmierć Siergieja Mironowicza, jak wszyscy w naszym domu byli wstrząśnięci... Wszyscy go znali i kochali.

Był jeszcze jeden stary przyjaciel naszego domu, którego straciliśmy w 1936 roku. Sądzę że i to nie obyło się bez intryg i podłych knowań Berii. Mówię o Georgiu Konstantinowiczu („Sergo”) Ordżonikidze.

Zaliczany był do najbliższych przyjaciół rodziny i przez dłuższy czas mieszkał u nas w Zubałowie. Zina Ordżonikidze była bliską przyjaciółką mamy. Sergo był człowiekiem żywym, głośnym, gorącym — jak prawdziwy Gruzin. Kiedy wchodził do pokoju ściany zaczynały trząść się od jego potężnego głosu i hucznego śmiechu...

Berień znał dobrze z Zakaukazia i szczerze go nie cierpiał. Stanowił zresztą poważną przeszkodę na drodze Berii do władzy — głównie w Gruzji. Wraz z wypłynięciem Berii położenie Sergo stało się, rzecz jasna, bardzo trudne — oczerniano go starając się poróżnić go z ojcem. Sergo nie wytrzymał i zastrzelił się w lutym 1936 roku. Może w ostatniej chwili pomyślał o mojej mamie?

Śmierć jego przez dłuższy czas tłumaczono „szkodniczą działalnością lekarzy”. Wkrótce potem zmarł Gorki i lekarze, którzy obydwu ich leczyli (Ordżonikidze chorował na nerki) — Pletniew i Lewin — powędrowali do więzienia...

Wiosną 1935 roku Ordżonikidze pojechał na odpoczynek do Muchołatki, na Krym i zabrał mnie ze sobą. Pamiętam jak cały czas bawił się ze mną i chciał żebym go nie odstępowała. Ale moja garbuska, Lidia Georgiew-

na, wyciągała mnie zawsze gdzieś do parku. Ordżonikidze nie cierpiał jej i dziwił się ciągle skąd taką dla mnie wystrasnęli...

Za „dorosłym” stołem w Muchołatce zbierali się wówczas: Ordżonikidze, Ejche, Jeżow i stały lekarz Ordżonikidze doktor Izraelit. Przyjeżdżał także profesor Pletniew. Wszystkim przypadł straszny los: Ejche poszedł do więzienia, potem lekarze, wszyscy oni zginęli. Jeżow wsadzał najpierw innych, potem wsadzili i jego. Sergo zastrzelił się... Były to czasy, kiedy ani jeden miesiąc nie mijał spokojnie — wszystko trzęsło się i wywracało a ludzie ginęli jak cienie. Dobrze o tym pisał Ilja Erenburg. Nie będę powtarzać, nie zdawałam sobie wtedy z tego sprawy...

Dla mnie — młodziutkiej dziewczyny-uczenicy — lata owe znaczyły się inaczej — jako okres bezlitosnego wykorzeniania i niszczenia wszystkiego, co stworzyła mama; jakiegoś upartego zabijania jej ducha tak, aby nic nie szło ustalonym przez nią porządkiem, żeby wszystko było na odwrót... To ja widziałam, to rozumiałam, to było dla mnie oczywiste. O tym też piszę, a polityczne analizy niech robią inni.

I nawet śmierć bliskich mamie ludzi takich, jak Bucharin, Kirow i Ordżonikidze odczuwana była przez naszych najbliższych i domowników jako niszczenie wszystkiego, co wiązało się z mamą.

Co uczyniła moja mama? Czy śmierć jej po prostu rozwiązała ojcu ręce, czy może zadała jego duszy cios tak silny, że pchnął on ojca ku nieufności do własnych, starych przyjaciół? Czy potrafiłaby — gdyby żyła — wstrzymać ten straszliwy proces?

Gdzież tam, nie wierzę w to. Ale — w każdym razie — ona nie zdradziłaby starych przyjaciół; nic nie byłoby jej w stanie przekonać, że jej ojciec chrestny Awiel Enukidze — to „wróg ludu”. Czyż nie solidary-



zowałaby się wówczas z nimi? Czy byłaby w stanie walczyć ze znieprawionym Berią?

O czymże tu gadać. Los oszczędził jej ciężkich doświadczeń, których nie wytrzymałoby jej serce. Być może Bóg uchronił ją od wszystkich tych okropności. Nawet jeśli znalazłaby w sobie dość siły, żeby opuścić ojca — którego kochała — los jej byłby jeszcze straszniejszy: wtedy czekałaby ją nadto jego zemsta.

W okresie czasu — od 1933 roku do samej wojny — żyłam szkołą. Mój mały świat — to była szkoła, lekcje, obowiązki pionierskie, książki i mój pokój; taki okrucho- waty światek, w którym ogrzewała mnie — jak przy- tulny, rosyjski piec — moja niania. Szkoła moja była wspaniała — na całe życie dała mi wiedzę, nawyki, przy- jaciół. Niesposób zapomnieć wielu nauczycieli: Hurwica, Jasnopolską, Zworykina, Nowikowa... Czytałam wiele książek. W pokojach ojca znajdowała się ogromna biblio- teka, którą zaczęła zestawiać jeszcze mama, i z której nikt, prócz mnie, nie korzystał. A niania moja — ze swym wesołym usposobieniem, ze swą dobrocią, słodyczą i hu- morem — stworzyła wokół mnie coś w rodzaju „poduszki powietrznej” przepojonej niekłamana miłością i chronią- cej mnie od świata zewnętrznego, od zrozumienia wszyst- kiego, co działo się wokół. Do czasów uniwersyteckich żyłam pod kloszem, jakby otoczona potężnym murem — w atmosferze stworzonej przez nianię, w naszych dwóch pokojach. Ja uczyłam się przy swoim stole, a ona szyła lub czytała — przy swoim. U nas było cicho i żadna z nas nie wiedziała, że dookoła wszystko rwie się na strzępy.

Niania jak umiała starała się zachować wokół mnie to, co stworzyła mama — warunki nauki, zajęć i zdro-

wego odpoczynku wśród przyrody. Ona ocaliła moje dzieciństwo — tak bardzo ją za to wspominam, tak bardzo jestem jej dziś wdzięczna!

Do wybuchu wojny w Europie, ojciec prawie codziennie bywał w domu — przeważnie ze swymi towarzyszami — a w lecie razem jeździliśmy do Soczi. Wówczas zatem widywaliśmy się często i właśnie te lata pozostały pamięć jego miłości do mnie, jego starań aby być ojcem, wychowawcą... Wszystko to runęło wraz z nadzieją wojny, a potem, kiedy byłam już starsza, zjawily się napięcia i rozbieżności. Ale w owe lata jeszcze, czule kochałam mego ojca i on kochał mnie. Jak sam twierdził, podobna byłam do jego matki i to go wzruszało.

Niania wpajała we mnie bezwzględne posłuszeństwo i miłość do ojca — uważała to za niewzruszony, chrześcijański obowiązek, bez względu na to, co by się nie działo dookoła...

Ojciec przychodził na obiad i idąc korytarzem obok mojego pokoju jeszcze w palcie krzyczał głośno: „Gospodyni!” Rzucałam wtedy lekcje i pędziłam do niego, do jadalni. Był to ogromny pokój, którego wszystkie ściany zastawione były szafami na książki. Stał tam również wielki, staroświecki, rzeźbiony kredens z mamy filizankami, a nad stolikiem z gazetami i periodykami wisiał jej duży portret (powiększona fotografia amatorska). Stół nakryty był zazwyczaj na osiem osób. Ja siadałam za swoim nakryciem, po prawej stronie ojca. Było to przeważnie o siódmej wieczorem. Spędziłam tam z zasady około dwóch godzin siedząc i słuchając rozmowy dorosłych. Potem ojciec pytał mnie o stopnie. Były one wtedy przeważnie doskonałe i ojciec bardzo był z tego dumny. Wszyscy chórem mnie chwalili i odprowadzali do łóżka.

Czasem wychodząc późno w nocy (zawsze na noc jeździł do swojej dachy w Kuncewie), ubrany już w palto, wchodził jeszcze do mojego pokoju i całował mnie — pogrążoną we śnie — na pożegnanie. Póki jeszcze by-

łam małą dziewczynką ojciec lubił mnie całować i nigdy nie zapomnę tej czułości. Była to czysto gruzińska, gorąca tkliwość do dzieci...

W te lata ojciec zaczął zabierać mnie ze sobą do teatru i do kina. Przeważnie chodziliśmy do M.Ch.A.T'a do Teatru Małego, Wielkiego i do Wachtangowa. Zobaczyłam wtedy „Gorące serce”, „Jegora Bułyczowa”, „Wiosenną miłość” i „Platona Kreczata”, a z oper — „Borysa Godunowa”, „Sadko” i „Susanina”. Przed wojną ojciec często chodził do teatru. Wybierano się przeważnie całym towarzystwem. W loży, sadzano mnie w pierwszym rzędzie foteli, a ojciec siadywał przeważnie gdzieś z tyłu, w kącie.

Ale najcudowniejsze było kino. Na Kremlu zbudowano salę kinową. Znajdowała się ona na miejscu dawnego ogrodu zimowego, połączonego alejami ze starym pałacem kremłowskim. Tu chodziło się po obiedzie, to znaczy około dziewiątej wieczorem. Było to dla mnie zbyt późno, ale tak ojca błagałam, że nie umiał odmówić — wypychał mnie do przodu i powiadał ze śmiechem: „No, prowadź nas, prowadź, gosposiu, bo bez przewodnika zgubimy drogę!” I kroczyłam na czele długiej procesji kierując się ku drugiemu krańcowi bezludnego Kremla, a za mną pełży sznurem ciężkie, opancerzone samochody i postępowąla niezliczona ochrona...

Wychodziliśmy z kina późno — gdzieś koło drugiej w nocy — oglądano bowiem zawsze dwa lub nawet więcej filmów. Potem odsyłano mnie do domu spać — o siódmej rano musiałam wstawać i iść do szkoły.

Moja guwernantka Lidia Georgiewna oburzała się i żądała, żebym odmawiała kiedy mnie tak późno zapraszano do kina. Ale jak można było odmówić? Ileż cudnych filmów zaczynało swój pochód przez wielkie ekrany od tego właśnie, małego ekranika na Kremlu! „Czapajew”, „Trylogia o Maksymie”, filmy o Piotrze I, „Cyrk”, „Wołga, Wołga” — wszystkie najlepsze dzieła kinema-

tografii sowieckiej stawiały swój pierwszy krok w tej kremlowskiej sali.

Początkowo filmy „prezentował” rządowi Z. Szumiackij potem — na krótko — Dukielskij, a potem — przez długie lata — I. G. Bolszakow.

Krytykowanie filmów i zarządzanie przeróbek nie było jeszcze w owe lata przyjęte. Oglądano film, aprobowano i szedł do rozpowszechniania. Nawet jeśli coś nie przypadło do smaku, nie groziło to niczym filmowi i jego twórcy. Dopiero po wojnie „rozprawianie się” z każdym niemal nowym filmem stało się normalnym zwyczajem.

Wychodziłam z kina późno, szybko biegłam do domu przez pustynny, cichy Kreml, a nazajutrz szłam do szkoły z głową pełną bohaterów ekranu. Ojciec był zdania, że oglądanie filmów przynosiło mi więcej pożytku, niż siedzenie w domu. Najpewniej jednak nie zastanawiał się nawet, czy wynoszę stąd jakiś pożytek. Było mu po prostu przyjemnie przebywać ze mną, stanowiłam jego rozrywkę, urozmaicenie, byłam dla niego zabawna.

W lecie, po zakończeniu zajęć szkolnych, zabierał mnie czasem na dwa lub trzy dni do siebie, do Kuncewa. Chciał, żebym bywała razem z nim. Nic z tego jednak nie wychodziło, bowiem przystosowanie się do jego trybu życia było ponad moje siły. Śniadanie jadał o drugiej po południu, a obiad — o ósmej wieczorem siedząc potem przy stole do późnej nocy. Było to dla mnie zbyt męczące, niezwykle. Lubiłam natomiast spacerować z nim po lesie, po ogrodzie; ojciec wypytywał mnie o nazwy leśnych kwiatów i traw — posiadałam te wszystkie mądrości od niani — pytał jaki ptak śpiewa... Potem siadał gdzieś w cieniu ze swoimi papierami i gazetami, a ja przestawałam już być mu potrzebna. Zostawałam sama, zmęczona i znudzona i marzyłam, żeby jak najprędzej wyjechać stąd do nas, do Zubałowa, gdzie oczekiwały liczne, znajome rozrywki, dokąd można było zaprosić przyjaciół. Ojciec zauważał, że nudzę się przy nim i czuł

się dotknięty. A kiedyś gdy spytałam: „A czy mogę już teraz wyjechać?” „Jedź sobie!” — odrzekł z gniewem, a potem długo nie rozmawiał ze mną i nie telefonował. I dopiero kiedy za mądrą namową niani „poprosiłam o przebaczenie” — pogodził się ze mną. „Pojechała sobie! Zostawiła mnie, starego! Nudno jej!” — powarkiwiał obrażonym głosem, ale już przebaczył i całował mnie, bo beze mnie było mu jeszcze smutniej.

Czasem przyjeżdżał znienacka do nas, do Zubałowa — opustoszałego, odmienionego, ale dla nas wszystkich wciąż nieskończenie drogiego. Wtedy wszyscy szli do lasu, ze swoich pokoi wychodzili dziadek i babcia, niekiedy telefonowano do Zubałowa-2 skąd szybko przybiegał wuj Pawłuszka z dziećmi lub A. I. Mikojan. W lesie, na ognisku, piekł się szaszłyk, tamże nakrywano do stołu, pito dobre, lekkie, gruzińskie wino. Ojciec posyłał mnie do ptaszarni po jajka bażantów i perliczek. Znajdowałam je łatwo w dołkach, pod krzakami. Zapiekanego je potem w gorącym popiele na ognisku. My, dzieci, przeważnie bardzo cieszyłyśmy się tymi piknikami; nie wiem, czy i dorosłym było wesoło... Pewnego razu babcia głośno płakała i ojciec odjechał zły i rozdrażniony. Dorośli zbyt wiele mieli powodów do niezadowolenia z siebie i wzajemnej urazy...

Dziadek zawsze usiłował godzić wszystkich i łagodzić, a babcia — na odwrót — lubiła rozkładać wszystko na czynniki pierwsze. I potem, po odjeździe ojca, długo jeszcze robili sobie nawzajem wyrzuty...

Zubałowo zmieniało się w oczach... Przemalowano dom, wykopano i zabrano ogromne, stare bzy, które kwitły przed tarasem jak dwa wielkie, aromatyczne kopce. Potem, nie wiadomo dlaczego, wyrąbano stare krzaki czeremchy — były jakoby rozsądnikiem szkodliwych owadów, które niszczyły pobliski ogród. A potem szarym, obrzydliwym asfaltem pozalewano cudne, pięknie ubite, wysypane piaskiem dróżki...

Wszystko to odbywało się za sprawą zarządców czyli — jak ich u nas nazywano — komendantów, z których każdy ze szczególną gorliwością wysiłał się, żeby skopować to, co działo się u ojca w Kuncewie. Kiedyś zaczęto tam sadzić świerki. W Zubałowie natychmiast zrobił się popłoch, zamęt i oto — gdzie nie spojrzysz, ponatykano świerków... Ale tu było sucho, gleba piaszczysta i wkrótce wszystkie świerki pousychały. Ależ cieszyliśmy się!

Urzędowa „obsługa” traktowała nas z doskonałą obojętnością. Ludzie ci przeważnie często zmieniali się i nikt nie miał czasu przyzwyczać się — ani my do nich, ani oni do nas. Ponadto, czuli oni, że „gospodarz” trzyma się z daleka od rodziny i widzieli, że nie darzy jej zbytnią sympatią, a zatem „obsługa” nie odznaczała się raczej uprzejmością.

Babcia urządziła czasem z tego powodu małe skandali i dlatego mniej ją lubili od innych. Potem dziadek łajał ją za to i przekonywał, że „nie rozumie sytuacji”. „Tak! — wykrzykiwała babcia. — Takiej sytuacji ja nigdy nie potrafię zrozumieć!” — i oddalała się do swego pokoju warcząc na leniwych „wałkonii”.

Pewnego razu, w trakcie jakiejś kłótni z dziadkiem, krzyknęła głośno zwracając się do mnie: „Twoja matka była głupia! Ile razy jej mówiłam, że głupia — nie słuchała mnie! No i dostała za swoje!” Rozszlochałam się i krzyknawszy „sama jesteś głupia!” pobiegłam szukać pomocy u niani. Mamę pamiętałam, kochałam i czciałam jej pamięć. Do szesnastego roku życia byłam przekonana, że umarła na ślepą kizkę (jak mi wmawiali dorośli) i nie znosiłam żadnego złego słowa na jej temat...

Bez mamy w Zubałowie pojawiło się coś, czego nigdy za jej czasów nie było — swary między członkami rodziny... Wuj Fiedia, który też tu kiedyś mieszkał, kłócił się z moim starszym bratem Jaszą, zamieszkałym z żoną w Zubałowie. Jasza kłócił się z Wasylem. Zrodzeni z jednego ojca bracia byli ludźmi do tego stopnia różnymi, że

w niczym nie znajdowali wspólnego języka... Żona Jaszy kłóciła się z dziadkiem i babcią, którzy — z kolei — gryźli się między sobą. Przychodziła żona wuja Pawłuszy (owdowiała w 1938 roku) i swym ostrym językiem dolewała oliwy do ognia... My, dzieci, pętałyśmy się między nimi biorąc raz tę, raz drugą stronę, nie mając przy tym pojęcia o co chodzi. Niania moja, anioł pokoju, była na tyle mądra, że umiała ze wszystkimi utrzymać doskonałe stosunki i dlatego powierzano jej misje dyplomatyczne z zadaniem godzenia zwaśnionych...

Zwalczające się ugrupowania szukały poparcia ojca. W tym celu posługiwano się mną: „Idź, powiedz papie...” Szłam i otrzymywałam od ojca naganę: „Cóż tak powtarzasz wszystko, co ci powiedzą, jak pusty bęben!”. Ojciec złościł się i żądał, żebym nie śmiała zwracać się do niego z prośbami innych... Zabronił mi również przynosić mu listy od kogokolwiek — dawali mi je czasem w szkole — i służyć jako „skrzynka pocztowa”...

Tak, to już nie było dawne Zubałowo... Zmieniły się zupełnie jego atmosfera i wygląd.

W lecie ojciec wyjeżdżał do Soczi, a mnie z nianią wysyłano do Muchołatki na Krym, albo też zabierano do Soczi. Pozostało wiele listów ojca do mnie — z Soczi, do Soczi albo na Krym. Oto kilka fragmentów jego listów z tych lat:

„Dzień dobry, mój wróbelku!

Nie obrażaj się na mnie za to, że nie od razu odpisuję. Byłem bardzo zajęty. Żyję, jestem zdrow, czuję się dobrze.

Całuję mego wróbelka mocno, mocno...”

„Kochana Sietanko!

Otrzymałem twój list z 25. IX. Dziękuję ci, że tatuńcia nie zapominasz. Żyję nie najgorzej, jestem zdrow, ale nudno bez ciebie. Czy otrzymałaś granaty i brzoskwinie? Przyślę jeszcze, jeśli rozkażesz. Powiedz Wasi, żeby on też pisał do mnie listy. No, do widzenia. Całuję mocno. Twój tatuńcio...”



„Dziękuję ci za list, moja Sietanoczko.

Posyłam brzoskwinie, pięćdziesiąt sztuk dla ciebie i pięćdziesiąt dla Wasi. Jeśli potrzebujesz jeszcze brzoskwiń i innych owoców, napisz, przysyłę. Całuję”.

(8 września 1934 r.)

„Gospodyńko! Otrzymałem twój list i pocztówkę. To dobrze, że taty nie zapominasz. Posyłam ci trochę granatów. Za kilka dni pošlę mandarynki. Jedz, ciesz się... Wasi niczego nie posyłam, bo zaczął źle się uczyć. Pogoda tu ładna. Tylko trochę smutnawo, bo gospodyni nie ma tu ze mną. No, wszystkiego dobrego, moja gospodyńko. Całuję cię mocno...”

(8 października 1935 r.)

„Sietanko i Wasiu!

Posyłam wam słodycze, które przysłała w tych dniach z Tbilisi moja mama, a wasza babcia. Podzielcie je po połowie, tylko bez bójek. Częstoście kogo chcecie...”

(18 kwietnia 1935 r.)

„Dzień dobry, gospodyńko!

Posyłam ci granaty, mandarynki i owoce w cukrze. Jedz, ciesz się, moja gospodyńko! Wasi niczego nie posyłam, bo wciąż jeszcze źle się uczy i karmi mnie obietnicami. Wy tłumacz mu, że ja nie wierzę w słowa i obietnice i uwierzę Wasi dopiero wtedy, kiedy naprawdę zacznie się uczyć — choćby na „dobrze”. Melduję ci, towarzyszko gospodyni, że pojechałem na jeden dzień do Tbilisi, byłem u mojej mamy i przekazałem jej od ciebie i od Wasi ukłony. Mama jest mniej więcej zdrowa i mocno was oboje całuje. No, to na razie wszystko. Całuję. Wkrótce się zobaczymy”.

(18 października 1935 r.)

„Dzień dobry, moja gospodyńko!

List otrzymałem. Dziękuję! Jestem zdrowy, żyję dobrze, Wasia chorował na anginę, ale już zdrowy. Czy pojedę na południe? Ja bym pojechał, ale bez twojego rozkazu nie śmiem ruszyć się z miejsca. Bywam często w Lipkach. Gorąco tu. A jak u ciebie, na Krymie? Całuję mojego wróbelka...”

„Dzień dobry, mój wróbelku!

List otrzymałem, za rybę dziękuję. Tylko proszę cię, gospodyńko, nie przysyłaj mi już więcej ryb. Jeśli tak ci się podoba na Krymie, to możesz zostać w Muchołatce na całe lato. Całuję cię mocno. Twój tatuńcio”.

(7 lipca 1938 r.)

„Mojej gospodyni — Sietance — pozdrowienia!

Wszystkie twoje listy otrzymałem. Dziękuję za listy! Nie odpisywałem na listy dlatego, że byłem bardzo zajęty. Jak spędzasz czas? Jak twój angielski? Czy dobrze się czujesz? Ja — zdrow i wesół, jak zawsze. Smutnawo bez ciebie, ale cóż robić — cierpię. Całuję moją gospodynkę”.

(22 lipca 1939 r.)

„Dzień dobry, moja gospodyńko!

Obydwa twoje listy otrzymałem. Dobrze, że nie zapominasz tatuńcia. Od razu odpisać nie mogłem: zajęcia.

Ty, okazuje się, byłaś na Ricy i to nie sama, a z kawalerem. No cóż, nieźle. Rica — to piękne miejsce, zwłaszcza jeżeli — z kawalerem, mój wróbelku...

Kiedy myślisz wracać do Moskwy? Czy już nie pora? Myślę, że pora. Przyjeżdżaj przed 25 sierpnia, albo nawet przed 20-tym. Co o tym myślisz — napisz-no. Nie wybieram się w tym roku na południe. Jestem zajęty, nie dam rady się wyrwać. Moje zdrowie? Jestem zdrowy, wesół. Smutno mi troszkę bez ciebie, ale ty już przecież prędko przyjedziesz.

Całuję cię, mój wróbelku, mocno, mocno”.

(8 sierpnia 1939 r.)

We wszystkich listach do mnie ojciec podpisywał się jednakowo: „Sekretarzyna Sietanki-gospodyni, biedniak J. Stalin”. Należy tu wyjaśnić, że była to zabawa wymyślona przez ojca. Nazywa mnie „gospodynią”, a siebie i wszystkich towarzyszy, którzy prawie codziennie u nas bywali — „sekretarzami” lub „sekretarzynami”. Nie wiem, czy bawiło to innych, ale ojciec zabawiał się w ten sposób do samej wojny. Wpadając w ton jego humoru pisałam do niego „rozkazy” (ich formę także wymyślił ojciec):

„21 października 1934 r.

Do tow. J. W. Stalina  
sekretarza Nr 1

Rozkaz Nr 4

Rozkazuję ci zabrać mnie ze sobą.

Podpis: Sietanka-gospodyni  
Pieczęć

Podpis sekretarza Nr 1:

Pokornie słucham. J. Stalin”.

Najwidocznie chodziło o to, że nie zabierano mnie do kina lub teatru mimo moich próśb. Albo: „Rozkazuję ci pozwolić mi pojechać jutro do Zubałowa” — 10 maja 1934 roku. Albo: „Rozkazuję ci zabrać mnie ze sobą do teatru” — 15 kwietnia 1934 roku. Albo: „Rozkazuję ci pozwolić mi pójść do kina, a ty zamów film „Czapajew” i jakąś amerykańską komedię” — 28 października 1934 roku.

Ojciec podpisywał pod „rozkazem”: „Słucham”, „Pokornie słucham”, „Zgoda” lub „Będzie wykonane”.

Ponieważ ojciec wciąż żądał nowych „rozkazów”, a mnie już to znudziło, napisałam kiedyś tak: „Rozkazuję ci pozwolić mi pisać rozkazy tylko jeden raz na sześć dni” — 26 lutego 1937 roku.

Kiedy już trochę podrosłem urozmaiciłam nieco formę tych poleceń:

„Papo!! Ze względu na to, że jest już mróz, rozkazuję nosić futro. Sietanka-gospodyni” — 15 grudnia 1938 roku.

Innym razem, kiedy nie doczekałam się późnego powrotu ojca do domu, zostawiłam mu obok nakrycia pismo:

„Drogi mój tatuńciu!

Znów powracam do starego, wypróbowanego sposobu i piszę do ciebie pismo, bo nie można się ciebie doczekać.

Możecie jeść, pić (nie za dużo) i rozmawiać.

Wasz późny powrót, towarzyszu sekretarzu, zmusza mnie do udzielenia wam nagany.

Kończąc całuję tatuńcia mocno, mocno i wyrażam życzenie, żeby przychodził wcześniej.

Sietanka-gospodyni”.

Na tym piśmie — z 11 października 1940 roku — ojciec skreślił:

„Do mojego wróbelka. Czytałem z zadowoleniem. Tatuńcio”.

I wreszcie — ostatnie takie żartobliwe pismo z maja 1941 roku, już u progu wojny:

„Mój drogi sekretarzyno, śpieszę Was powiadomić, że napisałam wypracowanie na „bardzo dobrze”! W ten sposób pierwszy egzamin już zdany, jutro zdaję drugi. Jedzcie i pijcie na zdrowie. Całuję tatuńcia mocno 1000 razy. Pozdrowienia dla sekretarzy. Gospodyni”.

Nad tym tekstem znalazłam potem „rezolucję”: „Pozdrawiamy naszą gospodynię! Za sekretarzyny — papka J. Stalin”.

Wkrótce jednak zaczęła się wojna i nikomu nie było już do żartów, do zabaw. Ale przezwisko „Sietanka-gospodyni” długo jeszcze ciągnęło się za mną, i wszyscy uczestnicy tej zabawy nazywali mnie — już dorosłą — „gospodynią” i wspominali owe dziecięce „rozkazy”.

Kiedy zaczęła się wojna miałam piętnaście lat. Jesienią 1941 roku wysłano nas do Kujbyszewa — miałam tam ukończyć dziewiątą klasę. W latach 1942-43 zaszły wydarzenia, które na zawsze już poróżniły mnie z ojcem. Zaczęliśmy stawać się sobie obcy. Ale jego czułości, jego miłości i tkliwości do mnie w dzieciństwie — nigdy nie zapomnę. Z nikim prawie nie był tak tkliwy, jak ze mną choć kiedyś bardzo kochał mamę. Ponadto jeszcze tylko swoją matkę kochał i szanował.

Mówił, że była mądrą kobietą. Miał, rzecz jasna, na myśli jej wartości duchowe, a nie wykształcenie — z trudem tylko potrafiła ona nagryzmolić swoje nazwisko. Opowiadał kiedyś, jak matka grzmociła go, kiedy był mały i jakie lanie sprawiała jego ojcu, który lubił wypić\*. Najwidoczniej była to kobieta o mocnym i zdecydowanym charakterze i to mego ojca wprawiało w zachwyt. Owdowiała za wcześnie i stała się jeszcze surowsza. Miała wiele dzieci, ale wszystkie zmarły w pierwszych latach — wyżył tylko ojciec.

\* Ojciec jego zginął — ugodzony nożem w pijackiej bójce.

Była bardzo pobożna i marzyła o tym, żeby jej syn został duchownym. Pozostała wierząca do ostatnich dni swego życia i kiedy ojciec odwiedził ją na krótko przed śmiercią, powiedziała do niego: „A mimo wszystko szkoda, że nie zostałeś duchownym...”. Ojciec powtarzał te słowa z zachwytem. Podobało mu się jej lekceważenie dla wszystkiego co osiągnął, dla doczesnej chwały i szarpaniny...

Nie chciała rzucić Gruzji i przyjechać na stałe do Moskwy, choć ojciec, a także mama zapraszali ją. Nie tęskniła za stołecznym stylem życia, wołała kontynuować swoją cichą, skromną egzystencję pobożnej staruszki. Umarła w 1936 roku, w wieku około osiemdziesięciu lat. Ojciec silnie przeżył jej śmierć i często potem matkę wspominał.

Ale był równie niedobrym, nie troskliwym synem, co ojcem i mężem... Poświęcił się bez reszty czemuś innemu — polityce i walce. Dlatego też obcy ludzie byli dla niego zawsze ważniejsi, znaczyli więcej, niż bliscy.

Ojciec prawie nigdy nie dokuczał mi przyganami lub jakimikolwiek nudnymi wymówkami. Jego rodzicielski nadzór ograniczał się do bardzo ogólnych poleceń — dobrze uczyć się, przebywać dużo na powietrzu, żadnych luksusów, żadnego rozpieszczania. Czasem, w jego stosunku do mnie, przejawiały się rozmaite tępe i arbitralne dziwactwa. Pewnego razu, w Soczi — miałam wtedy dziesięć lat — ojciec przyjrzał mi się (byłam raczej „dużym dzieckiem”) i powiedział nagle: „Cóż to, goła chodzisz?” Nie zrozumiałam o czym mówi. „To, to!” — wskazał brzeg mojej sukienki. Była powyżej kolan, jak przystało w moim wieku. „Czort wie, co to ma znaczyć — złościł się ojciec — a cóż to takiego?” Rozzłościły go również moje dziecinne szorty. „Bezceństwo! Znaleźli się fizykulturowcy!” — rozdrażniał się coraz bardziej — „Goli wszyscy chodzą!” A potem poszedł do swego pokoju i przyniósł stamtąd swoje dwa podkoszulki z batysty.

„Idziemy!” — zawołał do mnie. „O, nianiu — powiedziały kiedy przyszedliśmy do mojej opiekunki, której twarz nie zdradzała najmniejszego zdziwienia — macie, uszyjcie dla niej szarawary, żeby zakrywały kolana i sukienka ma być niżej kolan!” „Tak, tak!” — odrzekła z całą gotowością moja niania. Nigdy nie dyskutowała ze swoimi gospodarzami. „Papo! — błagałam — Przecież teraz nikt tak nie chodzi!”

Ale to nie był dla niego żaden argument... Uszyto więc dziwaczne, długie szarawary i długą sukienkę zakrywającą mi kolanka. Ubierałam się w to tylko kiedy szłam do ojca. Potem stopniowo skracalam sukienkę, a on nie zauważał, bo było mu już to zupełnie obojętne. Wkrótce powróciłam do swego zwykłego ubrania...

Nieraz jeszcze jednak doprowadzał mnie do łez uwagami na temat mego ubrania. Raz wyłajał mnie nagle, za to, że nosiłam w lecie skarpetki zamiast pończoch — „znów chodzisz z gołymi nogami!”. Innym razem żądał, żeby sukienka nie była wcięta w tali, a szeroka, jak kitel. A kiedyś zerwał mi z głowy beret — „Cóż to za naleśnik? Nie możesz sprawić sobie porządnego kapelusza?” Jak bym nie zapewniała, że wszystkie dziewczynki noszą berety — był nieubłagany, dopóki wszystko samo nie minęło i nie zapomniał.

Później dowiedziałam się od Aleksandry Nikołajewny Nakaszidze, że starcy w Gruzji nie znoszą krótkich sukienek, krótkich rękawów i skarpetek.

Nawet kiedy już byłam dorosła, musiałam zawsze namyślić się przed pójściem do ojca, czy nie jestem zbyt jaskrawo ubrana. W przeciwnym razie nie uniknęłabym uwag. „Jak ty wyglądasz?!” — wykrzykiwał czasem nie krępując się obecnością innych. Być może drażniło go, że nie przypominałam wyglądem mamy i że długo pozostawałam niezgrabnym podlotkiem w „sportowym typie”. Czegoś mu we mnie, w moim wyglądzie, brakowało. A wkrótce i mój wewnętrzny świat zaczął go drażnić.

Kiedy zaczęła się wojna, ustały i tak rzadkie spotkania z ojcem i nastał dla nas okres pełnej, wzajemnej, obcości. Po wojnie już nie zbliżyliśmy się do siebie. Dorosłam, i moje dziecięce igraszki i zabawy będące dla niego rozrywką pozostały w dalekiej przeszłości.

Kiedy w 1941 roku wybuchła wojna, mój starszy brat Jasza już 23 czerwca pojechał na front wraz ze swoją baterią i wszystkimi tegorocznymi absolwentami Akademii\*. Właśnie ukończyli Akademię, jak raz przed samą wojną.

Jasza nie usiłował wykorzystać żadnych możliwości, żeby unikać niebezpieczeństwa. Nie zrobił nic żeby przynajmniej nie wysyłano go w samo piekło (na Białoruś), nie mówiąc już o skierowaniu na tyły lub pozostawieniu przy jakimś sztabie.

Postępowanie takie nie mieściłoby się w jego charakterze, w całym układzie jego uczciwego, porządnego i surowego życia. A ponieważ niezasłużony, chłodny stosunek ojca do Jaszy był powszechnie znany, nikt spośród wyższych wojskowych nie udzielił mu protekcji wiedząc, że wywołałoby to tylko wściekłość ojca.

Nie wiem dlaczego Jasza został zawodowym wojskowym. Był człowiekiem głęboko pokojowym — łagodnym, nieco powolnym, bardzo spokojnym, choć wewnętrznie twardym i zdecydowanym. Do ojca podobny był z kaukaskiego migdałowego wykroju oczu i niczym więcej... Bardziej przypominał swoją matkę Jekatierinę Swanidze,

---

\* Moskiewska Akademia Artylerii imienia Frunzego.



która zmarła kiedy miał dwa lata. Podobieństwo to rzuca się w oczy nawet na fotografiach. Najwidoczniej także i charakter odziedziczył po niej — nie był bowiem ani chorobliwie ambitny, ani żądny władzy, ani gwałtowny, ani czymkolwiek opętany. Nie było w nim sprzecznych cech, wykluczających się skłonności; nie było też olśniewających talentów. Był człowiekiem skromnym, prostym, bardzo pracowitym i umiejącym pracować, czarująco spokojnym.

Nie raz i nie dwa widziałam jednak, że potrafił wybuchnąć — był w nim wewnętrzny żar. Zdarzało się to zawsze z powodu Wasyla i jego zwyczaju opowiadania sprośności przy mnie, przy kobietach w ogóle, i przy kim popadło. Jasza nie wytrzymywał tego, rzucał się na Wasyla jak lew i zaczynała się bójka na pięści.

Jasza dość długo mieszkał w Tbilisi. Wychowywała go tam ciotka, siostra jego matki, Aleksandra Siemionowna. Później, w rezultacie nalegań wuja Aloszy Swanidze, przyjechał jako młody chłopak do Moskwy, na studia. Ojciec przyjął go chłodno i tylko mama starała się roztoczyć nad nim opiekę. Ogólnie mówiąc, życie na Kremlu, w jednym mieszkaniu z nami, oraz studia w języku rosyjskim, który sprawiał mu na początku wiele trudności — składały się na egzystencję, która wcale nie odpowiadała jego naturze. Gdyby pozostał w Gruzji, z pewnością żyłby spokojniej i lepiej — tak jak jego przyrodni bracia.

W obecności ojca Jasza zawsze czuł się jakimś odtrącanym pasierbem. Inaczej było tylko z mamą, którą bardzo kochał. Pierwsze małżeństwo przyniosło mu tragedię. Ojciec nie chciał słyszeć o ślubie, odmawiał Jaszy pomocy i w ogóle zachowywał się jak samodur.

Jasza strzelił do siebie w nocy, w naszej kuchni sąsiadującej z jego maleńkim pokoikiem. Kula przeszła go na wylot, nie utknęła na szczęście w ciele, ale Jasza długo potem chorował. Ojciec zaczął go za to traktować

jeszcze gorzej — pisałam już o tym. Opowiadała mi o tym później niania.

Po tym wydarzeniu Jasza wyjechał do Leningradu i mieszkał tam u dziadka Siergieja Jakowlewicza Allilujewa. Urodziła mu się córeczka, którą bardzo kochał, ale która wkrótce zmarła. W krótki czas potem jego pierwsze małżeństwo rozpadło się. W Leningradzie Jasza pracował w T.E.C. — w swojej specjalności inżyniera elektryka. Powinien był pozostać przy tej pokojowej profesji...

W 1935 roku wrócił do Moskwy i wstąpił na Wojskową Akademię Artyleryjską. Gdzieś po roku ożenił się z bardzo dobrą i ładną kobietą, porzuconą przez pierwszego męża. Julia była Żydówką i to znów wywołało niezadowolenie ojca. Wprawdzie w owe lata nie wyrażał jawnie nienawiści do Żydów — to przyszło później, już po wojnie — ale nigdy nie miał do nich sympatii.

Jasza był twardy. Znał dobrze wszystkie słabostki Juli, ale zachowywał się wobec niej jak prawdziwy rycerz, zwłaszcza kiedy krytykowali ją inni... Kochał ją, kochał też swoją córeczkę Gałoczkę, która urodziła się w 1938 roku; był dobrym ojcem rodziny i nie zwracał uwagi na niechęć ojca.

Odwiedzał nas czasem w naszym mieszkaniu na Kremłu, bawił się ze mną, patrzył jak odrabiam lekcje i w napięciu oczekiwał przyjścia ojca na obiad. Przy stole zazwyczaj milczał. Jasza szanował ojca i jego zdanie i na jego właśnie życzenie został wojskowym. Ale byli ludźmi zbyt różnymi, wszelki duchowy kontakt między nimi był niemożliwy. („Ojciec zawsze mówi tezami” — powiedział raz do mnie Jasza). Spokój i miękkość Jaszy drażniły ojca, który i w starości pozostał gwałtowny i szybki.

Przed wojną Jasza każde lato spędzał z rodziną w Zubałowie i wiosną razem uczyliśmy się — każde do swoich egzaminów. Mieliśmy tam łaźnię, a nad nią znajdowało się obszerne poddasze, na którym rozwieszano suche, brzozone wiązki do chłostania się w kąpiel. Powietrze na

poddaszu było suche i aromatyczne i chodziliśmy tam razem uczyć się, taszcząc ze sobą dywan.

Kiedy zaczynała się wojna Jasza miał trzydzieści trzy lata, a ja piętnaście i tylko co nawiązała się między nami prawdziwa przyjaźń. Lubiłam go właśnie za jego zrównoważenie, miękkość i spokój. A on zawsze mnie lubił i bawił się ze mną. Teraz zaś ja zabawiałam jego córeczkę...

Gdyby nie wojna, zostalibyśmy na całe życie prawdziwymi, mocno do siebie przywiązanymi przyjaciółmi. Jasza poszedł na front już drugiego dnia wojny. Pożegnaliśmy się przez telefon — nie było już jak się spotkać. Jego jednostkę posłano prosto tam, gdzie panowała największa zawierucha — pod Baranowicze, na zachodzie Białorusi. Wkrótce przestały docierać stamtąd wszelkie wiadomości.

Jula z Gałoczką pozostały u nas. Nie wiadomo dlaczego (w pierwszych miesiącach wojny nikt, nawet ojciec, nie wiedział właściwie co robić) wysłano nas wszystkich do Soczi: babcię i dziadka, Annę Siergiejewnę z dwoma synami, Julę z Gałoczką i mnie z nianią. W końcu sierpnia rozmawiałam z ojcem przez telefon. Julia stała tuż obok nie spuszczać oczu z mojej twarzy. Spytałam ojca dlaczego nie ma wiadomości od Jaszy, a on powiedział bardzo powoli i wyraźnie: „Jasza dostał się do niewoli”. I zanim zdążyłam otworzyć usta, dodał: „Nie mów na razie nic jego żonie...” Julia domyśliła się z wyrazu mej twarzy, że zdarzyło się jakieś nieszczęście i — jak tylko odłożyłam słuchawkę — rzuciła się na mnie z pytaniami. Ale ja powiedziałam tylko: „On sam nic nie wie...” Wiadomość była tak straszna, że nie czułam się na siłach zakomunikować ją Juli — już lepiej niech jej powie ktoś inny...

Ale ojciec nie kierował się bynajmniej względami humanitarnymi wobec Juli: przyszła mu do głowy myśl, że fakt dostania się Jaszy do niewoli nie jest taki prosty,

że ktoś go „zdradził” i „otumanił” i że, być może, maczała w tym palce Jula... Kiedy wróciliśmy w końcu sierpnia do Moskwy, ojciec powiedział mi: „Córka Jaszy niech zostanie tymczasem u ciebie... A jego żona — to, zdaje się, nieuczciwy człowiek, trzeba będzie bliżej to zbadać...”

Julę aresztowano w Moskwie, jesienią 1941 roku. Pozostawała w więzieniu do wiosny 1943 roku, kiedy to „wyjaśniło się”, że nie miała nic wspólnego z owym nieszczęściem i kiedy samo zachowanie się Jaszy w niewoli przekonało wreszcie ojca, że nie zamierzał bynajmniej dostać się tam celowo...

Jesienią 1941 roku zrzucano na Moskwę ulotki z fotografią Jaszy — wychudłego, brudnego, w koszulce gimnastycznej i bez insygniów... Wasyli przyniósł je do domu. Długo przyglądaliśmy się fotografii w nadziei, że to falsyfikat, ale — nie, nie można było nie poznać Jaszy...

Po wielu latach wracali do domów ludzie, którzy także dostali się do niewoli, a po wyzwoleniu — szli u nas do łagrów, w tajgę, na północ... Wielu z nich słyszało, że Jasza był w niewoli — Niemcy wykorzystali ten fakt do celów propagandowych. Nie wszyscy jednak wiedzieli, że zachowywał się on godnie, że nie ulegał żadnym prowokacjom i że traktowano go za to ze szczególnym okrucieństwem.

Zimą, na przełomie 1943 i 1944 roku, już po Stalingradzie, ojciec powiedział mi podczas jednego z naszych rzadkich już wtedy spotkań: „Niemcy proponowali wymianę Jaszy na kogoś ze swoich... Ale co będę się z nimi targował! Nie. Wojna, to wojna”. Był zdenerwowany, mówił o tym jego rozdrażniony ton. Nie powiedział już ani słowa na ten temat, podsunął mi natomiast jakiś tekst po angielsku — zdaje się, że któryś z listów Roosevelta — i polecił: „No, przetłumacz! Uczyłaś się i uczyłaś języka angielskiego, a przetłumaczyć potrafisz?” Przetłumaczyłam, a on był zaskoczony i zadowolony. Na tym

audiencja dobiegła końca, bo on był już daleko myślami.

Potem raz jeszcze wspomniał Jaszę. Było to w 1945 roku, już po zwycięstwie. Widzieliśmy się wtedy pierwszy raz po długiej przerwie. „Niemcy rozstrzelali Jaszę. Otrzymałem list od belgijskiego oficera — jakiegoś księcia, czy coś w tym rodzaju — z kondolencjami. Był naocznym świadkiem... Wyzwolili ich wszystkich Amerykanie...” Widziałam, że ojcu jest ciężko na duszy. Nie chciał za-  
trzymywać się nad tym tematem.

Walentyna Wasiliewna Istomina (Waleczka), która była w tym czasie gospodynią u ojca, opowiadała mi później, że wiadomości o śmierci Jaszy dotarły również do K. E. Woroszyłowa — przed samym końcem wojny, na jednym z frontów w Niemczech. Woroszyłow nie wiedział, jak o tym powiadomić ojca, sam bardzo się zmartwił — Jaszę wszyscy znali i lubili. Tak więc, wiadomość ta dotarła z dwóch różnych źródeł\*.

Możliwe, że kiedy było już za późno, kiedy Jasza już zginął, ojciec uświadomił sobie całą niesprawiedliwość swego stosunku do niego i, być może, narodziły się w nim jakiś cieplejsze uczucia do Jaszy... Ten zaś zniósł niemal cztery lata niewoli, która na pewno była dla niego znacznie straszniejsza niż dla kogokolwiek innego... Był cichym, milczącym bohaterem, którego postawa była równie zacna, bezinteresowna i nie zauważona jak całe jego życie.

Widziałam niedawno we francuskim czasopiśmie artykuł szkockiego oficera, który podobno był świadkiem śmierci Jaszy. Do artykułów tego rodzaju należy podchodzić bardzo ostrożnie, bowiem zbyt wiele krąży na Zachodzie rozmaitych fałszywych rewelacji na temat „prywatnego życia” mojego ojca i członków jego rodziny. Ale w tym artykule dwie rzeczy wydają się prawdziwe. Po pierwsze — nie sfalszowane jest na pewno zdjęcie Jaszy

---

\* Trudno jednak uznać ją za całkowicie pewną i wydaje mi się, że śmierć Jaszy wciąż jeszcze pozostaje zagadką.

— chudego, wymęczonego, w wojskowym szynelu. Po drugie — prawdopodobne jest twierdzenie autora, że ojciec odpowiedział negatywnie na pytanie korespondentów, czy syn jego znajduje się w niewoli. Oznacza to, że chciał wywołać wrażenie iż nic o tym nie wie i tym samym — świadomie — porzucił Jaszę na pastwę losu... Bardzo to do ojca podobne — wypierać się swoich bliskich, zapominać o nich tak, jakby ich w ogóle nie było.

Podjęmowano próby uczczenia Jaszy jako bohatera. Ojciec sam opowiadał mi, że Michał Cziaureli zasięgał rady jego przygotowując swoją nieprawdziwą, marionetkową „epopeję” filmową „Upadek Berlina”. Chciał on pokazać tam również Jaszę jako bohatera wojny. Ten wielki spekulant artystyczny, jakim był Cziaureli — poczuł, że ów tragiczny los byłby dla niego świetnym „wątkiem”... Ale ojciec nie zgodził się. Myślę, że miał rację. Cziaureli zrobiłby z Jaszy taką samą fałszywą kukłę, jak i ze wszystkich innych. Ten „wątek” potrzebny mu był do wysławienia ojca, czym z takim upojeniem zajmował się w swojej „artystycznej” działalności. Dzięki Bogu, Jasza nie trafił na ekran w takim kontekście...

Ojciec daleki był jednak od tych względów odmawiając M. Cziaureli’emu. Nie chciał po prostu stawiać na piedestał swoich krewnych, których — wszystkich bez wyjątku — uważał za niegodnych pamięci.

A Jasza zasługuje na wdzięczną pamięć. Czyż — w naszych czasach — być uczciwym, przyzwoitym człowiekiem — to nie wyczyn...?

Kiedy zaczęła się wojna, obudziło się w społeczeństwie powszechne poczucie wspólnoty, wszelkie rozbieżności ustąpiły w obliczu ogólnego niebezpieczeństwa. Tak też stało się i w naszej, rozbitej już rodzinie.

Początkowo wysłano nas wszystkich do Soczi: babcie, dziadka, Gałoczkę (córkę Jaszy) z matką, Annę Siergiejewną z dziećmi i mnie z nianią. W końcu sierpnia 1941 roku wróciliśmy do Moskwy i zobaczyłam rozwalony przez bombę narożnik Arsenału, zbudowanego przez Bażenowa. Było to naprzeciw naszych okien. Przed naszym domem pośpiesznie kończono budować schron przeciwbombowy dla rządu. Nasze mieszkanie było połączone ze schronem przejściem. Byłam tam potem nie raz z ojcem.

Wszystko to było straszne. Życie wywróciło się i rozpadło, trzeba było wyjechać z Moskwy, żeby kontynuować naukę. W naszą szkołę trafiła bomba i to też było straszne.

Znów — zupełnie nieoczekiwanie — zebrano nas i wyprawiono, tym razem do Kujbyszewa. Długo ładowano rzeczy do specjalnego wagonu... Nie wiadomo było, czy ojciec wyjedzie z Moskwy, na wszelki wypadek jednak załadowano także jego bibliotekę.

W Kujbyszewie przygotowano dla nas pałacyk z podwórzem przy ulicy Pionierskiej. Znajdowało się tu jakieś

muzeum. Dom pośpiesznie odremontowano, wszędzie pachniało farbą, w korytarzach — myszami. Wraz z nami przybyła tu cała domowa świta — Aleksandra Nikołajewna Nakaszidze ze wszystkimi kucharzami, kelnerkami, ochroną, „wujaszkiem” Michaiłem Nikityczem Klimowem i nianią. Przyjechała tu również z nami ciężarna już, młodziutka pierwsza żona Wasyla — Gala. W październiku 1941 roku urodziła ona w Kujbyszewie syna — Saszę. Z trudem wszyscy rozlokowali się jakoś w pałacyku, przy czym nie obeszło się bez kłótni między babcią i Aleksandrą Nikołajewną. Tylko dziadek postanowił zostać w Tbilisi — pojechał tam jeszcze z Soczi i spokojnie przeżył tam dwa lata.

Nasz dom w Kujbyszewie był pełen. Chodziłam tam do szkoły, do dziewiątej klasy i wszyscy słuchaliśmy codziennie radiowych komunikatów wojennych. Jesień 1941 roku była pełna trwogi.

W końcu października 1941 roku pojechałam do Moskwy, żeby zobaczyć się z ojcem. Nie pisał do mnie, a rozmawiać z nim przez telefon było trudno — denerwował się, złościł i odpowiadał, że nie ma czasu na rozmowy ze mną.

Przyjechałam do Moskwy 28 października — tego samego dnia, w którym spadły bomby na Teatr Wielki, na budynek uniwersytetu na Mochowej i na gmach KC na Starym placu. Udałam się do schronu, na Kremlu, gdzie przebywał ojciec. Urządzono tu takie same pokoje, jak w Kuncewie, wyłożone drewnianymi podłogami, ustawiono taki sam, wielki stół normalnie zastawiony, takie same meble. Komendanci chlubili się tym, że tak pięknie udało się im skopiować daczę w Kuncewie. Byli przekonani, że dogadzają tym ojcu. W schronie spotkałam te same osoby co zawsze, tyle że wszyscy nosili teraz wojskowe mundury. Wszyscy byli podnieceni — właśnie doniesiono, że nad Moskwą przeleciał samolot zwiadowczy obrzucając miasto niedużymi bombami...



Ojciec nie zauważał mnie, przeszkadzałam mu. Wokół leżały i wisały mapy, meldowano mu o sytuacji na frontach.

Wreszcie zauważył mnie, trzeba było w końcu coś powiedzieć... „No, jak tam u ciebie, zaprzyjaźniłaś się z jakimś kujbyszewiakiem?” — spytał nie myśląc o tym, co mówi. „Nie — odpowiedziałam — zorganizowali tam specjalną szkołę dla ewakuowanych dzieci, dużo ich tam jest teraz”. Mówiąc to nie spodziewałam się takiej reakcji, jaka nastąpiła. Ojciec podniósł na mnie bystre spojrzenie — takie, jakie miewał zawsze, kiedy czuł się dotknięty do żywego. „Co? Specjalną szkołę?” — widziałam, jak stopniowo ogarnia go wściekłość. „Ach, wy! — zaciął się szukając przyzwoitszych wyrażeń — ach, wy, kasta przeklęta! Patrzcie ich — rząd, moskwiczanie przyjechali, szkołę im oddzielną dawaj! Podlec Własik, to jego robota...!” Ogarnął go już gniew i tylko nie cierpiące zwłoki sprawy i obecność innych odciągnęły go od tego tematu.

Ojciec miał rację — do Kujbyszewa zjechała kasta. Stołeczna wierchuszka przybyła do na pół wysiedlonego miasta, żeby ulokować swoje rodziny przywykłe do komfortowego życia i „gnieźdzące” się tutaj w małych, prowincjonalnych mieszkankach...

Ale za późno już było na to, żeby mówić o kaście. Kasta już istniała i, rzecz jasna, żyła teraz według swych własnych, kastowych praw.

W Kujbyszewie, gdzie moskwiczanie dusili się we własnym sosie, było to szczególnie widoczne. W naszej „emigranckiej” szkole wszystkie te dzieci o znanych nazwiskach, zebrane razem, przedstawiały sobą tak przerażający widok, że niektórzy miejscowi pedagodzy odmawiali wejścia do klasy i prowadzenia lekcji. Dzięki Bogu, uczyłam się tam tylko przez jedną zimę i już w czerwcu wróciłam do Moskwy.

Z Kujbyszewa jeździłam jeszcze na dzień lub dwa do

Moskwy — w listopadzie 1941 roku i w styczniu 1942 — również żeby zobaczyć się z ojcem. Był on, tak jak i za pierwszym razem, zajęty i rozdrażniony. Ani ja, ani nasze głupie domowe sprawy nie były mu wtedy w głowie...

W ciągu tej zimy czułam się strasznie samotna. Być może, taki to już był wiek — szesnaście lat — pora marzeń, poszukiwań i wątpliwości, jakich nie znałam przedtem. W Kujbyszewie zaczęłam pierwszy raz w życiu słuchać regularnie muzyki poważnej. Ewakuowano tam filharmonię. Tam też odbyło się premiera Siódmej Symfonii Szostakowicza.

W naszym domu, na dole, w długim, ciemnym korytarzu przy kuchni odbywały się seanse objazdowego kina. Oglądaliśmy kronikę z frontów, oblężony Leningrad, jesień pod Moskwą... Niezapomniane są owe kroniki filmowe wojennych lat — nakręcano je wprost na placu boju, w okopach, pod nadciągającymi czołgami...

Przyjechał na krótko Wasyli, żeby zobaczyć syna. Tuż przed wojną skończył szkołę lotniczą w Lipiecku — sam jeszcze latał wtedy na myśliwcach — ale już był majorem i Naczelnikiem Inspekcji WWS. Było to jakieś nieokreślone bliżej stanowisko, podlegające bezpośrednio ojcu. Przez jakiś czas, nie długo, Wasyli stacjonował pod Orłem, a potem jego sztab znalazł się w Moskwie, na Pirogowskiej — tam zasiadywał w swoim kolosalnym gabinecie. W Kujbyszewie roило się wokół niego od jakichś nieznajomych lotników. Wszyscy byli niezwykle uniesieni wobec tego młodziutkiego naczelnika, który ledwie skończył dwadzieścia lat. Owe pochlebstwa doprowadziły go potem do zguby. Nie było przy nim nikogo ze starych przyjaciół, którzy by traktowali go jak równego sobie... Ci nowi natomiast nadskakiwali mu, jak umieli, a ich żony nachodziły Galę starając się pozyskać jej przyjaźń.

W domu naszym było tłumnie. Wokół panowała za-

wierucha — w naszych głowach też. I nie było przed kim duszy otworzyć, nie było nikogo, kto by pouczył, powiedział mądre, twarde, uczciwe słowo...

Tej zimy dokonałam odkrycia, które spadło na mnie strasznym ciosem. Czytywałam wówczas angielskie i amerykańskie czasopisma — „Life”, „Fortune”, „The Illustrated London News”. Robiłam to po prostu dla informacji i doskonalenia języka. I oto nagle natrafiłam na artykuł o ojcu. W artykule wspomniano — jako o dawno już znanym fakcie — że „żona jego, Nadieżda Siergiejewna Allilujewa popełniła samobójstwo w nocy 9 listopada 1932 roku”. Byłam wstrząśnięta, nie chciałam wierzyć własnym oczom. Było to straszne, ale w głębi serca od razu uwierzyłam. Rzeczywiście, wszystko zdarzyło się wtedy tak nieoczekiwanie... Popędziłam do babci, powiedziałam jej, że „wszystko wiem” i spytałam „dlaczego przede mną ukrywano...” Babcia zdziwiła się bardzo, ale zaraz zaczęła mi opowiadać wszystko ze szczegółami. „Ale któż by pomyślał — powtarzała nieustannie — któż by pomyślał, że ona to zrobi?”

Od tego czasu nie zaznałam spokoju. Starłam się przypomnieć sobie wszystko to, co byłam w stanie jeszcze pamiętać. Myślałam o ojcu, o jego charakterze, o tym, że — w istocie — trudno z nim żyć. Szukałam przyczyn, ale wszyscy, kogo bym nie spytała, dawali wymijające odpowiedzi... A zresztą ani Anna Siergiejewna ani babcia nie pamiętały już dobrze, tamtych dni, zanikło z czasem zrozumienie dla tragedii mamy, przesłoniły im ją nowe nieszczęścia (śmierć Pawłuszki, stracenie Redensa, śmierć obydwójga Swanidze). Ostrze tamtej tragedii uległo stępieniu.

A ja nie mogłam znaleźć sobie miejsca. Coś we mnie runęło, załamała się bezwzględna dotąd ufność i wiara w słowo, wolę i poglądy ojca...

Zaczęłam zastanawiać się nad okolicznościami niedawnego aresztowania Juli. Wydały mi się dziwne. Dla-

czego ojciec powiedział wtedy przez telefon: „Tylko nic na razie nie mów żonie Jaszy”?

Zacząłam też zastanawiać się nad czymś, co nigdy dotąd nie przyszło mi do głowy: czy rzeczywiście mój ojciec ma zawsze rację? *Takie* myśli były w owych czasach bluźnierstwem. W oczach całego mego otoczenia imię ojca wiązało się wówczas z wolą zwycięstwa, jego nadzieją i pragnieniem pokoju. Sam ojciec zresztą był tak daleko, tak nieprawdopodobnie daleko ode mnie... W sumie więc były to tylko próby rozbudzenia w sobie wątpliwości.

Jesienią 1941 roku również dla ojca przygotowano kwatery w Kujbyszewie. Oczekiwano jego przyjazdu. Odremontowano kilka dacz na brzegu Wołgi, pod ziemią zbudowano ogromne schrony przeciwbombowe. W samym mieście zaś urządzono dla niego budynek byłego Obkomu, w którym przygotowano takie same duże i puste pokoje ze stołami i kanapami jak w jego moskiewskim mieszkaniu. Wszystko to czekało na ojca bez skutku przez całą zimę.

Wreszcie, w czerwcu 1942 roku, Gała z dzieckiem, Aleksandra Nikołajewna, niania i ja wróciłyśmy do Moskwy skąd postanowiłam nie wyjeżdżać już za nic w świecie.

W Moskwie czekała nas gorzka niespodzianka: jesienią wysadzono w powietrze Zubałowo, lada dzień bowiem spodziewano się wówczas nadejścia tam Niemców. Pojechaliśmy oglądać. Sterczały jeszcze straszne kikuty starych, grubych ścian. Budowano już wprawdzie nową, uproszczoną wersję zburzonego domu, ale pozostała gorycz bezpowrotnej straty. Zamieszkaliśmy tymczasem w oficynie, a w końcu września przenieśliśmy się do odbudowanego domu. Wyglądał teraz jak skaranie boskie: pomalowany „dla zamaskowania” na ciemny, zielony kolor, obrzydliwa, bezsensowna architektura z odrąbaną do połowy basztą i poobcinanymi tarasami. Rozłokowaliśmy

się tam wszyscy — Gala z dzieckiem, Wasyli, Gula — córka Jaszy — ze swoją nianią, ja — ze swoją i Anna Siergiejewna z synami.

Tej zimy lat 1942-1943 życie w Zubałowie było niezwyczajne i nieprzyjemne... W domu zapanowała nieznana mu dotąd atmosfera pijackiego rozpasania. Do Wasyla przyjeżdżali goście — sportowcy, aktorzy, koledzy-lotnicy — i nieustannie odbywały się huczne pijaństwa przy akompaniamencie grzmiącej na cały regulator radioli. Bawiono się tak, jakby nie było wojny. Mimo to jednak panowała nuda i smutek. Nie było nikogo, z kim można by poważnie porozmawiać — choćby o tym, co dzieje się w świecie, w kraju, we własnej duszy... W naszym domu zawsze było smutno, przywykłam do izolacji, do samotności. O ile jednak przedtem było smutno i cicho, o tyle teraz — smutno i hałaśliwie.

Jesienią 1942 roku przybył do Moskwy Winston Churchill. Pewnego dnia zadzwoniła do mnie Aleksandra Nikołajewna Nakaszidze i powiedziała, żebym przyjechała do miasta, bo Churchill przyjdzie do nas na obiad i ojciec życzy sobie, żebym była w domu. Jechałam zastanawiając się, czy wypada powiedzieć coś po angielsku, czy też lepiej siedzieć cicho.

Nasze mieszkanie było puste i nieprzytulne. U ojca w jadalni szafy biblioteczne świeciły pustką, książki wywieziono do Kujbyszewa. Służba krzątała się w pośpiechu, ktoś dzwonił z MSZ pouczając jak należy przyjmować cudzoziemców.

Wreszcie goście przeszli korytarzem do jadalni. Poszłam tam i ja. Ojciec był nadzwyczajnie serdeczny i gościny. Znajdował się w tym pełnym galanterii i gościnności nastroju, którym zjednywał sobie wszystkich. „To moja córka” — powiedział i — wzburzając ręką moje włosy — dodał: „Ruda!” Wiston Churchill uśmiechnął się i zauważył, że on też w młodości był rudy, a teraz — proszę... i tu stuknął się cygarem w głowę. Powiedział

też, że jego córka służy w królewskich siłach lotniczych. Rozumiałam go, ale byłam zbyt zmieszana, aby cokolwiek powiedzieć. Zresztą ze mną już skończono, rozmowa potoczyła się innym torem — o armatach, samolotach... Rozumiałam prawie wszystko zanim jeszcze tłumacz W. N. Pawłow zdążył przetłumaczyć. Ale nie pozwolono mi było przysłuchiwać się zbyt długo. Ojciec pocałował mnie i powiedział, że mogę wrócić do swoich spraw.

Nie rozumiałam wtedy dlaczego nagle zapragnął pokazać mnie Churchillowi. Teraz jednak rozumiem, że chciał po prostu zrobić na nim normalne, ludzkie wrażenie. Churchill spodobał mu się, było to widoczne.

W październiku rozpoczęłam dziesiątą klasę. Było wielu nowych uczniów, starzy porozejeżdżali się, tylko nauczyciele byli ci sami, przedwojenni. W szkole było zimno. Ale lekcje Anny Aleksiejewny Jasnopolskiej — najlepszego w Moskwie wykładowcy literatury — rozgrzewały serce i umysł. Owej zimy program był obszerny: najpierw Goethe i Schiller, potem — Czechow, Gorki i poezja — od akmeistów do Majakowskiego i Jesienina oraz literatura sowiecka...

Żyłam wówczas w świecie sztuki — muzyki, literatury a także malarstwa, którym od niedawna dopiero zaczęła się interesować i o którym mówiła nam również Anna Aleksiejewna. Wszyscy wtedy upajaliśmy się wierszami, poezją heroiczną...

*Jak było. Jak zbiegła się —*

*Wojna, nieszczęście, marzenie i młodość...*

*Jak wszystko to zapadło we mnie*

*I dopiero później się obudziło!*

— mówił o tych czasach Dawid Samojłow w swym cudnym wierszu „Czterdzieste, rozstrzygające...”

Tejże zimy lat 1942-43 poznałam człowieka, za którego przyczyną moje stosunki z ojcem zepsuły się raz na zawsze. Człowiek ten nazywał się Aleksiej Jakowlewicz Kapler.

Aleksiej Jakowlewicz Kapler mieszka dziś w Moskwie, kształci młodych specjalistów w Instytucie Kinematografii, pisze scenariusze, prowadzi seminaria. Jest starym, uznanym mistrzem sztuki filmowej... Po dziesięciu latach zsyłki i obozów życie jego popłynęło normalnym torem — podobnie, jak życie wielu innych, którzy ocalili i wytrzymali uderzenia losu.

Nie trudno byłoby zliczyć godziny, które spędziliśmy razem w zimie lat 1942-43 i potem, raz jeszcze, po jedenastu latach, w 1955 roku. Ot i wszystko... Były to przelotne spotkania czterdziestoletniego człowieka z „gimnazistką” — czyż warto o tym wiele mówić lub myśleć?

Wasyli przywiózł Kaplera do nas, do Zubałowa, w końcu października 1942 roku. Przygotowywano nowy film o lotnikach i Wasyli podjął się roli konsultanta. Przy tej okazji poznał wówczas także R. Karmena, M. Słuckiego, K. Simonowa i W. Wojciechowa. Zdaje się jednak, że realizacja filmu nie wyszła poza etap hałaśliwych dyskusji przy zastawionym stole. W pierwszej chwili nie zwróciliśmy na siebie żadnej uwagi — Kapler nie doszręgał mnie ani ja jego. Ale potem zaproszono nas wszystkich na przegląd filmów w Gniezdnikowskim Załuku i tam po raz pierwszy zgadaliśmy się o filmie.

Lusia Kapler — tak go wszyscy nazywali — zdziwił się bardzo, że coś niecoś rozumiem. Był zadowolony, że nie spodobał mi się amerykański szlagier z girlsami i czeczotką i zaproponował mi obejrzenie „dobrych filmów” jego własnego wyboru. Następnym razem zjawił się w Zubałowie z taśmą „Królowej Krystyny” z Gretą Garbo. Film ten zrobił na mnie wtedy ogromne wrażenie i Lusia bardzo był ze mnie zadowolony...

Wkrótce nadeszły listopadowe święta. Zjechało do nas mnóstwo ludzi. Był K. Simonow z Wałą Sierową, B. Wojtichow z L. Celikowską, R. Karmen z żoną Niną, znaną moskiewską pięknoscią, byli lotnicy i już nie pamiętam kto jeszcze.

Po hucznej uczcie zaczęły się tańce. Lusia zapytał mnie z powątpiewaniem w głosie: „Tańczycie fokstrota?”... Uszyto mi wtedy po raz pierwszy ładną sukienkę u dobrej krawcowej. Przypięłam do niej starą, granatową broszkę mamy, a na nogach miałam półbuty bez obcasów. Musiałam wyglądać jak śmieszny kurczak. Ale Lusia zapewnił mnie, że bardzo lekko tańczy i było mi tak dobrze, ciepło i spokojnie przy nim! Ten duży, sympatyczny mężczyzna budził we mnie niezwykle zaufanie, zapragnęłam nagle położyć głowę na jego piersi i zamknąć oczy...

„Coś niewesoła dziś jesteście?” — powiedział nie spodziewając się nawet co usłyszy w odpowiedzi. Bo oto nagle — nie przestając tańczyć i przebierając dalej nogami — zaczęłam opowiadać mu o wszystkim — jak mi smutno i nudno w domu, jak nieciekawie żyje mi się z bratem i krewnymi, że dziś dziesiąta rocznica śmierci mamy i że nikt o tym nie pamięta i nie ma z kim o tym mówić. Wprost z serca popłynął nagle strumień skarg. Tańczyliśmy dalej, zmienialiśmy płyty i nikt nie zwracał na nas uwagi...

Mocne więzy zadzierzgnęły się między nami w ten wieczór. Przestaliśmy być sobie obcy, staliśmy się przyjaciółmi. Lusia był zaskoczony, wzruszony. Posiadał on



dar łatwego, swobodnego kontaktu z najróżniejszymi ludźmi. Był przyjazny, wesoły, wszystko go interesowało. Tak się jednak złożyło, że i on był wówczas samotny i, być może, także szukał u kogoś oparcia...

Na krótko przedtem powrócił z Białorusi, z „partyzanckiego kraju”, gdzie zebrał ciekawe materiały do filmu. Mieszkał w nieogrzewanym hotelu „Savoy” goszcząc tam swych licznych przyjaciół i korespondentów wojennych.

Odczuwaliśmy do siebie silny, wzajemny pociąg. Po świętach Lusia miał spędzić jeszcze kilka dni w Moskwie, a następnie wyjechać do Stalingradu. Robiliśmy wszystko, żeby widywać się przez te dni jak najczęściej, choć przy moim sposobie życia było to niezmiernie trudne. Ale Lusia przychodził pod moją szkołę i czekał na mnie w bramie sąsiedniego domu. Radośnie ścisnęło mi się serce, bo wiedziałam, że tam jest... Chodziliśmy do zimnej, wójkowej Tretiakowki i oglądaliśmy wystawę o wojnie. Wałęsaliśmy się tam długo, już po wszystkich dzwoneczkach. Nie mieliśmy gdzie się podziać. Potem chodziliśmy do teatrów. Zaczęto wtedy właśnie wystawiać „Front” Korniejczuka, o którym Lusia powiedział, że „prawdziwa sztuka tam nawet nie nocowała”. Widzieliśmy także „Błękitnego ptaka” i „Dagę pikową”. Lusia przyznawał, że nie cierpi opery, ale dobrze nam było spacerować razem po kuluarach.

W sali przeglądów Komitetu Kinematografii w Gniezdnikowskim Zaułku Lusia pokazał mi „Królową Śnieżkę” Disneya i cudowny film „Młodość Lincolna”. Byliśmy sami w tej małej salce...

Lusia przynosił mi książki: „Mieć i nie mieć” i „Komu bije dzwon” Hemingway’a\* oraz „Wszyscy jesteście wrogami” Aldingtona. Dawał mi też „dorosłe” książki o miłości i był głęboko przekonany, że wszystko zrozu-

---

\* „Komu bije dzwon” otrzymałam od niego w przekładzie, który już wtedy krążył z rąk do rąk, a po dziś dzień jeszcze się nie ukazał w druku!

miem. Nie wiem, czy wszystko wówczas rozumiałam w tych książkach, ale pamiętam je dziś tak, jakby to było wczoraj... Ogromna „Antologia poezji rosyjskiej od symbolizmu do naszych czasów” upstrzona była całą kółeczkami i kreseczkami, którymi Lusia oznaczał swoje ulubione wiersze. Otrzymałam tę książkę od niego w prezencie. Od tamtych czasów znam na pamięć Achmatową, Gumilewa, Chodasiewicza... O, cóż to była za antologia! Długo zachowała się u mnie w domu i w wielu różnych chwilach sięgałam po nią...

Chodziliśmy razem po zaśnieżonych ulicach ciemnej, wojennej Moskwy i nigdy nie było nam dość naszych rozmów... A w pewnej odległości za nami kroczył mój niešťczęsny „wujaszek” Michaił Nikitycz Klimow — zupełnie zdetonowany sytuacją i tym, że Lusia bardzo uprzejmie z nim się witał i częstował papierosami. „Wujaszek” patrzył na nas bez złości, a my nie reagowaliśmy w ogóle na jego obecność. Do czasu...

Lusia był wtedy dla mnie najmądrzejszym, najlepszym i najpiękniejszym człowiekiem. Promieniował blaskiem i czarem wiedzy, otwierał przede mną świat sztuki — nieznanym, tajemniczym. On zaś nie przestawał dziwić się, uważać za niezwykle, że słucham jego słów, chłonę je i rozumiem, i że znajduję one oddźwięk...

Wkrótce Lusia pojechał do Stalingradu. Było to w wigilię bitwy. Lusia wiedział, że interesują mnie wszystkie jego spostrzeżenia, że ciekawi mnie to, co zobaczył tam własnymi oczami i zrobił rzecz wstrząsającą w swej rycerskości i... lekkomyślności. Pewnego dnia, w końcu listopada znalazłam w „Prawdzie” artykuł korespondenta specjalnego A. Kaplera pod tytułem „Listy lejtenanta Ł. ze Stalingradu. List pierwszy”. Artykuł, utrzymany w formie listu urojonego lejtenanta do ukochanej, opowiadał o tym, co działo się w Stalingradzie, na który zwrócone były wówczas oczy całego świata.

Zobaczyłam to i zrobiło mi się zimno. Wyobraziłam

sobie ojca otwierającego tę samą gazetę... „Zameldowano” mu już o moim dziwnym, bardzo dziwnym postępowaniu ostatnich dni. Już wspomniał raz tonem pełnym niezadowolenia, że zachowuję się w sposób niedopuszczalny. Puściłam wtedy tę uwagę mimo uszu i dalej postępowałam tak, jak dotąd. A teraz bez żadnych wątpliwości ojciec przeczyta ten artykuł, z którego łatwo można się wszystkiego domyśleć — nawet nasze spacery do Tretiakowki znalazły tu wierny opis...

I na dobitkę wszystkiego artykuł kończył się jeszcze takimi słowami: „W Moskwie teraz na pewno pada śnieg. Z twojego okna widać zębaty mur Kremla”... Boże drogi, co teraz będzie?!

Lusia wrócił ze Stalingradu tuż przed Nowym Rokiem 1943. Przy pierwszym spotkaniu błagałam go tylko o jedno — żebyśmy przestali się widywać i dzwonić do siebie. Przeczuwałam, że wszystko to skończy się strasznie. Lusia był skonfundowany, mówił, że artykuł nie był przeznaczony dla „Prawdy” i że „przyjaciele” zrobili mu „kawał”. Najwidoczniej jednak zrozumiał on, że ściągamy na siebie zbyt wiele uwagi, że zaczyna to być niebezpieczne i zgodził się, że trzeba się rozstać...

Nie dzwonił mi do siebie przez dwa lub trzy tygodnie — do końca stycznia — ale tym trudniej było nam nie myśleć o sobie. Po dwunastu latach konfrontowaliśmy swoje przeżycia tych dni. Lusia mówił mi, że przez cały ten czas nigdzie nie wychodził, a tylko leżał wciąż na kanapie i wpatrywał się w telefon.

Wreszcie ja pierwsza nie wytrzymałam i zadzwoniłam do niego. I wszystko zaczęło się na nowo. Dzień w dzień spędzałam przynajmniej godzinę przy telefonie. Moi domownicy byli przerażeni.

Postanowiono przemówić Lusi do rozsądku. Zadzwonił do niego pułkownik Rumiancew — jedna z figur ochrony osobistej ojca i prawa ręka Własika. Rumiancew dyplomatycznie zaproponował Lusi wyjazd służbowy z

Moskwy — gdziekolwiek, byle jak najdalej... Lusią odesłał go do diabła i powiesił słuchawkę.

Przez cały luty znów chodziliśmy do kina, do teatru i — po prostu — na spacer. Czuliśmy jednak narastającą nad naszymi głowami burzę. W ostatni dzień lutego przypadały moje urodziny — kończyłam wtedy 17 lat. Chcieliśmy tego dnia posiedzieć gdzieś w samotności i nie wiedzieliśmy zupełnie jak to zrobić. On nie mógł przyjść do mnie ani ja do niego, mogliśmy tylko szukać jakiegoś neutralnego miejsca. Poszliśmy w końcu do pustego mieszkania w pobliżu dworca Kurskiego, gdzie Wasyl podejmował czasem swoich lotników. Nie byliśmy jednak sami. Towarzyszył nam mój „wujaszek” Klimow. Ten zaś przeraził się kiedy zobaczył, że po wyjściu ze szkoły skierowałam się w inną niż zwykle stronę... A potem siedział w sąsiednim pokoju, udawał, że czyta gazetę i łowił uchem szmery dobiegające spoza szeroko otwartych drzwi, za którymi byliśmy my z Lusią.

Cóż działo się za tymi drzwiami? Nie mogliśmy już rozmawiać. Całowaliśmy się w milczeniu stojąc tuż, blisko siebie. Wiedzieliśmy, że to nasze ostatnie spotkanie. Lusią rozumiał, że wszystko to nie skończy się dobrze i postanowił wyjechać. Miał już załatwioną podróż służbową do Taszkientu, gdzie wkrótce miały zacząć się zdjęcia do jego filmu o białoruskich partyzantach — „Ona broni ojczyzny”. Nasze serca wypełniała gorycz i... słodkie upojenie. Milczeliśmy, patrzyliśmy sobie w oczy i całowaliśmy się. Byliśmy niezmiernie szczęśliwi, choć i jedno i drugie łykało łzy.

Potem poszłam do siebie, do domu. Byłam zmęczona, moralnie rozbita, przeczuwałam nieszczęście. A za mną włókł się mój „wujaszek” też trzęsąc się na samą myśl, co teraz z nim będzie...

Lusią pojechał do domu, żeby pakować rzeczy. Za parę dni miał wyjechać z Moskwy. Pierwszego marca od-

wiedziała go Tania Tess. Lusią siedział w domu smutny, przybity. Opowiadali mi o tym obydwój — po dwunastu latach... Nazajutrz, 2 marca, kiedy miał już wyjeżdżać, przyszło do niego, do domu dwóch mężczyzn. Poprosili go, żeby poszedł z nimi, pojechali razem na Łubiankę. Tam Lusią zobaczył naszego znakomitego generała Własika, który przyjechał osobiście dopatrzeć, czy wszystko idzie jak należy. Ale wszystko szło jak należy... Lusię zrewidowano i oznajmiono mu, że jest aresztowany. Powód — powiązania z cudzoziemcami. Bywał on rzeczywiście nie raz za granicą i znał wszystkich chyba korespondentów zagranicznych w Moskwie. Temu zaprzeczyć nie mógł. A to już wystarczało, żeby oskarżyć go o cokolwiek...

O mnie, rzecz jasna, nie wspomniano ani jednym słowem. Tak oto zaczęło się dla Łusi inne życie, które — począwszy od tego dnia — miało się ciągnąć przez dziesięć lat...

3 marca, rankiem, kiedy wybierałam się do szkoły, przyjechał nieoczekiwanie ojciec. Było to więcej, niż niezwykłe. Minął swoim szybkim krokiem korytarz i skierował się wprost do mojego pokoju. Niania skamieniała od jego pierwszego spojrzenia i tak już została w kącie, nieruchoma... Nigdy jeszcze takim ojca nie widziałam. Zwykle opanowany w słowach i uczuciach, teraz dławił się od gniewu i z trudem tylko mógł powiedzieć: „Gdzie, gdzie jest to wszystko? Gdzie są te wszystkie listy od twojego pisarza?”

Nie trzeba wyjaśniać z jaką pogardą wymówił słowo „pisarz”... „Wiem wszystko! Wszystkie twoje rozmowy telefoniczne są tu! — klepnął się ręką po kieszeni. — No! Dawaj wszystko, co masz! Twój Kapler — to angielski szpieg! Jest aresztowany!”

Wyjęłam ze swojej szuflady wszystkie Lusi notatki i fotografie ze Stalingradu z jego podpisami. Były tam też jego notatniki, szkice opowiadań i nowy scenariusz

o Szostakowiczu, a także długi, smutny list, który Lusia dał mi w dniu moich urodzin — na pamiątkę.

„A ja go kocham!” — powiedziałam wreszcie odzyskawszy dar mowy. „Kochasz!” — wrzasnął ojciec znieopisaną nienawiścią do samego dźwięku tego słowa i wymierzył mi dwa policzki — pierwsze w moim życiu. „Pomyślcie, nianiu, do czego ona doszła! — ojciec nie panował już nad sobą. — Mamy taką wojnę, a ona zajmuje się...!” I tu posypały się ordynarne, chamskie słowa — innych mu już zabrakło...

„Nie, nie, nie” — powtarzała moja niania stojąc w kącie i wyciągając swoją pulchną rękę, jakby chciała odepchnąć od siebie coś strasznego — „Nie, nie, nie!”

„Jakże — nie?!” — krzyczał dalej ojciec, choć już spokojniej. Widocznie złość jego wyładowała się nieco w owych policzkach, które mi wymierzył. „Jakże — nie, ja wiem wszystko!” A potem popatrzył na mnie i powiedział coś, co uderzyło we mnie jak piorun: „Przypatrzyłybyś się sobie — komu ty jesteś potrzebna?! On ma bab ile chce, głupia!” I zabrał wszystko i poszedł do siebie, do jadalni, żeby przeczytać własnymi oczami.

A we mnie wszystko się załamało. Jego ostatnie słowa trafiły w najłabszy punkt. Gdyby próbował oczernić Lusię nie zrobiłoby to na mnie żadnego wrażenia, nie przyniosłoby skutku. Ale kiedy usłyszałam słowa „przy patrz się sobie” — zrozumiałam, że w istocie, nie byłam nikomu potrzebna. Czyż Lusia mógł naprawdę mnie pokochać? Na cóż bym mu się zdała? Nie uświadomiłam sobie od razu znaczenia słów „twój Kapler — to angielski szpieg”. Dopiero potem, machinalnie pakując dalej moje szkolne przybory zrozumiałam co stało się z Lusią... Ale wszystko to było jak we śnie.

Jak we śnie wróciłam ze szkoły. „Idź do jadalni, do ojca” — powiedziano mi. Poszłam milcząc. Ojciec rwał i wrzucał do kosza moje listy i fotografie. „Pisarz! — burczał pod nosem. — Nie umie nawet z sensem pisać

po rosyjsku! Nie mogłaś już znaleźć sobie Rosjanina?!” Zdaje się, że najwięcej drażniło go to, że Kapler jest Żydem...

Słuchałam obojętnie, w milczeniu. Potem poszłam do siebie. Od tego dnia przez dłuższy czas zachowywaliśmy się z ojcem wobec siebie jak obcy ludzie, nie rozmawialiśmy przez kilka miesięcy. Zobaczyliśmy się dopiero w lecie. Ale nasze dawne stosunki nie powróciły już nigdy. Nie byłam już dla niego jak przedtem, ukochaną córką.



Lusię zesłano wkrótce potem na północ, na pięć lat. Mieszkał w Workucie i pracował w tamtejszym teatrze. Po odbyciu wyroku postanowił pojechać do swoich rodziców, do Kijowa (zabroniono mu wracać do Moskwy). Mimo to jednak, nie bacząc na niebezpieczeństwo, przyjechał na krótko do Moskwy. Był to rok 1948...

Kiedy wsiadał do pociągu kijowskiego, weszło za nim do wagonu kilku mężczyzn. Na najbliższej stacji wyprowadzono go z pociągu i powieziono w przeciwnym kierunku... Tym razem to już nie była zsyłka, a łagier. Wysłano go do jednego ze strasznych łagrów nad Intą, do pracy w kopalni. Jeszcze raz — pięć lat. Za nieposłuszeństwo...

W marcu 1953 roku wyrok jego dobiegł końca. Prosił, żeby pozwolono mu wrócić do Workuty i osiedlić się tam, pracować w teatrze. Ale nieoczekiwanie znów znalazł się w Moskwie, na Łubiance...

Wkrótce potem, w lipcu 1953 roku, powiedziano mu: „Jesteście wolni, możecie iść do domu. Jaki jest wasz adres? Czy chcielibyście do kogoś zadzwonić?”

I Lusiu wyszedł i poszedł letnimi ulicami Moskwy od tyłu lat nie widzianej, gorącymi, lipcowymi ulicami i bulwarami...



Przez całe te dziesięć lat nie miałam o nim żadnych, pewnych wiadomości. Nie mogłam spotkać się z nikim spośród jego przyjaciół, bo natychmiast by o tym wiedziało. Taki był wówczas mój styl życia. Wiedziałam tylko, że zesłano go na północ za „powiązania z cudzoziemcami”. Nie wiedziałam nawet, że w 1948 roku był na krótko w Moskwie.

Pozostawała mi tylko pamięć tych szczęśliwych chwil, które Lusiu mi podarował.

I oto nadszedł rok 1953 i dzień 3 marca. Minęło dziesięć lat od tego ranka, kiedy ojciec wszedł rozwścieczony do mojego pokoju i uderzył mnie w twarz. Siedzę teraz na skraju jego pościeli, a on umiera. Siedzę, patrzę na zabiegi lekarzy i różne myśli błędzą mi po głowie... Myślę również o Lusi. Dziesięć lat minęło od jego aresztowania. Jaki jest jego los? Co z nim się teraz dzieje?

A w rok później, podczas II Zjazdu Pisarzy Sowietkich, w rozjarzonej światłami Georgiewskiej sali Kremla spotkałam Lusię. Od naszego ostatniego widzenia minęło jedenaście lat...



Skończyłam szkołę wiosną 1943 roku. Od czterech miesięcy, czyli od tamtego właśnie 3 marca, ani razu nie widziałam się z ojcem a nawet nie rozmawiałam z nim przez telefon. Dopiero w lipcu zadzwoniłam do niego i powiedziałam mu, że skończyłam szkołę. „Przyjeżdżaj!” — burknął.

Pokazałam mu swoje świadectwo i powiedziałam, że chcę wstąpić na uniwersytet, na wydział filologiczny. Ciągnęło mnie do literatury i nawet Anna Siergiejewna, nasza nauczycielka ze szkoły doradzała mi filologię...

„Literatem chcesz być” — odrzekł ojciec z niezadowolaniem — „wciąż cię ciągnie do tej bohemy! Toż to wszystko ludzie bez wykształcenia. I ty chcesz taką być... Nie, ty miej przyzwoite wykształcenie. No, choćby na wydziale historycznym. Trzeba znać historię społeczeństwa — dla literata to też niezbędne. Studiuj historię a potem rób sobie, co chcesz...”. W taki sposób mnie przekonywał. I choć robił to raczej kategorycznie, choć przygotowywałam się już z przyjaciółką do egzaminu na filologię — raz jeszcze, mimo wszystko, zawierzyłam autorytetowi ojca i wstąpiłam na wydział historyczny.

Nigdy tego nie żałowałam. Szkoła otrzymana na „istfaku” okazała się pożyteczna. Ojciec nie przewidział

tylko, że — wbrew jego woli — nie zrobi się ze mnie „wykształcona marksistka”. Rezultat był odwrotny, choć właśnie *dzięki* studiom nad historią społeczeństwa.

W domu znów było cicho i smutno. Wiosną 1943 roku „zamknięto” Zubałowo. Ojciec powiedział, że zamieniliśmy go w spelunkę. Babcię i dziadka, którzy przyjechali na lato umieszczono w domu wypoczynkowym „Sosny”.

Gula, córka Jaszy, wróciła do matki, która dwa lata przesiedziała w więzieniu na podstawie strasznego paragrafu przewidującego kary dla rodzin żołnierzy oddających się w niewolę. (Wszyscy ci, którzy dostali się do niewoli, nawet — tak jak Jasza — ranni, traktowani byli jako „kapitulanci wobec wroga”. W ten sposób rząd porzucił na pastwę losu miliony żołnierzy i oficerów, którzy dostali się do niewoli podczas ostatniej wojny. Czyż nie jest zatem zrozumiałe, że wielu z nich nie chciało potem wracać do domu...?)

Tak jak ja, Wasyl został wypędzony z Zubałowa — za „moralne rozprężenie” — i ukarany dziesięcioma dniami karceru (na osobisty rozkaz ojca jako ministra obrony!).

Również w naszym kremłowskim mieszkaniu nastąpił pogrom. Ku mojej wielkiej radości, Aleksandra Nikołajewna Nakaszidze została wreszcie wypędzona precz. „Donosicielowi — pierwszy bat!” Nie uratowało jej szpiclowanie mnie, grzebanie w moich zeszytach i listach, podsłuchiwanie moich rozmów telefonicznych z Kaplerem itp... Ojcu obrzydła jej głupota. A ponadto źle wywiązywała się ze swoich funkcji i nie „uchroniła” mnie od pokus. Zaraz potem wyszła za mąż za jakiegoś gruzińskiego towarzysza na wysokim stanowisku i na zawsze znikła z naszego domu, co zresztą jej samej sprawiło niewysłowioną radość...

Jesienią 1943 roku, po moim wstąpieniu na uniwersytet, „zniesiono” również mojego „wujaszka” M. N. Kli-

mowa. Ublągałam ojca, żeby zwolnił mnie od tej „ochrony”, która kompromitowałaby mnie wobec innych studentów. Ojciec nieoczekiwanie zrozumiał mnie i wyraził zgodę...

Tylko niania moja pozostała jeszcze ze mną na długo — do samej jej śmierci w 1956 roku. Po dawnemu szyła sobie w swoim pokoju, który sąsadował z moim. Zza ściany wciąż dobiegał terkot jej maszyny do szycia. Czasem tylko cichutko przychodziła do mnie niosąc na talerzu obrane i pokrojone jabłka albo filiżankę herbaty i małeńkie tartinki. A ja siedziałam z nosem utkwionym w książkach.

Z ojcem widywałam się niezmiernie rzadko. Przestał, jak kiedyś, przyjeżdżać na obiad do domu; jeździł teraz do siebie, do Kuncewa, wraz z całym swoim stałym otoczeniem. Tam wszyscy jadali.

Wiosną 1944 roku wyszłam za mąż. Mego pierwszego męża, również studenta, znałam od dawna — chodziliśmy do tej samej szkoły. Był Żydem, co bynajmniej ojca nie zachwyciło. Pogodził się jednak z tym — nie chciał widocznie znów „przejąć pałki” — i wyraził zgodę na to małżeństwo.

Pojechałam do ojca specjalnie po to, żeby pomówić z nim na ten temat. Trudno mi było z nim rozmawiać — był już na zawsze ze mnie niezadowolony, był mną rozczarowany.

U ojca na dacy rozkwitły majowe kwiaty, kipiała bielą czeremcha. Wokół — cisza zmacona tylko brzęczeniem pszczoł... „Znaczy — za mąż chcesz?” — spytał ojciec. Potem długo milczał, przyglądał się drzewom... „Tak, wiosna...” — powiedział nagle i dodał: „Czort z tobą, rób co chcesz...”

W zdaniu tym kryło się wiele. Oznaczało ono, że ojciec nie zamierza stanąć na przekór naszym planom i dzięki temu przeżyliśmy trzy lata w dostatku i mogliśmy spokojnie kontynuować studia. Bez kłopotów urodziłam

dziecko i nie musiałam się o nie troszczyć. Wychowywały je dwie nianie — moja i mojej bratanicy Guli, córki Jaszy.

Ojciec na jedno tylko nalegał: żeby mój mąż nie zjawiał się w jego domu. Otrzymaliśmy mieszkanie w mieście i byliśmy zadowoleni z tego, co mieliśmy... Jednego tylko ojciec nam odmawiał — serdeczności, miłości, ludzkiego stosunku. Ani razu nie spotkał się z moim mężem i twardo zapowiedział, że to nie nastąpi. „Zbyt przezorny jest ten twój młody człowiek” — mawiał do mnie. „Patrzcie go — na froncie straszno, tam strzelają, to on, widzisz, na tyłach się okopał...” Milczałam i nie nalegałam na spotkanie. Nie skończyłoby się ono dobrze...

Widywałam teraz ojca bardzo rzadko. Ponownie zobaczyłam się z nim dopiero na jesieni. Powiedziałam mu, że oczekuję dziecka. Ojciec zmiękł i pozwolił nam z mężem jeździć do Zubałowa. „Potrzebne ci jest powietrze” — powiedział. Jeździliśmy tam tylko we dwoje. Jakże tam było pusto! Wasyli był na froncie przy swojej dywizji. Potem został dowódcą korpusu. Szedł w górę nieustannie — stopień generalski, order, medale — i coraz więcej pił.

9 maja 1945 roku, kiedy obwieszczono przez radio koniec wojny, zadzwoniłam do ojca. Był wczesny ranek. Byłam niezmiernie podniecona, w całej Moskwie zrobiło się nagle gwarno i wesoło, wszyscy wiedzieli już o zwycięstwie... „Tato, gratuluję ci, zwycięstwo!” Tyle tylko potrafiłam powiedzieć, chciało mi się płakać.

„Tak, zwycięstwo! — odrzekł. — „Dziękuję. I ja ci gratuluję! Jak się czujesz?” Czułam się wspaniale, jak cała Moskwa owego dnia!

Zaprosiliśmy z mężem do siebie wszystkich znajomych. Mieszkanie nabite było ludźmi, piliśmy szampana, tańczyliśmy, śpiewaliśmy... Na ulicach przewalały się tłumy ludzi — bałam się wyjść, bo już za dwa tygodnie oczekiwałam dziecka. Urodziłam je lekko. Jakże wesoły

panował wtedy nastrój, jak radośnie było wszystkim w maju 1945 roku!

Ojca zobaczyłam dopiero w sierpniu, po jego powrocie z konferencji poczdamskiej. Pamiętam, że tego właśnie dnia, kiedy byłam u niego, przyszli jego zwykli goście i powiedzieli, że Amerykanie zrzucili na Japonię pierwszą bombę atomową... Wiadomość zaabsorbowała wszystkich obecnych i ojciec niezbyt uważnie ze mną rozmawiał. A ja miałam tak ważne — dla mnie — nowiny. Urodził mi się syn! Miał już wtedy trzy miesiące i na imię mu było Josif... Jakież znaczenie jednak mogły mieć takie drobiazgi w obliczu światowych wydarzeń. Nikogo to po prostu nie interesowało... Ponadto, brat mój zdążył już powiedzieć ojcu parę niepochlebnych słów o moim mężu i ojciec był chłodny, obojętny, zamknięty w sobie.

Nie prędko zobaczyliśmy się znowu... Ojciec zapadł na zdrowiu i chorował długo i ciężko. Dały znać o sobie nerwowość i zmęczenie lat wojny, a także — wiek. Ojciec miał już przecież sześćdziesiąt sześć lat.

Nie pamiętam nawet, czy widzieliśmy się z nim w ciągu zimy 1945-46 roku... Znowu studiowałam na uniwersytecie — trzeba było nadganiać stracony z powodu dziecka rok... Mieszkaliśmy z mężem w naszym miejskim mieszkaniu i obydwójce studiowaliśmy. Nasz syn mieszkał w Zubałowie z niańkami. Ojciec uważał najwidoczniej, że wszystkie moje potrzeby są zaspokojone. Czegóż jeszcze można żądać? Twardo postanowił nie spotykać się z moim mężem.

Nigdy jednak nie żądał, żebyśmy się rozstali. Uczyniliśmy to wiosną 1947 roku, przeżywszy razem trzy lata. Rozstanie nastąpiło z przyczyn natury osobistej i z tym większym zdziwieniem usłyszałam później, że przypisywano je rzekomym naleganiom i żądaniom ojca. Przez cały ten czas widziałam go może jeszcze dwa razy.

Latem 1946 roku ojciec wyjechał na południe — po raz pierwszy od roku 1937. Podróżował samochodem.

Ogromna kawalkada aut ciągnęła ku południowi po złych jeszcze wówczas drogach. Po tej podróży właśnie zaczęto budować auto-magistrale do Symferopola. Zatrzymywano się w miastach, nocowano u sekretarzy obkomów i rajkomów. Ojciec chciał własnymi oczami zobaczyć jak żyją ludzie. Wszędzie panował powojenny chaos. Walentyna Wasiliewna, która towarzyszyła ojcu we wszystkich podróżach opowiadała mi potem jak denerwował się widząc, że ludzie mieszkają jeszcze w ziemiankach, że wokół wciąż jeszcze same ruiny... Opowiadała mi także o tym, jak przyjechali do ojca na południe niektórzy wysoko dziś postawieni towarzysze z raportem o stanie rolnictwa na Ukrainie. Towarzysze ci przywieźli ze sobą całe mnóstwo arbuźów, dyń, warzyw i owoców, a nawet złocistych snopów pszenicy — patrzcie, jaka bogata nasza Ukraina! A szofer jednego z tychże towarzyszy\* opowiadał „obśludze”, że na Ukrainie panuje głód, że na wsi niczego nie można dostać i że chłopki orzą krowami... „Jak im było nie wstyd — wykrzykuje Waleczka z płaczem. — Jak im było nie wstyd tak go oszukiwać! A teraz wszystko, wszystko walą na niego!”

Po tej podróży na południe zaczęto budować tam jeszcze szereg dacz. Nazywano je teraz „gos-daczami”. Formalnie mogli tam odpoczywać wszyscy członkowie Politbiura, ale prócz ojca, Mołotowa i Żdanowa nikt z nich nie korzystał. Zbudowano nowe dacje pod Suchumi, koło Nowego Afona, nad Wałdajem, a także cały kompleks dacz nad Ricą.

Rzecz jasna, ojciec zadowolony był z mego rozstania z pierwszym mężem, który nie budził w nim sympatii. Stał się potem dla mnie nieco serdeczniejszy, choć nie na długo. Mimo wszystko bowiem drażniłam go, nie wyrosłam na takiego człowieka, jakiego sobie wymarzyłam. Ale syna mego traktował z czułością.

---

\* Był to szofer Chruszczowa.

Latem 1947 roku, w sierpniu, zaprosił mnie na wspólny odpoczynek do Soczi, nad „Chłodną Rzeczkę”. Po raz pierwszy od wielu lat spędziliśmy razem aż trzy tygodnie. Było to przyjemne i smutne i... nieskończenie trudne...

Wciąż jeszcze nie potrafiłam przywyknąć do jego wywróconego porządku dnia. Pół dnia spał, śniadanie jadł o trzeciej po południu, a obiad — o dziesiątej wieczorem, po czym następowały długie, ciągnące się do północy pogawarki z towarzyszami.

Z trudem też przychodziły nam rozmowy — nie było o czym mówić, choć wydaje się to dziwne... Kiedy zostawaliśmy sami, w mękach szukałam tematów — o czym by tu mówić? Odnosiłam wrażenie, że stoję u podnóża wysokiej góry, a on jest na jej szczycie. Wysilałam się, krzyczę coś tam, ku górze — a do niego dolatują tylko oderwane słowa... A jego słowa też dochodzą do mnie w strzępach. Niewiele można takim sposobem powiedzieć, na nic zda się taka rozmowa. Czasem chodziliśmy razem na spacer i wtedy było łatwiej. Czytałam mu głośno gazety i czasopisma. Podobało mu się to. Zestarzał się. Chciał teraz spokoju. A przeważnie sam nie wiedział, czego chce... Wieczorami wyświetlano filmy — stare, przedwojenne obrazy, jego ulubioną „Wołga, Wołga”, filmy Chaplina.

Na obiad przyjeżdżali wszyscy. Bywali tam Beria, Malenkow, Żdanow, Bułganin i inni. Było to nużące i smutne. Siedziało się za stołem trzy lub cztery godziny i słuchało wciąż tych samych, stuletnich historii, jakby w świecie nie działo się nic nowego!\* Nie wytrzymałam i szłam spać. A pozostali siedzieli jeszcze do północy i dłużej.

Potem wróciłam do Moskwy. Na uniwersytecie zaczęły się już zajęcia. Znowu mieszkalam w naszym pus-

\* Te posiedzenia przy stole zostały dobrze opisane w książce Dżilasa „Rozmowy ze Stalinem”.

tym, kremłowskim mieszkaniu, które teraz było już zupełnie wymarłe... Wasyli mieszkał w swoim mieszkaniu w mieście. Funkcje „siostry-gospodyni” przejął po Aleksandrze Nikołajewnie kapitan bezpieczeństwa państwowego Iwan Iwanowicz Borodaczew, który z niezwykłym przejściem chronił powierzonych mu „skarbów”. Dość powiedzieć, że zapisywał tytuły książek, które brałam z ojca biblioteki w jadalni...

Syn i niania mieszkali ze mną. Niania nadal obierała mi jabłka i podstawiała talerz kiedy siedziałam nad książkami...

Jesienią przyszedł od ojca list. Dawno już nie dostawałam od niego listów... Był on dalekim echem przedwojennych lat — bardzo dalekim i zmienionym...

„Dzień dobry, Swietko!

Otrzymałem twój list. To dobrze, że nie zapominasz o ojcu. Jestem zdrowy. Żyję dobrze. Nie nudzę się. Posyłam ci prezenciki (mandarynki). Całuję.

Twój J. Stalin

11. X 1947”.

Lata 1947-49 były pełne tęsknoty i samotności. Żyłam w całkowitej izolacji. Każdy mój krok był śledzony choć M. N. Klimow dawno już przestał deptać mi po piętach. Osia mieszkał na daczycy żyjąc jak wiejski dzikus i mijały czasem tygodnie zanim udało mi się z nim zobaczyć. Chodziłam na uniwersytet, w teatrach bywałam rzadko, a bardzo często — w konserwatorium. Znajomych miałam niewiele, a poszerzenie ich kręgu było niemożliwe.

Dom Żdanowów — w którym zaczęłam często bywać po śmierci A. A. Żdanowa — wydał mi się niezwykle wesoły w porównaniu z moją smętną twierdzą. Niedzielami bywała tam młodzież — koledzy Jurija Andrejewicza z czasów szkolnych i przyjaciele z uniwersytetu.

Była to oaza w moim samotnym, półdzikim życiu. Lu-



biłam tam bywać, młodzież czuła się tam swobodnie. Ojciec mój bardzo lubił A. A. Żdanowa, szanował jego syna i zawsze marzył żeby obydwie rodziny się „spokrewniły”. Wkrótce też — wiosną 1949 roku — tak się stało. Bez specjalnej miłości, bez specjalnego przywiązania, ot tak, na zdrowy rozsądek... Zdawało mi się, że przechodząc do innego domu zapewnię sobie jakąś, minimalną choćby swobodę i uzyskam dostęp do ludzi, którego dotąd nie miałam.

Ojcu jednak marzyło się coś innego. Dowiedziałam się, że na jego dacy w Kuncewie dobudowują obszerne piętro... Pewnego dnia przyjechał do Zubałowa, pokręcił się po pokojach, a potem powiedział do mnie: „Po co masz przenosić się do Żdanowów? Baby cię tam zjedzą. Tam za dużo bab!” (Kiedy ślub już był postanowiony, chciałam jeszcze tylko skończyć uniwersytet, a potem od razu przeprowadzić się do domu Żdanowów).

Ojciec nie znosił wdowy po Żdanowie, Zinajdy Aleksandrowny i jej sióstr...

Przestraszyłam się. Za nic nie chciałam pozostać u ojca w domu i wiedziałam, że Jurij Andrejewicz też nie zgodziłby się mieszkać u nas.

A ojca — z wiekiem — coraz bardziej widać nużyła samotność. Był już wtedy tak szczelnie od wszystkich odizolowany, tak wysoko wyniesiony, że wytworzyła się wokół niego swoista próżnia. Nie miał z kim słowa zamienić...

Latem 1948 roku ojciec wysłał mnie z Oską i Gulą (córką Jaszy) na Krym. Gulę wspominał ostatnio i wypytywał o nią... Tam otrzymałam od niego list: „Przyjedź przed 10-tym, a potem pojedziemy na południe. Całuję. Twój tatko”. Chciał, żebyśmy znów, jak ubiegłego lata, pojechali razem nad „Chłodną Rzeczkę”. Ale tym razem nie mogłam się zdecydować... Chciałam spędzić sierpień w Zubałowie, z nianią i synem. Ojciec obraził się...

Dopiero później, w listopadzie 1948 roku, pojecha-

łam odwiedzić go na południu. Było słonecznie i ciepło. Morze, choć już chłodne, mile pieściło oko. Kwitły róże i można było chodzić bez palta... Ojciec był rozdrażniony. Pewnego razu, przy stole, w obecności wszystkich nazwał mnie „darmozjadem” i wymyślał mi twierdząc, że „jak dotąd” nie wyszło ze mnie jeszcze „nic sensownego”. Wszyscy milczeli strwożeni i zmieszani. Milczałam i ja, nie wiedząc co powiedzieć.

Nazajutrz niespodziewanie pierwszy przemówił do mnie i to na temat mamy. Byliśmy sami. Rocznicą jej śmierci przypadała 9 listopada, w dniu święta. Zatrzymało mu to zawsze ten dzień i ostatnimi laty spędzał listopad na południu.

Czułam się nieswojo. Nie wiedziałam jak rozmawiać z ojcem na ten temat, bałam się. Siedzieliśmy sami przy ciągnącym się przez długie godziny śniadaniu. Jak zwykle było dużo owoców i dobre wino. „Taki malutki, plugawy pistolecik!” — powiedział nagle ojciec z gniewem, pokazując przy tym palcami jak mały był pistolet. „Toż to po prostu zabawka! Pawłusza jej to przywiózł. Też, znalazł prezent!”

Ojciec szukał winnych. Chciał znaleźć przyczynę i sprawcę, na którego mógłby wreszcie zwalić z siebie przytłaczający go coraz bardziej ciężar. Najwidoczniej, z upływem lat, myśl o mamie wracała do niego coraz częściej. Raz wspominał nagle, że mama przyjaźniła się z Poliną Siemionową Żemczuziną i że ta „źle na nią wpływała”, innym znów razem przeklinał książkę, którą mama przed śmiercią czytała — modny wówczas „Zielony kapelusz”. Nie chciał myśleć o innych, poważnych przyczynach, dla których ich wspólne życie stało się dla niej trudnym do zniesienia ciężarem. Szukał bezpośredniego „powodu”, jak gdyby tu kryło się prawdziwe rozwiązanie...

Było mi ciężko na duszy. Czułam, że ojciec po raz pierwszy rozmawia ze mną jak z dorosłym, równym sobie

człowiekiem, a zarazem nieskończenie trudno byłoby mi poddać próbie prawdziwość tego wrażenia...

W tym samym miesiącu — w listopadzie 1948 roku — wracaliśmy razem do Moskwy. Podróżowaliśmy pociągiem... Siedziałam w swoim przedziale i oglądałam reprodukcje w czasopiśmie „Sztuka”, kiedy wszedł ojciec. „Co to?” — spytał zaglądając mi przez ramię. Były to rysunki i szkice Repina. „A ja nigdy tego nie widziałem...” — powiedział nagle z takim smutkiem w głosie, że ścisnęło mi się serce... wyobraziłam sobie na moment co by się stało, gdyby ojciec nagle — a raczej nie nagle, ale w specjalnie wybrany dla niego dzień — wybrał się na zwiedzanie zarezerwowanej i zamkniętej dla publiczności Tretiakowki... Boże, cóż by się tam wyrabiąło! Ileż byłoby bieganiny, zamętu, bezsensownej paplaniny. Ojciec najpewniej sam rozumiał, że stało się to dla niego niemożliwe — podobnie jak i wiele innych skromnych rozrywek dostępnych każdemu. Nie próbował po nie sięgać. A może bał się? Nie wiem. Wiem tylko, że nigdy nie bał się ludu. Nigdy. Jakże bzdurnie i obłudnie dźwięczą dziś słowa: „on nie kochał ludu”.

Na stacjach wychodziliśmy z pociągu i spacerowaliśmy po peronach. Ojciec chodził do samego parowozu pozdrawiając po drodze kolejarzy. Podróżnych nie było. Jechaliśmy specjalnym pociągiem i na perony przy których zatrzymywaliśmy się nikt nie wychodził... Było w tym coś smutnego i złowrogiego zarazem. Kto to wszystko wymyślił? Kto był autorem tych wszystkich zabiegów? Nie ojciec. Był to system, który skuł także i jego, w którym on sam dusił się od samotności, od bezludzia, od pustki.

Przyjechałam do Moskwy z ciężkim sercem. Pociąg zatrzymano gdzieś pod Moskwą, nie dojeżdżając do dworca. Znowu po to, żeby uniknąć przejazdu przez miasto, bo tam dużo ludzi. Pojechały samochody. Dwoił się i troił generał Własik — tłusty, opuchnięty od ważności i ko-

niaku. Biegali też sapiąc ciężko inni generałowie i pułkownicy z ochrony roztyci na tłustym, rządowym wikcie. Ojciec zgrzytał na ich widok zębami i nie przepuszczał okazji, żeby rzucić się na nich z ordynarnymi wyzwiskami. Ze służbą zaś nigdy w ten sposób nie rozmawiał

Ojciec pojechał do siebie, do Kuncewa, a ja — do kremłowskiego mieszkania. Przez kilka dni odpoczywałam i przychodziłam do siebie. Ciężko mi było z ojcem, traciłam przy nim ogromne ilości energii i nerwów. Byliśmy sobie bardzo dalecy. Rozumieliśmy to obydwójce. Każde z nas marzyło tylko o tym, żeby wrócić do siebie, do domu i odpocząć od drugiego. I obydwójce czuliśmy się obrażeni, a zarazem smuciliśmy się i biadali — dla-czego życie jest tak głupie... A winą za to obciążaliśmy się nawzajem...

W końcu 1948 roku nastąpiła nowa fala aresztowań. Trafiły do więzienia moje ciotki — wdowy po Pawłuszy i po Redensie. W ślad za nimi poszli wszyscy ich znajomi. Aresztowano I. G. Morozowa, ojca mego pierwszego męża, choć był to już starzec. Potem zaczęła się kampania przeciw „kosmopolitom” i znów masa ludzi znalazła się w więzieniach.

Aresztowano też Polinę Siemionowną Żemczuzinę — nie zawahano się wymierzyć ten straszny cios Mołotowowi. Aresztowano A. Łozowskiego. Zabito Michaela. Wina ich wszystkich polegała na tym, że wchodzili jakoby w skład „ośrodka syjonistycznego”.

„Twego pierwszego mężusia też podrzucili ci syjoniści” — powiedział do mnie w jakiś czas potem ojciec. „Papo — próbowałam oponować — przecież dla młodzieży to nic nie znaczy. Jaki tam syjonizm?” „Nie! Nic nie rozumiesz! — odrzekł ze złością. — Całe starsze pokolenie zarażone jest syjonizmem, a starzy uczą młodzież...” Wszelka dyskusja nie miałaby sensu.

Kiedy spytałam na czym polega wina ciołek, odpowiedział: „Dużo gadały. Zbyt dużo wiedziały i zbyt dużo

plotły. A to jest na rękę wrogom...” Był nastawiony przeciw całemu światu.

Wszędzie dostrzegał wrogów. Była to już patologia, mania prześladowcza — rezultat pustki i osamotnienia.

„Tobie też zdarzają się antyradzieckie wypowiedzi” — rzekł kiedyś do mnie złowroźnie i z całą powagą... Nie próbowałam ani oponować ani pytać skąd bierze takie informacje...

Chciałam uciec z domu — dokądkolwiek, byle prędzej. Wiosną 1949 roku skończyłam studia na uniwersytecie i wyszłam za mąż za Jurija Andrejewicza Żdanowa. Wraz z Oską przenieśliśmy się do mieszkania Żdanowów na Kremlu.

Ojciec nie był wcale daleki od prawdy: w domu Żdanowów nie było bynajmniej tak swobodnie i przyjemnie, jak mi się wydawało z zewnątrz. W naszym cichym i nieprzytulnym domu było wprawdzie trudno żyć, nie brakło tam smutku i pustki, ale nie było śladu drobno-mieszczańskiej atmosfery.

Atmosfera domu, do którego teraz trafiłam, stanowiła swoistą kombinację pokazowej, formalnej i obłudnej „partyjności” z patentowanym, „babskim” arcymieszczaństwem: kufry pełne wszelakiego „dobra” a wokół samo bezguście w postaci wazoników, serwetek i groszowych martwych natur na ścianach. W domu królowała wdowa Zinajda Aleksandrowna Żdanowa znakomicie uosabiająca ową „partyjną” obłudę połączoną z drobno-mieszczańską ciemnotą.

Nie wiem dlaczego po naszym ślubie młodzież zaczęła bywać tu coraz rzadziej. Krąg widywanych twarzy skurczył się do rozmiarów rodziny i zrobiło się straszliwie, nie do wytrzymania nudno i smutno...

Lata 1949-52 były dla mnie bardzo trudne. Nie były one zresztą łatwe dla nikogo: cały kraj dusił się, sytuacja stawała się nie do zniesienia. W domu, w którym teraz żyłam panoszył się duch ortodoksyjnej partyjności, ale nie

takiej, jaką reprezentowali dziadek, babcia, moja mama, Swanidze i inni starzy partyjnicy. Tu wszystko było na-  
dęte, powierzchowne i na pokaz.

Jurij Andrejewicz — wychowanek uniwersytetu i ulubieniec młodzieży studenckiej — cierpiał na swoim stanowisku w KC. Nie wiedział dokąd trafił... W domu bywał rzadko, wracał późno (panował wtedy zwyczaj pracowania do godziny jedenastej w nocy). Miał własne sprawy i troski i — przy swej wrodzonej oschłości — nie zwracał w ogóle uwagi na mój stan ducha. W życiu domowym całkowicie ulegał matce, którą nazywał „mądrą sową” i która skutecznie narzucała mu swoje upodobania, zwyczaje i opinie. Ja zaś, wychowana w warunkach swobody, nie miałam tam już wkrótce czym oddychać...

Poprosiłam, żeby pozwolono mojej niani zamieszkać z nami — była ona jedynym prawdziwie bliskim mi człowiekiem — i usłyszałam w odpowiedzi, że „ta niekulturalna starucha nie miałaby tu nic do roboty, psułaby tylko Osie”. I niania pozostała w Zubałowie, gdzie przydzielono jej pokój w służbowym skrzydle domu. Jeździłam do niej w odwiedziny. Piłyśmy herbatę z konfiturami, ona opowiadała mi o swojej chorobie, a potem omawiałyśmy nasze wspólne sprawy... Dwa lub trzy razy niania odwiedziła mnie w Uspienskoje, gdzie Żdanowowie mieli dachę. Przyjmowano ją tam jednak jak dozorczynię i niania szybko wyjeżdżała. Tylko Ośka rzucał się „babusi” na szyję. Nie przywykła ona do takiego traktowania. Wszędzie, przez całe życie uważano ją za członka rodziny i nawet „burżujki” czyli jej przedrewolucyjne gospodynie, były dla niej uprzejmiejsze, niż ci tutaj. Zraniono tu jej poczucie własnej godności.

Ojca nie widziałem od bardzo, bardzo dawna. Zimą 1949-1950 roku ciężko chorowałam. Oczekiwałam dziecka i tym razem, w przeciwieństwie do pierwszego, przechodziłam to niezwykle ciężko. Na wiosnę odesłano mnie

do szpitala i po upływie półtora miesiąca wróciłam wreszcie do Uspienskoje z maleńką jak kruszynka, słabiotką Katią. Byłam silnie wyczerpana chorobą, zmęczona samotnością, nieudanym drugim małżeństwem, niechęcią do domu, w którym wypadło mi żyć...

W szpitalu moją sąsiadką była Swietłana Mołotowa, którą znałam jeszcze z dzieciństwa. Również urodziła ona dziewczynkę. Po dwóch dniach przyszedł odwiedzić ją Wiaczesław Michajłowicz — jak każdy, normalny ojciec... Rozzaliło mnie to niezmiernie. Długa choroba zszargała mi nerwy do granic wytrzymałości i jeszcze tego samego wieczora napisałam do ojca list pełen urazy... Otrzymałam od niego odpowiedź — był to jego ostatni już w życiu list do mnie.

„Dzień dobry, Swietoczko,

List twój otrzymałem. Cieszę się bardzo, że tak łatwo wydobrzałaś. Nerki — rzecz poważna. A do tego jeszcze poród... Skąd ci przyszło do głowy, że ja cię zupełnie porzuciłem?! Że też takie rzeczy mogą się człowiekowi przyśnić... Radzę nie wierzyć snom. Uważaj na siebie. Uważaj na córeczkę: państwu potrzebni są ludzie, w tym również przedwcześnie urodzeni. Pocierp jeszcze trochę — już niedługo się zobaczymy. Całuję moją Swietoczkę.

Twój „tatuńcio”

10 maja 1950 roku”.

Cieszyłam się z listu. Nie miałam zbyt wielkiej nadziei, że ojciec w ogóle odpisze... Było mi jednak bardzo nieprzyjemnie myśleć, że moja maleńka Katia, która jeszcze balansowała między życiem a śmiercią — już jest „potrzebna państwu”... I, niestety, aż nazbyt dobrze rozumiałam, że nie zobaczymy się bynajmniej „już niedługo”...

Zobaczyliśmy się dopiero następnego lata — w 1951 roku. Ojciec był na odpoczynku w Gruzji, w Borzomi i wezwał mnie tam do siebie. Spędziłam wtedy z nim dwa tygodnie. Ojciec odpoczywał, sycił się słodkim powietrzem Gruzji, wiaterką wiejącą od Kury opływają

wającej Likanski Pałac, w którym zamieszkał... Miał już siedemdziesiąt dwa lata, ale wciąż jeszcze dziarsko przechadzał się po parku swoim szybkim, energicznym krokiem. A za nim — jak za pokutę — dreptali spasieni generałowie ochrony. Czasem ojciec szybko zmieniał kierunek, robił koło i niespodziewanie wpadał wprost na nich. Trzęsło go wtedy ze złości i — czepiając się najbłahszych powodów — łajał pierwszego z brzegu...

Jak zwykle w lecie, śniadania i obiady jadł gdzieś pod drzewem, w ogrodzie. Prosił, żeby mu łowiono świeże ryby z Kury, przypominał sobie gruzińskie nazwy ryb i delektował się wspomnieniami. Ojciec jednak nie lubił mówić o swoich uczuciach — „to dobre dla bab...” Wspomniał tylko, że w tym samym Likanskim Pałacu zatrzymał się kiedyś z mamą. Było to w 1922 roku, przyjechali oni do Gruzji wkrótce po przyjeździe na świat Wasyla. Ale nie wdawał się w szczegóły...

„Pałac” był starą, myśliwską daczą należącą kiedyś do jakiegoś księcia. Architektura domu była dziwaczna i w złym smaku, ale położenie — śliczne, w wąwozie, którym płynie Kura. Jeden brzeg rzeki jest skalisty i niedostępny. Na nim, na skale, widnieją ruiny starej twierdzy — widok spotykany niemal wszędzie w Gruzji. Drugi brzeg, łagodny ale również dość spadzisty, wznosił się od rzeki tworząc górską dolinę porośniętą lasem, z którego zrobiono coś w rodzaju parku. Tu właśnie stoi dom. Generałowie i komendanci kłęli na czym świat stoi, bowiem dom był niewygodny dla kolosalnej świty towarzyszącej ojcu — brakło pomieszczeń służbowych. Ale ojcu było wygodnie. Jak zwykle sam zajmował cały dom.

Tylko podróż tutaj była dla niego nieprzyjemna. Ojciec nigdy nie przepadał za widokiem tłumów bijących mu brawo i wrzeszczących „hurra”. Był w takich momentach silnie rozdrażniony. Na dworcu w Kutaisi rodacy-Gruzini zgotowali mu takie przyjęcie, że długo nie mógł wyjść z wagonu, a o przejściu do samochodu i odjeździe



nie mogło być nawet mowy... Ludzie rzucali się niemal pod koła, pchali się, krzyczeli, rzucali kwiaty, podnosili dzieci nad głowę. Ten entuzjazm był niekłamany, szczerzy, płynący z serca. Ale ojciec był rozdrażniony. Przywykł już do pustych dworców i szos na swojej drodze; odwykł od cisnących się ku niemu z okrzykami tłumów, zapomniał o istnieniu autentycznych, szczerzych uczuć...

Dlatego tylko raz próbował wyjechać z Borżomi — w kierunku Bakuriani — ale zawrócił w połowie drogi... Już w pierwszej wiosce wszyscy mieszkańcy wyszli z domów, usłali szosę dywanami i zatrzymali samochód... Trzeba było wysiąść, przyjąć zaproszenie do stołu... Dzięki Bogu obeszło się tam beze mnie — spaliłabym się ze wstydu w takiej sytuacji. Nawet tak skromne objawy „publicznego entuzjazmu” jak w Teatrze Wielkim w Moskwie, lub na bankiecie z okazji siedemdziesięciolecia urodzin ojca — niezwykle mnie zawstydzaly. A jednocześnie bałam się bardzo, że ojciec powie coś nagle, co wszystkich od razu ostudzi. Widziałam, jak trzęsło go ze złości. „Rozdziawią gęby i drą się jak bałwany!” — mawiał z rozdrażnieniem. Może domyślał się prawdziwego, lizusowskiego charakteru tego entuzjazmu? Był niezwykle wyczulony na wszelkie pochlebstwa, trudno mu było kadzić... Możliwe też, że głębia i rozmiary jego samotności nie pozwalały mu już wierzyć w szczerść ludzkich uczuć — nawet tu, w Gruzji, gdzie nie można było podejrzewać tych prostych wieśniaków o nieszczerść i lizusostwo.

Najwidoczniej Gruzja chciała pokazać, że nic sobie nie robi z moskiewskiego MGB i jego porządków, że ludzie wyrażają tu swoje uczucia tak, jak chcą. Fakt ten jednak uniemożliwił ojcu wyjazd do Tbilisi i Gori, o czym na pewno marzył. Siedział więc w Borżomi jak niewolnik własnej chwały i nie wychodził poza terytorium pałacu.

Wróciłam do Moskwy wcześniej, sama. Ojciec przyjechał dopiero późną jesienią. W drodze powrotnej z Bor-

żomi odwiedziliśmy z Wasylem Gori i tu poczułam nagle, że jestem na swojej rodzinnej ziemi. Jest to maleńka dolina nad zakrętem Kury, która opływa wzgórze z twierdzą na szczycie. Samo miasteczko leży u stóp wzgórza — pełne ogrodów, słońca, winnic, a wszystko to otoczone jest srebrną wstęgą Kury płytkiej w tym miejscu i leniwej. Cała dolina zaś leży wśród gór. Schodzą one ku dolinie głębokim wąwozem, w którym rozsiadła się wieś Ateni, gdzie robią cudowne, złociste wino. Jest tam również stara cerkiew o klasycznej, gruzińskiej architekturze i z freskami z XI wieku.

Coś chwyciło mnie za serce na widok tej cerkwi wśród winnic, tego miasteczka pełnego brzoskwiniowych i gruszkowych sadów, całej tej maleńkiej jak filiżanka doliny nakrytej kopułą błękitnego nieba tak rozświetlonego słońcem, jak nigdzie na ziemi... Niestety, podróż naszą zatruto oficjalnymi powitaniami i zwiedzaniem „muzeum Stalina” oraz jego domku. Domek ten — zwykła chałupka, w której mieszkała rodzina szewca — nakryty został, z inicjatywy Berii, marmurowym pawilonem przypominającym niewielką stację metra. Pod tym marmurowym baldachimem z trudem tylko dostrzec można małą chatkę, która stałaby sobie przecież i mówiła sama za siebie bez marmurów... Każdy sprzęt demonstrowano nam jak relikwię, z pełnym pobożności przejęciem. Budziło to tylko męczące uczucie wstydu i chęć ucieczki.

Tej jesieni, w Gruzji, myślałam o mojej babci Jekaterinie. Pochowana ona jest tuż obok Gribojedowa, na Dawidowej Górze w Tbilisi, obok cerkwi św. Dawida. Miejsce to pozostało nie naruszone, nie zwulgaryzowane. Jest tam cicho i pięknie.

Przypomniałam sobie 1934 rok, kiedy posłano mnie wraz z Jaszą i Wasylem do Tbilisi, w odwiedzinach do babci. Była wówczas chora...

Możliwe, że inicjatorem tej podróży był Beria, bo-

wiem zatrzymaliśmy się w jego domu. Spędziliśmy wtedy w Tbilisi około tygodnia, z tego u babci — pół godziny... Mieszkała w starym, pięknym pałacu z parkiem, ale zajmowała mały, ciemny i niski pokój, którego okna wychodziły na podwórze. W kącie pokoju stało żelazne łóżko przysłonięte parawanem. W całym mieszkaniu tłoczyły się staruszki. Wszystkie ubrane były na czarno, gruzińskim obyczajem. Na łóżku siedziała stara kobieta. Podprowadzono nas do niej, a ona gwałtownym gestem objęła nas swymi chudymi, żyłastymi ramionami, całowała nas i coś mówiła po gruzińsku... Rozumiał i odpowiadał jej tylko Jasza, zaś my z Wasylem staliśmy w milczeniu.

Zauważyłam od razu jej oczy — takie jasne — w bladej, obsypanej piegami twarzy. Również ręce jej były całe w piegach. Na głowie miała zawiązaną chustkę, ale wiedziałam z opowiadań ojca, że jest ruda, co w Gruzji uchodzi za piękne. Wszystkie znajdujące się w pokoju staruchy — babci przyjaciółki, całowały nas po kolei i mówiły, że jestem bardzo do niej podobna. Babcia zaś częstowała nas karmelkami na talerzyku, a po jej twarzy płynęły łzy. Wszelki bliższy kontakt był niemożliwy — mówiliśmy różnymi językami. Była też z nami żona Berii, Nina. Siedziała przy babci i rozmawiała z nią o czymś. Widać było, że obie te kobiety głęboko sobą nazwzajem gardzą...

Do pokoju nalazło tymczasem mnóstwo ciekawskich, zrobił się tłok. Pachniało jakimiś ziółkami, których pęczki leżały na parapetach. Wyszliśmy wkrótce i już nie byliśmy więcej w „pałacu”. Wciąż dziwiłam się dlaczego babcia żyje w takiej biedzie. Pierwszy raz w życiu widziałam takie straszne, czarne, żelazne łóżko.

Babcia miała swoje zasady. Były to zasady wierzącego, religijnego człowieka, który miał za sobą twarde, trudne, ale uczciwe i pełne godności życie. Jej twardość,

upór, srogość wobec siebie samej, purytańska moralność i surowy, męski charakter — wszystko to przeszło na ojca.

Stoję teraz u jej mogiły, wspominam jej życie... Czyż można nie myśleć o Bogu, w którego tak mocno wierzyła?

Teraz, w naszych dzisiejszych czasach, zdarza mi się czytać i słyszeć, że ojciec mój uważał się niemalże za boga. Wydaje mi się bardzo dziwne, że mogą to twierdzić ludzie, którzy go blisko znali... Ojciec nie odznaczał się co prawda szczególnym demokratyzmem, ale za boga się nie uważał...

Pod koniec swego życia był zupełnie samotny. Wyjazd na południe w 1951 roku był już ostatnią jego podróżą. Nie wyjeżdżał więcej z Moskwy i prawie cały swój czas spędzał w Kuncewie, które nieustannie przebudowywano. W ostatnie lata obok dużego domu zbudowano mały, drewniany. Powietrze było tam lepsze i ojciec często przenościł się tam, do pokoju z kominkiem, na szereg dni. Luksusów żadnych tam nie było, tylko drewniane boazerie na ścianach i dywan na podłodze miały dużą wartość.

Ojciec otrzymywał z całego świata prezenty i upominki. Poleciał je zebrać i przekazać do muzeum. Nie było to — jak wielu dziś twierdzi — obłudą ani pozą. Po prostu ojciec nie wiedział, co począć z całym tym mnóstwem drogich, a nawet drogocennych rzeczy — obrazów, porcelany, mebli, broni, sprzętów, odzieży i wyrobów ludowych. Nie wiedział po co mu to wszystko...

Rzadko tylko dawał coś z tych rzeczy mnie — jakiś

ludowy kostium rumuński lub bułgarski. Uważał on, że korzystanie z tych prezentów w codziennym życiu byłoby niedopuszczalne. W jego rozumieniu rzeczy te symbolizowały uczucia ludzi, którzy je przysyłali i dlatego był zdania, że należy je traktować jako symbole. W 1950 roku otwarto w Moskwie „Muzeum prezentów” i często zdarzało mi się (jeszcze za życia ojca, a także po śmierci) usłyszeć od znajomych dam takie uwagi: „Ach, tam był taki cudny garnitur! A jaka radiola! Czyż naprawdę nie mogli wam tego oddać?” Nie, nie mogli!

Po powrocie z Gruzji widziałam ojca już tylko dwa razy. Mówiłam już o tym, jak jesienią 1952 roku pojechałam do niego na dachę z moimi dziećmi.

Potem byłam u niego jeszcze 21 grudnia 1952 roku, w dniu jego siedemdziesiątych trzecich urodzin. Była to nasza ostatnia rozmowa.

Źle tego dnia wyglądał\*. Odczuwał już widocznie oznaki choroby — może hipertonii — bo nagle rzucił palenie. Był z tego bardzo dumny. Palił przez co najmniej pięćdziesiąt lat. Rosnące ciśnienie dawało mu się już we znaki, ale lekarzy nie było. Winogradow siedział w więzieniu, a poza nim ojciec nikogo do siebie nie dopuszczał. Przyjmował jakieś pigułki, odliczał do szklanki krople jodu — sam kombinował skądś te felczerskie recepty. Zarazem jednak czynił rzecz niedopuszczalną: przez dwa miesiące, do przedednia ataku, chodził do łaźni (zbudowanej na dachy, w oddzielnym budyńeczku) i — swoim syberyjskim zwyczajem — przesiadywał tam w gorącej parze. Żaden lekarz nie pozwoliłby na to, ale lekarzy nie było...

„Afera lekarzy” miała miejsce podczas ostatniej zimy jego życia. Walentyna Wasiliewna opowiadała mi póź-

\* Najpewniej w związku z chorobą, dwukrotnie po XIX Zjeździe (październik 1952) oświadczył w KC, że pragnie wycofać się z życia politycznego. Fakt ten jest dobrze znany tym członkom KC, którzy uczestniczyli w XIX Zjeździe.

niej, że był on bardzo rozgoryczony biegiem wydarzeń. Słyszała jak mówiono o „aferze” przy stole, podczas obiadu. Ojciec mówił, że nie wierzy w „nieuczciwość” lekarzy, że to niemożliwe. Ale donosy doktora Timaszuka służyły jako „dowód”. Wszyscy obecni, jak zwykle w takich przypadkach, — milczeli...

Walentyna Wasiliewna jest bardzo stronicza. Nie chce, aby padał na ojca jakikolwiek cień. Ale mimo wszystko warto było posłuchać jej opowiadań i wyłuskiwać z nich okruchy prawdy. Wszak spędziła w domu ojca ostatnie osiemnaście lat jego życia, a ja bywałam u niego rzadko.

Wielu miało mi to za złe. Mówiono mi: „Dlaczego nie wybierzesz się do ojca? Zadzwoń, zapytaj, jeśli nie można teraz — zadzwoń jeszcze raz, później. Kiedyś przecież znajdzie trochę czasu”.

Być może, były to uwagi słuszne. Być może, grzeszyłam nadmierną wrażliwością. Ale kiedy ojciec odpowiadał mi złym, rozdrażnionym głosem „jestem zajęty” i odrzucał słuchawkę — to przez całe miesiące potem nie potrafiłam zebrać się w sobie i zadzwonić znowu.

I oto jestem u niego ostatni raz, choć nie wiem, oczywiście, że to już ostatni... Jak zwykle wszyscy siedzą przy stole, wokół te same twarze\*, zwykle rozmowy. stare koncepty i dowcipy sprzed wielu lat. Dziwne — ojciec nie pali. Dziwne — twarz ma czerwoną choć zawsze był błydy (najwidoczniej ciśnienie krwi było już bardzo wysokie). Ale — tak jak zawsze — małąkami łyżkami sączy gruzińskie wino — słabe, lekkie, aromatyczne.

W pokoju wszystko dziwne — owe idiotyczne portre-

---

\* W ostatnim okresie życia ojca przeważnie bywali tam: Beria, Malenkov, Bułganin i Mikołaj. Czasem pojawiał się Chruszczow. Począwszy od 1949 roku, kiedy to aresztowano jego żonę, Mołotow był właściwie odsunięty od spraw rządowych. Nie wezwano go nawet do ojca podczas choroby. Trzeba zresztą dodać, że w tym samym okresie nawet najbliższe ojcu do niedawna osoby znalazły się w opałach. Nieodstępny Własik znalazł się w więzieniu zimą 1952 roku. Jednocześnie też usunięto jego osobistego sekretarza Poskrebyszewa, który służył ojcu przez 20 niemal lat.

ty pisarzy na ścianach, owi „Zaporożcy”, owe fotografie dzieci wycięte z czasopism... A właściwie — cóż w tym dziwnego? Ot, zachciało się człowiekowi powiesić coś na ścianach, żeby nie świeciły nagością. Ale ojcu nie powstało nawet w głowie, żeby sięgnąć po jeden z tysiąca obrazów, jakie otrzymał w prezencie. Prawda, w kącie wisi chińska wyszywanka — ogromny jaskrawy tygrys. Wisi tam ona jednak jeszcze od przedwojennych czasów, ojciec już do niej przywykł.

Przy stole nie działo się nic nowego, rozmowa przebiegała jak zwykle. Tak jakby świat wokół nie istniał. Jakby wszyscy ci siedzący tu ludzie nie otrzymali jeszcze tego samego ranka nowych, ciekawych wiadomości z najrozmaitszych zakątków świata. Przecież dysponowali taką informacją, jak chyba nikt inny. A może i nie dysponowali...?

Kiedy wychodziłam, ojciec odwołał mnie na bok i dał mi pieniądze. Zaczął to robić ostatnimi laty, po reformie 1947 roku, która zniosła przywilej bezpłatnego utrzymania rodzin członków Politbiura. Do tego czasu żyłam w ogóle bez pieniędzy — nie licząc mego stypendium z uniwersytetu — i pożyczalam wciąż od swoich „bogactych” niań, które otrzymywały nie najgorsze pensje.

Po 1947 roku, ojciec pytał mnie czasem podczas naszych rzadkich spotkań: „Potrzebne ci pieniądze?” Zawsze odpowiadałam na to, że „nie”. „Kłamiesz” — mówił ojciec — „ile ci potrzeba?” Nie wiedziałam co powiedzieć. A on nie znał zupełnie wartości ówczesnych pieniędzy, nie miał pojęcia ile co kosztuje. Nadal trwał przy swoich przedrewolucyjnych wyobrazeniach i był przekonany, że 100 rubli — to kolosalna suma. I kiedy dawał mi dwa lub trzy tysiące rubli — nie wiadomo czy na miesiąc, na pół roku, czy na dwa tygodnie — to myślał, że daje milion...

Swoje miesięczne wypłaty trzymał w pakietach na stole. Nie wiem, czy miał książeczkę oszczędnościową,



najpewniej nie. Sam pieniędzy nie wydawał. Nie miał gdzie ani na co wydawać. Wszystkie jego dacje, domy, cała służba, odzież i wyżywienie opłacane były przez państwo. Gdzieś, w ramach systemu MGB, istniał w tym celu specjalny urząd, który prowadził własną buchalterię. Nie wiadomo ile wydawano... Nawet ojciec tego nie wiedział. Czasem rzucał się z awanturą na swoich komentantów i generałów z ochrony, na Własika: „Darmozjady! Bogacie się tutaj, ja wiem ile pieniędzy przecieka tu przez sito!” Ale *nie wiedział* nic, tylko intuicyjnie wyczuwał, że ulatniają się gdzieś ogromne środki... Próbował rewidować wydatki na całe swoje gospodarstwo, ale nic z tego nie wychodziło. Podsuwano mu jakieś fikcyjne liczby, ojciec się wściekał, ale nigdy nie mógł dowiedzieć się prawdy. Przy całej swojej wszechwładzy był bezsilny wobec straszliwego systemu, który urósł wokół niego do przerażających rozmiarów — nie tylko nie był w stanie go przełamać, ale nawet kontrolować... Generał Własik dysponował w jego imieniu milionami, wydawał na budownictwo, na przejazdy wielkich, specjalnych pociągów, a ojciec nie umiał nawet odpowiedzieć ile na co wydano i komu zapłacono...

Rozumiał on jednak, że mimo wszystko mogę potrzebować pieniędzy. Ja natomiast studiowałam już jako aspirant na Akademii Nauk Społecznych, gdzie stypendia były wysokie i byt mój był stosunkowo zabezpieczony. Ojciec dawał mi z rzadka pieniądze i powiadał: „A to daj córeczce Jaszy”...

Owej zimy wiele dla mnie zrobił. Rozwiodłam się wówczas z moim drugim mężem i opuściłam rodzinę Zdanowów. Ojciec pozwolił mi mieszkać w mieście, a nie na Kremlu i przyznano mi mieszkanie, w którym żyję z dziećmi po dziś dzień. Ojciec wyciągnął stąd swoje wnioski: chcesz żyć samodzielnie? Dobrze. Ale nie będziesz w takim razie korzystała z państwowego samochodu i państwowej dacy. „Masz tu pieniądze, kup sobie

maszynę i prowadź sama. A przedtem pokażesz mi swoje prawo jazdy” — powiedział. W pełni mi to odpowiadało. Miałam wreszcie jakąś swobodę i możliwość normalnego obcowania z ludźmi, co byłoby niemożliwe, gdybym znów zamieszkała na Kremlu, w naszym starym mieszkaniu.

Ojciec nie gniewał się kiedy mu powiedziałam, że odchodzę od Żdanowów. „Rób jak chcesz” — odrzekł. Ale był niezadowolony z mego rozwodu, nie było to dla niego przyjemne.

A potem spytał z rozdrażnieniem: „Żyjesz jak darmo-żjad? Na wszystkim gotowym?” Uspokoił się nieco dopiero kiedy usłyszał, że płacę w stołówce za swoje obiady. Był zadowolony gdy przeniosłam się do miasta, do swojego mieszkania: „dość było tego darmowego życia”... Nikt chyba z takim jak on uporem nie starał się wbić swoim dzieciom do głowy, że należy żyć z własnych środków. „Dacze, państwowe mieszkania, samochody — wszystko to nie twoje i nie uważaj tego za swoje” — powtarzał często...

Także i teraz, podczas ostatniej wizyty, wręczył mi pakiet pieniędzy i polecił: „A to daj córeczce Jaszy”.

Odjechałam. Chciałam przyjechać jeszcze raz, w niedzielę 1 marca, ale nie mogłam się dodzwonić. Było to skomplikowane — najpierw trzeba było połączyć się z „odpowiedzialnym dyżurnym” ochrony, który odpowiadał „jest ruch” albo „na razie ruchu nie ma”. To drugie oznaczało, że ojciec śpi albo czyta w swoim pokoju i nie porusza się po domu. Jeśli „nie było ruchu”, to nie można było do ojca dzwonić. A sypiał on w ciągu dnia o najróżniejszych porach. Cały porządek codziennych czynności stał tu na głowie.

A rankiem 2 marca 1953 roku wywołano mnie z zajęć na Akademii i kazano jechać do Kuncewa... Już to wszystko opisałam. Od tego zaczęłam.

Ale to nie koniec. Nie chcę na tym zakończyć moich listów.

Mego brata Wasyla również wezwano do Kuncewa 2 marca 1953 roku. Również on siedział szereg godzin w tej wielkiej sali wypełnionej ludźmi. Był jednak — jak zwykle w ostatnich czasach — pijany i wkrótce wyszedł. Pił jeszcze w domu służby, hałasował, kłął lekarzy, krzyczał, że „ojca zabili”, że „zabijają”. A potem pojechał do siebie.

Był wtedy słuchaczem Akademii Sztabu Generalnego, do czego zmusił go ojciec oburzony jego nieuctwem. Ale Wasyli nie uczył się. Już nie mógł. Był chorym człowiekiem, alkoholikiem.

Los jego był tragiczny. Stał się on „produktem”, a zarazem ofiarą tego samego środowiska, systemu, tej samej maszyny, która zrodziła, umacniała i wbijała ludziom do głów *kult jednostki*, dzięki któremu tylko mógł Wasyli zrobić swoją błyskawiczną karierę. Rozpoczął wojnę jako dwudziestoletni kapitan, a zakończył jako dwudziestoczworoletni generał-porucznik...

Ciągnięto go za uszy do góry nie licząc się ani z jego siłami, ani zdolnościami, ani wadami. Myślano tylko o tym, żeby ojciec „był zadowolony”. W 1947 roku Wasyl powrócił do Moskwy z Niemiec wschodnich i został mianowany dowódcą sił lotniczych Moskiewskiego

Okręgu Wojskowego. Nie zważano przy tym na to, że sam on już nie mógł latać bo był alkoholikiem. Wtedy nikt się z takimi rzeczami nie liczył. Ojciec dostrzegając stan Wasyła, łątał go niemiłosiernie, poniżał i wymyślał mu przy wszystkich, jak małemu chłopcu, ale to nie pomagało. Z chorobą trzeba było walczyć innymi środkami. Ale tego Wasyli nie chciał i nikt nie ośmielił się zaproponować mu leczenia... Jedyntym autorytetem był dla niego ojciec, innych ludzi uważał za niegodnych jakiegokolwiek uwagi. Kręcili się przy nim jacyś niewyraźni osobnicy — piłkarze, masażyści, trenerzy i „bossowie” sportowi, którzy naciągali go na rozmaite afery, machinacje z drużynami piłkarskimi i hokejowymi, budowę na państwowy rachunek jakichś urządzeń sportowych, basenów i pałaców kultury i sportu... On zaś nie liczył się z kosztami. Oddano mu w okręgu do dyspozycji ogromne sumy, a on nie znał wartości pieniądza...

Mieszkał na swojej wielkiej, rządowej dacy, na której zafundował sobie kolosalne gospodarstwo z psiarnią i stajniami... Wszystko mu dawano, na wszystko pozwalano. Własik starał się mu dogodzić, żeby — w sposobnej chwili — Wasyli pochwalił go przed ojcem. A Wasyli robił co chciał wykorzystując swoją pozycję. Usuwał z drogi niemiłych sobie ludzi, tego i owego wsadził do więzienia. Darzyły go też protekcją osobistość\* znacznie ważniejsze, niż Własik. Obracali nim jak kukłą, dawali mu ordery, naszywki, samochody, konie — psuli go i deprawowali, *dopóki był potrzebny*. A kiedy po śmierci ojca przestał być potrzebny, odepchnęli go i zapomnieli o nim...

Z dowództwa okręgu moskiewskiego usunął go jeszcze sam ojciec, latem 1952 roku. 1 maja 1952 roku dowództwo zabroniło przelotu samolotów wojskowych nad Placem Czerwonym ze względu na chmurną i wietrzną po-

---

\* Beria, Abakumow, Bułganin.

godę. Wasyli jednak postanowił wydać własne rozkazy i samoloty poleciały. Przelot odbył się źle, w rozsypce, maszyny zawadzały niemal o iglicę Muzeum historycznego... A przy lądowaniu szereg samolotów rozbiło się... Było to niesłychane pogwałcenie rozkazu dowództwa i następstwa były tragiczne. Ojciec sam podpisał rozkaz o usunięciu Wasyli ze stanowiska dowódcy lotnictwa okręgu moskiewskiego.

Cóż począć z generał-porucznikiem? Ojciec chciał, żeby ukończył on podobnie jak Artiom Siergiejew (jego stary towarzysz lat dziecińczych, z którym dawno się już poróżnił) Akademię Sztabu Generalnego. „Mam siedemdziesiąt lat — mówił mu — a wciąż jeszcze się uczę”. I pokazywał książki, które czytał — historię, sztukę wojenną, literaturę piękną... Wasyli zgodził się, zapisał na Akademię i... nie był tam ani razu. *Nie mógł*. Trzeba go było szybko wziąć do szpitala i leczyć — leczyć z alkoholizmu, póki nie było jeszcze za późno. Ale on sam nie chciał, a któż będzie przemocą leczył generała? I to jeszcze takiego generała?

Siedział więc na swojej dacy i pił. Nie musiał pić dużo. Wypijał łyk wódki, walił się na kanapę i zasypiał. W takim to stanie znajdował się bez przerwy. Śmierć ojca wstrząsnęła nim. Ogarnęła go trwoga — był przekonany, że ojca „otruli”, „zamordowali”. Czuł, że wali się świat, bez którego nie potrafi żyć.

W dniach uroczystości żałobnych doprowadził się do strasznego stanu i zachowywał się potwornie. Rzucił się na wszystkich z wymówkami, oskarżał rząd, lekarzy, kogo się dało — że źle leczyli, że nie dość ochraniaли... Zatracił poczucie rzeczywistości, świadomość swego miejsca. Uważał się za księcia-następcę tronu.

Wezwano go do ministra obrony\* i zaproponowano mu, żeby się uciszył i żył spokojnie. Zaproponowano sta-

\* Był nim wówczas Bułganin.

nowisko — dowództwo jednego z okręgów i wyjazd z Moskwy. Ale on z miejsca odmówił. Tylko chciał Moskwy, tylko dowództwa sił lotniczych okręgu moskiewskiego — nic mniej! Wówczas wydano mu po prostu rozkaz: jechać tam i tam, pracować. Odmówił. Jak to — spytano go — nie chcecie wykonać rozkazu ministra? Cóż wy, uważacie, że nie jesteście w armii? — A tak, tak właśnie uważam — odpowiedział Wasyli. — No to zdejmujcie insygnia — powiedział ze złością minister. I tak Wasyli opuścił wojsko. Teraz siedział już tylko w domu i pił — generał w odstawce.

Wypędził swoją trzecią żonę, a druga, którą z powrotem ściągnął do domu, odeszła teraz sama. Był niemożliwy w pożyciu. I został sam, bez pracy, bez przyjaciół — nikomu niepotrzebny alkoholik...

Wtedy zupełnie już stracił głowę. Kwiecień 1953 roku spędził w restauracjach, pił z kim popadło, nie pamiętał co do kogo mówił. Wymyślał na wszystkich i na wszystko. Uprzedzano go, że może się to źle skończyć, ale on pluł na wszystkich i na wszystko. Zapomniał, że czasy już nie te, a on — nie ta figura... 28 kwietnia 1953 roku — po pijaństwie z jakimiś cudzoziemcami — został aresztowany.

Zaczął się śledztwo. Wyszły na jaw afery, straty i nadużywanie ponad wszelką miarę stanowiska służbowego i władzy. Wyszły na jaw przypadki rękoczynów podczas pełnienia obowiązków służbowych. Ujawniły się intrygi sięgające bardzo wysokiego szczebla, w rezultacie których ludzie szli do więzienia i ginęli...

Zwrócono wolność generałowi lotnictwa A. A. Nowikowowi, który poszedł do więzienia z winy Wasyla... Teraz wszyscy zwrócili się przeciw niemu. Nikt już go nie bronił, a każdy dolewał jeszcze oliwy do ognia... „Świadczyli” przeciw niemu wszyscy — od jego własnych adiutantów, poprzez szefów sztabu — do samego ministra obrony i generałów, z którymi nie żył w zgo-

dzie... Nagromadziło się tyle zarzutów, że starczyłoby na dziesięciu oskarżonych...

Sąd wojskowy skazał go na osiem lat więzienia. Nie mógł uwierzyć. Pisał do rządu listy pełne rozpacz, przyznawał się do wszystkich zarzucanych mu przestępstw i nawet groził. Zapominał, że był już nikim i niczym...

Zlitowano się nad nim. Kiedy zimą 1954-55 roku zachorował — przeniesiono go do więziennego szpitala. Stamtąd miał być przeniesiony do normalnego szpitala, potem — do sanatorium „Barwicha”, a potem — do domu, na dachę. Mówił mi o tym N. S. Chruszczow, który wezwał mnie do siebie w grudniu 1954 roku. Szukał sposobów przywrócenia Wasyla do normalnego życia.

Wypadki jednak potoczyły się inaczej. W szpitalu zaczęli Wasyla odwiedzać starzy koledzy — sportowcy, piłkarze i trenerzy, przyjechali jacyś Gruzini i przywieźli ze sobą butelki. I Wasyli znów się wykoleił. Zapomniał o obietnicach, znów hałasował, groził, żądał niemożliwego... W rezultacie nie trafił ze szpitala do domu, a do wladimirskiego więzienia. Wyrok sądu wojskowego utrzymano w mocy.

Pojechałam do Władimira odwiedzić go. Towarzyszyła mi jego trzecia żona Kapitolina Wasiliewna, która z całego serca starała się mu pomóc.

Nigdy nie zapomnę męki, jaką było to spotkanie. Rozmawialiśmy w gabinecie naczelnika więzienia. Na ścianie wisiał ogromny portret ojca — jeszcze z dawniejszych czasów. Pod portretem, za swoim biurowym stołem siedział naczelnik, a my siedzieliśmy naprzeciw niego, na kanapie. Rozmawialiśmy, a on od czasu do czasu rzucał na nas ukradkiem spojrzenia. Coś się widocznie ruszyło w jego ciężkim mózgu i próbował uświadomić sobie w pełni co tu się właściwie dzieje...

Naczelnik był niziutki, białowłosy i białorzęsy, nosił zdeptane i połatane walonki. W jego ciemnym, smętnym gabinecie siedziały oto dwie stołeczne damy w drogich

futrach i Wasyli... Naczelnik męczył się, na jego twarzy rysował się ciężki wysiłek umysłowy...

Wasyli żądał, żebyśmy z Kapitoliną chodziły, dzwoniły i mówiły o nim gdzie się da i żeby go za wszelką cenę stąd wydostać. Był w rozpacz i nie ukrywał tego. Miotał się i szukał — kogo by tu prosić? Do kogo napisać? Pisał listy do wszystkich członków rządu, wspominał wspólne spotkania, obiecywał, zapewniał, że już wszystko rozumie i że będzie inny...

Kapitolina — mężna, silna duchem kobieta — mówiła mu: nie pisz do nikogo, pocierp jeszcze trochę, już niedużo zostało, zachowuj się godnie. A on naskakiwał na nią: „Ja ciebie proszę o pomoc, a ty mi radzisz milczeć!”

Potem rozmawiał ze mną, wymieniał nazwiska osób, do których — jego zdaniem — można było zwrócić się o pomoc. „Przecież sam możesz pisać do kogo zechcesz” — mówiła mu. „Przecież twoje własne słowo ma znacznie większą wagę, niż to, co ja mogłabym powiedzieć”.

Po tych odwiedzinach Wasyli przysłał mi jeszcze kilka listów z prośbą, żebym pisała, prosiła, przekonywała w jego imieniu... Przyszło mu nawet do głowy, żeby związać się z Chińczykami. „Oni mi pomogą” — mówił, nie bez pewnych podstaw... My z Kapitoliną, rzecz jasna, nigdzie nie chodziłyśmy i do nikogo nie pisałyśmy... Wiedziałam, że Chruszczow sam pragnie Wasylowi pomóc.

We Władimirze Wasyli pozostał do stycznia 1960 roku. Wówczas to znów wezwał mnie Chruszczow. Istniał plan — nie wiem kto był jego autorem — żeby zaproponować Wasylowi pracę i mieszkanie gdzieś poza Moskwą, gdzie założyłby sobie rodzinę zmieniając nazwisko na mniej głośnie. Powiedziałam, że — moim zdaniem — nie zgodzi się na to. Wciąż usiłowałam tłumaczyć, że jego alkoholizm jest chorobą, że nie może on odpowiadać za swoje czyny i słowa, tak jak każdy inny człowiek. Ale to nie przekonywało. Wkrótce potem N. S. Chruszczow



wezwał do siebie Wasyla i rozmawiał z nim ponad godzinę. Od dnia jego aresztowania minęło niemal siedem lat... Wasyli opowiadał później, że Chruszczow przyjął go jak „rodzony ojciec”. Całowali się i obydwoj płakali.

Wszystko skończyło się dobrze: Wasyli pozostał w Moskwie. Dano mu mieszkanie na Nadbrzeżu Frunzego i dachę w Żukowce — niedaleko od mojej. Zwrócono mu wszystkie odznaczenia bojowe, przywrócono stopień i pensję generała, przyznano samochód i oddano legitymację partyjną zaliczając cały staż członkowski. Proszono go tylko o jedno: żeby znalazł sobie jakieś zajęcie i żył cicho i spokojnie nie psując krwi innym i sobie samemu. Proszono go też, żeby nie jeździł do Gruzji, choć domagał się tego już na początku rozmowy...

Styczeń, luty i marzec spędził w Moskwie i wkrótce znów poczuł się tak ważny, jak przedtem. Natychmiast pojawili się wokół niego jacyś ludzie z Gruzji. Ciągnęli go do „Aragwi”, pili z nim, schlebiali mu, kurzyli w oczy kadzidlany dymem... Znów poczuł się „księciem-następcą”... Wabili go do Gruzji: tam dopiero czeka go życie! Cóż on tu ma? To ma być mieszkanie? To mają być meble? Wstyd i hańba dawać mu — jemu! — takie meble! A tam zbudują mu dachę pod Suchumi, tam będzie żył jak zechce... Znalazła się też niemłoda już Gruzinka, która proponowała mu małżeństwo i wspólny wyjazd do Suchumi

Dzieci Wasyla — a raczej nie dzieci już, a młody kawaler i panna — błagali go, żeby wypędził precz tych wszystkich Gruzinów, uprzedzali, że znów źle się to skończy. A on odpowiadał, że sam wie co robi i że oni nie będą go uczyć. Znowu pił, nie mógł się powstrzymać, a przyjaciele — zwłaszcza Gruzini — poili go bez litości...

Wreszcie, w kwietniu, pojechał „leczyć się” do Kisłowodzka. Pojechała z nim jego córka Nadia i pisała stamtąd, że Wasyli zachowuje się hałaśliwie, że znów urząda

huczne popijawy, wszystkim grozi i wszystkich poucza i że cały Kisłowodsk zbiega się, żeby na niego popatrzeć. Z Gruzji przyjechali do niego znowu własnymi samochodami jacyś aferzyści, namawiali go, żeby jechał z nimi. Nie pojechał wprawdzie, ale za to znikł na pięć dni. Okazało się potem, że spędził ten czas w domku jakiejś dróżniczki...

Po powrocie do Moskwy nie pozostał długo w domu. W końcu kwietnia dowiedzieliśmy się, że „kontynuuje odbywanie wyroku” — tych samych ośmiu lat, które tak litościwie mu zawieszono, żeby mógł zacząć nowe życie... A teraz „poproszono” go, żeby odsiedział wyrok do końca, bo na wolności nie potrafił właściwie się zachowywać.

Nie odsiedział jednak całego wyroku. Wiosną 1961 roku wypuszczono go z lefortowskiego więzienia ze względu na stan zdrowia. Miał chorą wątrobę i wrzód żołądka, a przy tym organizm jego był krańcowo wycieńczony. Całe życie nic prawie nie jadł, a tylko zalewał żołądek wódką...

Wypuszczono go zatem ponownie, ale tym razem na surowszych już warunkach... Pozwolono mu mieszkać gdzie chce, ale nie w Moskwie (i nie w Gruzji...). Wybrał czemuś Kazań i pojechał tam z prostą kobietą, siostrą szpitalną, Maszą, która opiekowała się nim podczas choroby...

W Kazaniu przyznano mu jednopokojowe mieszkanie i rentę generała w stanie spoczynku. Był to już jednak człowiek złamany duchowo i fizycznie. 19 marca 1962 roku zmarł nie odzyskawszy przytomności po pojaństwie z jakimiś Gruzinami. Sekcja wykazała całkowite wyniszczenie organizmu na skutek nadużywania alkoholu. Wasyli miał dopiero czterdzieści jeden lat.

Jego syn i córka (z pierwszego małżeństwa) pojechali na pogrzeb. Towarzyszyła im jego trzecia żona Kapitolina — jedyny prawdziwy przyjaciel, jakiego posiadał.

W pogrzebie uczestniczył prawie cały Kazań... Ze zdziwieniem patrzono na dzieci i Kapitolinę. Siostra szpitalna Masza zdążyła bowiem bezprawnie zarejestrować ich związek i przekonać wszystkich, że to ona przez całe życie była jego „wierną towarzyszką”. Ledwie dopuściła dzieci do trumny...

Na kazańskim cmentarzu znajduje się dziś grób generała W. J. Dżugaszwili z pretensjonalnym napisem autorstwa Maszy: „Jedynemu”.

Zmęczyły cię już pewnie, przyjacielu mój, te nieustanne zgony, o których ci opowiadam... Czy był w moim otoczeniu choć jeden szczęśliwy los? Wokół ojca zarysował się jak gdyby jakiś czarny krąg i każdy, kto przekraczał jego granice — ginął, ulegał zniszczeniu, znikał z powierzchni życia...

A oto dziesięć lat już mija odkąd jego zabrakło. Wróciły z więzienia moje ciotki — Jewgienia Aleksandrowna Allilujewa, wdowa po wuju Pawłuszcy i siostra mamy Anna Siergiejewna Allilujewa, wdowa po Redensie. Powrócił z kazachstańskiej zsyłki syn Swanidze — mój rówieśnik. Powróciło wielu — tysiące i dziesiątki tysięcy ludzi, którzy ocaleli, pozostali wśród żywych. Powroty te — to wielki, historyczny moment. Trudno wyobrazić sobie rozmiary owego powrotu ludzi do życia w skali ogólnonarodowej...

I moje osobiste życie też — w znacznym stopniu — teraz dopiero stało się normalne. Czyż mogłabym przedtem żyć tak swobodnie, poruszać się bez czyjegokolwiek pozwolenia i spotykać się z kim zechcę? Czyż moje dzieci mogłyby rosnać tak swobodnie i bez żadnego dokuczliwego nadzoru, jak teraz? Wszyscy odetchnęli swobodniej. Usunięto ciężką, kamienną płytę, która uciskała wszyst-

kich. Ale, niestety, zbyt wiele jeszcze pozostało po starym, zbyt nieruchoma i konserwatywna jest Rosja, zbyt silne są jej odwieczne przyzwyczajenia.

Jednak niezmiennie dobro Rosji przeważa nad złem i pewnie dzięki owemu wiecznemu dobru istnieje ona nadal, zachowuje swoje oblicze...

Przez całe moje życie była blisko obok mnie niania moja, Aleksandra Andrejewna. Być może dawno już postradałabym rozum, gdyby nie ten wielki, dobry piec, który zagrzewał mnie swoim niezmiennym, trwałym ciepłem. Śmierć niani — „babusi”, jak nazywały ją moje dzieci — była dla mnie pierwszą stratą prawdziwie bliskiego, kochanego i kochającego mnie człowieka.

Zmarła ona w 1956 roku doczekawszy się powrotu z więzienia moich ciotek i przeżywszy mego ojca, dziadka i babcię. Należała do naszej rodziny bardziej niż ktokolwiek inny. Na rok przed śmiercią urządzono dla niej siedemdziesiąte urodziny. Było to dobre, wesołe święto, które zjednoczyło wszystkich, nawet moich najbardziej ze sobą skłóconych krewnych. Ona kochała wszystkich i wszyscy ją kochali, każdy zapragnął przyjść do niej z dobrym słowem.

Babusia była dla mnie więcej niż nianią również dzięki jej licznym, wrodzonym talentom i zdolnościom, które wykraczały daleko poza granice jej obowiązków niani, a którym niestety nie dane było rozwinąć się szerzej.

Aleksandra Andrejewna pochodziła z Riazańskiej Gubernii. Wieś jej należała do obszarniczki Marii Aleksandrowny Ber. W jej to domu zaczęła swą pierwszą służbę trzynastoletnia Sasza. Berowie spokrewnieni byli z Geringami, a u Geringów służyła ciotka mojej niani Anna Dmitriewna, która wychowała pra-prawnuków Puszkina. Mieszkała potem z nimi do śmierci w Domu Pisarza w Płotnikowym zaułku. W tych to dwóch domach i u spokrewnionych z nimi rodzin w Petersburgu żyła moja babusia — najpierw jako pokojówka, potem kucharka,

gosposia i wreszcie — niania. Wiele lat spędziła w rodzinie znanego teatrologa i reżysera Nikołaja Nikołajewicza Jewreinowa opiekując się jego synem. Na fotografiach z tych lat babusia wygląda śliczniutko — prawdziwa, stołeczna niania z wysoką fryzurą i stojącym kołnierzykiem. Nic wiejskiego w niej nie było.

Była dziewczyną pojętną, obdarzoną wyobraźnią i łatwo przyswajała sobie wszystko, co widziała wokół. Liberalne, inteligentne gospodynie domów, w których służyła, nie tylko nauczyły ją porządnie ubierać się i ładnie czesać. Zachęcały ją również do czytania, otworzyły przed nią świat rosyjskiej literatury.

Czytała książki inaczej, niż ludzie wykształceni. Bohaterowie literaccy byli dla niej żywymi ludźmi, a wszystko, co napisane — prawdą. Nie wątpiła ani na chwilę, że „Biedni ludzie” *istnieli* tak, jak istniała babka Gorkiego...

Gorki przyjechał kiedyś odwiedzić ojca w Zubałowie. Było to w 1930 roku, jeszcze za życia mamy. Moja babusia zerknęła do przedpokoju przez szparę w uchylonych drzwiach. Wyciągnął ją za rękę Woroszyłow, który wiedział, że bardzo jej się chciało „popatrzeć na Gorkiego”. Aleksiej Maksymowicz zapytał ją które z jego książek czytała i zdziwił się, kiedy babusia wymieniła prawie wszystkie... „No, a co wam podobało się najbardziej?” — spytał. „Wasze opowiadanie jak pomagaliście kobiecie przy porodzie” — odrzekła babusia. Rzeczywiście, opowiadanie „Narodziny człowieka” zrobiło na niej największe wrażenie... Gorki był bardzo zadowolony i wylewnie uściśnął jej rękę. Uszczęśliwiło ją to na całe życie i lubiła potem opowiadać o swojej rozmowie z Gorkim.

Widziała też w naszym domu Demjana Biednego, ale nie zachwycała się jego wierszami. Mawiała tylko, że był on „wielkim bezwstydnikiem”...

Do rewolucji babusia mieszkała w domu Jewreino-wów, którzy wkrótce potem wyjechali do Paryża. Na-

mawiali ją usilnie, żeby jechała z nimi, ale babusia nie chciała wyjeżdżać. Miała dwóch synów — młodszy umarł na wsi w okresie głodu lat dwudziestych. Później, przez kilka lat, przyszło jej pomieszkać na wsi, której nie znosiła i na którą narzekała z przekonaniem urodzonej mieszcżki. Wieś oznaczała dla niej tylko „brud, brud i brud”. Przerazały ją już teraz wiejskie przesady, brak kultury, ignorancja i dzikość. Nie interesowała jej też praca na wsi, choć znała ją znakomicie. Ziemia jej nie ciągnęła, a ponadto chciała „wykształcić syna”, co wymagało zarabiania pieniędzy w mieście...

Przyjechała zatem do Moskwy, której nie znosiła przez całe życie. Przyzwyczyła się do Petersburga i nie przestała kochać tego miasta. Pamiętam jak cieszyła się kiedy pierwszy raz, w 1955 roku, pojechałam do Leningradu. Opowiadała mi przed moim wyjazdem o mieście, wymieniała ulice, przy których mieszkała, dokąd chodziła po bułki, gdzie „siedziała z wózkiem” i gdzie, w rybiarni nad Newą, „dostawała żywą rybę”. Przywiozłam dla niej z Leningradu stertę pocztówek z widokami ulic, prospektów i bulwarów. Oglądałyśmy je razem i babusia nad każdą rozczulała się, wspominała... „A Moskwa — to po prostu wieś. Wieś w porównaniu z Leningradem i nigdy mu nie dorówna, żeby nie wiem jak przebudowywali!” — powtarzała ciągle.

W latach dwudziestych jednak mieszkała w Moskwie — najpierw z rodziną Samarinych, a potem u doktora Małkina, skąd wywabiła ją jakoś moja mama. Było to wiosną 1926 roku, wkrótce po moim przyjeździe na świat.

W naszym domu babusia ubóstwiała trzy osoby. Przede wszystkim — mamę, którą — mimo jej młodego wieku — bardzo szanowała. Mama miała wtedy 25 lat, a babusia już czterdzieści jeden. Następnie — N. I. Bucharina, którego zresztą wszyscy lubili. Co roku, latem mieszkał on u nas w Zubałowie z żoną i córką. I wreszcie

— naszego dziadka Siergieja Jakowlewicza. Wtedy jeszcze, za czasów mamy, atmosfera naszego domu bardzo babusi odpowiadała. Była jej bliska i miła.

Miała babusia za sobą znakomitą, petersburską szkołę życia domowego. Była wobec wszystkich niezwykle delikatna, gościnna, serdeczna, szybko i sprawnie wykonywała swoje czynności, nie wtrącała się do spraw gospodarzy, szanowała ich jednakowo i nigdy nie pozwalała sobie na jakiegokolwiek plotki lub głośną krytykę „gospodarskiego” życia i jego problemów. Nigdy też nie kłóciła się z nikim, miała niebываły dar czynienia wszystkim jakichś małych, a przyjemnych przysług. Tylko moja guwernantka Lidia Gieorgiewna próbowała wygryźć babusię z naszego domu i w końcu dograła się, że ją samą wyrzucono. Nawet ojciec szanował i cenił babusię.

Ona to czytała mi głośno moje pierwsze, dziecinne książki. Ona też była pierwszym nauczycielem czytania i pisania — zarówno moim jak i moich dzieci. Miała cudowny talent przekazywania wiedzy w sposób lekki, wesoły, w zabawie. Nauczyła się tego widocznie od dobrych guwernantek, z którymi kiedyś współpracowała. Pamiętam jak uczyła mnie rachować przy pomocy glinianych kulek pomalowanych na rozmaite kolory. Układałyśmy je w kupki, tu dodawały, tam odejmowały i w ten sposób babusia nauczyła mnie czterech działań arytmetycznych zanim jeszcze pojawiła się w naszym domu nauczycielka Natalia Konstantinowna. Potem babusia chodziła ze mną na przedszkolne zajęcia muzyczne w domu Łomowów. Tam widocznie nauczyła się rozwijających słuch zabaw. Siadywałyśmy razem przy stole i babusia wystukiwała palcami rytm jakiejś znanej piosenki, a ja musiałam ją rozpoznać. A potem na odwrót — ja wystukiwałam, a ona odgadywała. Miała dobry słuch. A ileż śpiewała mi pieśni, i jak ślicznie i wesoło to robiła! Znała na pamięć niezliczoną ilość bajek, czastuszek, wszelkich wiejskich opowieści, piosenek ludowych, romansów... Wszystko to pły-



nęło i sypało się z niej jak z rogu obfitości i słuchanie jej sprawiało ogromną przyjemność...

Znakomicie posługiwała się językiem... Rzadko dziś słyszy się tak czysty, piękny, prawidłowy i wyrazisty język rosyjski... Miała jakąś cudowną umiejętność łączenia prawidłowego, czystego języka — był to przy tym język petersburski, a nie wiejski — z ludowymi w swoim charakterze przypowieściami, wesołymi i dowcipnymi, które nie wiadomo gdzie wynajdywała. Możliwe zresztą, że tworzyła je sama. „Tak — mawiała na krótko już przed śmiercią — miał Mokaj dwóch lokaj, a teraz Mokaj — sam lokaj...” — i sama zaśmiewała się...

W starym Kremlu lat dwudziestych i początku trzydziestych roiło się jeszcze od ludzi, pełno było dzieci. Babusia wychodziła na spacer z moim wózekkiem, a dzieci — Eteri Ordżonikidze, Lala Uljanowa, Dodik Mienziński — zbierały się wokół niej i słuchały jej bajek.

Los pozwolił jej wiele zobaczyć. Początkowo mieszkała w Petersburgu i dobrze знаła ten krąg ludzi, do którego należeli jej gospodarze. A był to krąg wybitnych ludzi sztuki takich, jak Jewreinow, Trubecki, Lanseré, Musinowie-Puszkiniowie, Geringowie, von Derwiz...

Kiedyś pokazałam jej książkę o malarzu Sierowie. Doszukała się tam wielu znanych jej postaci i nazwisk. Był to krąg inteligencji twórczej ówczesnego Petersburga...

Pamięć jej pełna była anegdot z życia wszystkich, których widywała w tych czasach. Opowiadała kto przychodził z wizytami, jak i co jadano, jak wychowywano dzieci. Wspominała jak gospodarze jej chodzili na koncerty Szalapina i jak romansowali prosząc ją o przekazywanie swoich sekretnych liścików...

I choć — przyswajając sobie nową terminologię — nazywała swoje dawne gospodynie „burżukami”, to jednak nie było w jej opowiadaniach złości. Przeciwnie, z wdzięcznością wspominała Zinaidę Nikołajewnę Jew-

reinową lub starego Samarina. Wiedziała, że ludzie ci nie tylko od niej brali, ale również dawali jej wiele, pozwalali wiele zobaczyć, poznać, zrozumieć...

Potem los rzucił ją do naszego domu na ówczesnym, jeszcze jako tako demokratycznym Kremlu. I tu poznała inny krąg ludzi — choć również „wybitnych” — i inne porządki. Ślicznie opowiadała potem o ówczesnym Kremlu, o „żonach Trockiego”, o „żonach Bucharina”, o Klarze Zetkin, o tym jak przyjechał Ernst Thaelmann i jak ojciec przyjmował go w swoim mieszkaniu na Kremlu, o siostrach Mienzińskich, rodzinie Dzierżyńskiego... Boże drogi, toż to była po prostu żywa kronika tamtych czasów, która wiele ciekawych, niezapisanych stroniec zabrała ze sobą do grobu...

Po śmierci mamy, kiedy wszystko w domu uległo zmianie, kiedy szybko zanikała stworzona przez mamę atmosfera i wypędzano wybranych przez nią ludzi — jedna tylko babusia pozostała nienaruszoną, trwałą opoką rodziny.

Całe swe życie spędziła z dziećmi — i sama była jak dziecko. Wciąż była jednakowa — dobra i zrównoważona. Rano szykowała mnie do szkoły i dawała śniadanie, potem, po moim powrocie, przygotowywała dla mnie obiad, a kiedy odrabiałam lekcje siedziała obok, w swoim pokoju zajęta swoimi sprawami. Wieczorem układała mnie do snu. Z jej pocałunkiem zasypiałam — „jagódka, złotko, ptaszynka” — to były jej czułe słowa, którymi mnie darzyła. Z jej też pocałunkiem budziłam się. „Wstawaj, jagódko, wstawaj ptaszku” — dzień zaczynał się od jej wesołej, zwinnej krzątaniny.

Nie było w niej zupełnie obłudy — religijnej, ani żadnej innej. W młodości była bardzo religijna, ale potem przestała uczestniczyć w obrządkach, odeszła od „bytowej”, wiejskiej religijności, która zresztą w połowie opiera się na dogmatach i zabobonach. Bóg na pewno jednak

nadal dla niej istniał, choć zapewniała, że już nie wierzy. Przed śmiercią zapragnęła przecież wypowiedzieć się — choćby przede mną — i opowiedziała mi wtedy wszystko o mamie...

Kiedyś, przed rewolucją, babusia miała swoją rodzinę. Potem mąż poszedł na wojnę i kiedy nadeszły głodne lata dwudzieste, nie chciało mu się wracać do rodziny, na wieś... Umarł wtedy jej ukochany, młodszy syn. Przekląła wówczas na zawsze swego męża, który pozostawił ich samych w głodującej wsi... Kiedy mąż jej dowiedział się u kogo ona pracuje, zaczął — z prawdziwie chłopską przebiegłością — bombardować ją listami i napomykać o swojej chęci powrotu do niej. Miała już wtedy własny pokój w Moskwie — mieszkał tam jej starszy syn. Ale babusia była twarda w swojej pogardzie dla byłego męża. „Patrzcie go — mawiała — kiedy było źle, to znikł bez śladu i przez tyle lat — ani słychu ani widu. A teraz nagle zatęsknił! Niech sobie tęskni beze mnie. Ja muszę wykształcić syna. Dam sobie radę bez niego\*\*”.

Przez wiele lat mąż daremnie zasypywał ją listami. Nie odpisywała. Wówczas nauczył swoje dwie córki — z drugiego małżeństwa — pisać do niej listy i prosić o pieniądze: bo to bieda i źle, niby, żyjemy... Córki pisywały i przysyłały swoje fotografie — wyłupiaste oczy, tępe buzie. Babusia śmiała się: „Popatrz tylko, jakie krzywogębe mu się wypiekły!” Niemniej jednak litowała się nad „krzywogębymi” i regularnie posyłała im pieniądze. A zresztą komuż jeszcze ze swych krewnych nie posyłała pieniędzy! Kiedy umarła okazało się, że na książeczkę oszczędnościowej miała 20 starych rubli. Nie ciułała pieniędzy i nie oszczędzała...

Przy całej swojej delikatności babusia zachowywała się zawsze z poczuciem godności własnej. Ojciec lubił ją za to, że nie starała się nikomu przypodobać ani wysługi-

---

\* Z domu babusia była Romanowa, a po mężu — Byczkowa. „Po cóż mi było carskie nazwisko na bydłące zamieniać?” — mawiała.

wać. Wszyscy byli dla niej równi — także „gospodarz” i „gospodyni”. To jej wystarczyło, nie wdawała się w osądzanie ludzi — „wielki”, czy mały i kim w ogóle jest... Tylko w rodzinie Żdanowów nazwano babusię „niekulturalną staruchą”. Myślę, że z takim brakiem szacunku nie spotkała się ona nigdy w ziemiańskich rodzinach, w których kiedyś służyła.

Kiedy podczas wojny — i jeszcze przedtem — cała „obsługa” naszego domu została zmilitaryzowana, trzeba było także odpowiednio „uoficjalnić” babusię — jako „współpracownicę MGB”. Taka była ogólna zasada. Upřednio należności wypłacała jej po prostu mama. Babcie bawiła zawsze niezwykle oficjalna lista płac „współpracowników”, na której figurowała ona jako... „młodszy sierżant”. Salutowała w kuchni kucharzowi, mówiła do niego „tak jest!” i „według rozkazu, wasza miłość!”. Traktowała to wszystko jak idiotyczny żart albo zabawę. Nie interesowały ją głupie formalności. Mieszkała obok mnie, znała i wykonywała swoje obowiązki, a jak ją przy tym formalnie nazywano — to już nie była jej sprawa. Napatrzyła się w życiu wielu rzeczom, widziała wiele zmian — „znieśli pagony, a potem znowu je wprowadzili” — a życie szło nadal swoim trybem i trzeba było robić swoje, kochać dzieci i pomagać ludziom żyć, co by się wokół nie działo.

W ostatnie lata ciągle chorowała. Serce jej było podatne na sercowe spazmy, a przy tym cierpiała na straszłą otyłość. Kiedy waga jej przekroczyła 100 kg, przestała się ważyć, bo rozstrajało ją to nerwowo. Mimo to, nie odmawiała sobie żadnych łakoci, jej epikurejskie skłonności rozwinęły się niemal w manię. Czytała książkę kucharską jak powieść i raz po raz wykrzykiwała: „Tak! Prawda! U Samarinów tak samo robiliśmy lody jeszcze kieliszek ze spirytusem ustawialiśmy po środku, zapalaliśmy i podawali do stołu w ciemności!” Ostatnie dwa lata spędziła u siebie w domu, w Płotnikowym zaułku,

z wnuczką. Na spacery chodziła na skwerek, na Placyk Psów. Zbierali się tam arbatscy emeryci, którzy utworzyli wokół babusi prawdziwy klub. A ona opowiadała im jak przyrządzała kulebiaki i rybne zapiekanki. Już jednym takim jej opowiadaniem można się było niemal najeść! Spieszczała zawsze nazwy wszelkich przedmiotów, a zwłaszcza jedzenia. „Ogóreczki”, „pomidorki”, „chlebuś” albo „usiądź, poczytaj książeczkę”, „weź ołówceczek” — to był jej styl wyrażania się.

Zgubiła ją w końcu jej wieczna ciekawość. Pewnego razu była u nas na dacy i czekała na rozpoczęcie programu telewizyjnego. Telewizja była jej najulubieńszą rozrywką. W pewnym momencie zapowiedziano transmisję z przyjazdu U-Nu, którego witać miał Woroszyłow. Babusię bardzo ciekawiło kto to taki ten U-Nu, a i Klimenta Jefremowicza chciała zobaczyć. Ciekawa była czy „bardzo się zestarzał”. Puściła się więc biegiem z sąsiedniego pokoju zapominając o podeszłym wieku, o wadze, o sercu, o chorych nogach... Na progu potknęła się, upadła, stłukła sobie ramię i silnie się przestraszyła... Tak zaczęła się jej ostatnia choroba.

Widziałam ją na tydzień przed śmiercią. Zachciało jej się wtedy „świeżutkiego sandacza” i prosiła mnie, żebym postarała się go kupić. Potem wyjechałam, a kiedy wróciłam, 4 lutego, zadzwoniła do mnie jej wnuczka i płacząc do telefonu opowiadała: „na sekundę tylko odwróciłam się, bo bacia prosiła żeby lufcik otworzyć, a kiedy znów spojrzałam na nią już przestała oddychać”.

Ogarnęło mnie dziwne uczucie rozpaczy... Zdawało się, że wszyscy moi bliscy już zmarli — kogoż bowiem nie straciłam? Powinnam była przywyknąć już do śmierci. Ale nie, czułam taki ból, jakby wyrwano mi kawał serca...

Naradziliśmy się z synem babusi i postanowiliśmy pochować ją obok mojej mamy, na Nowodziewiczym. Ale

jak to zrobić?\* Dano mi numery telefonów różnych naczelników w Mossowiecie i w komitecie moskiewskim partii, ale nie mogłam się dodzwonić. A ponadto, jakże wytłumaczyłabym tym ludziom dlaczego chcę tam pochować babusię? Zadzwoiłam więc do Jekateriny Dawidowny Woroszyłowej i powiedziałam jej, że umarła moja niania. Babusię wszyscy znali i szanowali. Podszedł też od razu do telefonu Kliment Jefremowicz. Był przejęty i zmartwiony. „Oczywiście, oczywiście — powiedział — tylko tam należy ją pochować. Powiem gdzie trzeba, wszystko będzie w porządku”.

I pochowaliśmy ją tuż obok mamy. Wszyscy całowali babusię i płakali. I ja też pocałowałam ją w czoło i w rękę — bez żadnego lęku, bez odrazy wobec śmierci, a tylko z uczuciem najgłębszego żalu i czułości wobec tego bliskiego człowieka, najbliższej mi na tej ziemi istoty, która oto także odchodzi i opuszcza mnie na zawsze.

Płacę i w tej chwili. Przyjacielu mój miły, przecież ty rozumiesz czym była dla mnie babusia? Ach, jaki ból. Jeszcze teraz. Babusia była szczodrym, zdrowym, szeleszczącym liśćmi drzewem życia, którego gałęzie rozbrzmiewały śpiewem ptaków. Omywały je deszcze i rozświetlało słońce, a ono stało niewzruszone — niby krzak gorzący — kwitnący i pełen owoców, obojętny i mocny wobec wichrów i burz...

Nie ma już jej, mojej babusi. Ale pozostała pamięć jej wesołości i dobroci; babusia pozostała gospodynią mego serca. Pozostała nawet także w sercach moich dzieci, które nie zapominają ciepła, które im dała. Czyż zresztą zapomni o niej ktoś, kto ją znał? Czyż można zapomnieć Dobro?



Nigdy nie zapominajcie Dobra. Ludzie, którzy prze-

---

\* Cmentarz Nowodziewiczy uchodzi za „rządowy”, dlatego nie wolno tam grzebać zmarłych bez zezwolenia wyższych instancji.

żyli wojnę, łagry — niemieckie i nasze, więzienia — carskie i nasze, którzy własnymi oczami ujrzeli wszystkie okropności, jakie niesie ze sobą nasz dwudziesty wiek — ludzie ci nie zapominają dobrych, bliskich twarzy swego dzieciństwa ani maleńkich, słonecznych kącików, dokąd po latach wraca po cichutku dusza każdego człowieka szukając odpoczynku we wszelkim cierpieniu. Niedobrze, jeśli człowiek nie ma tych kącików, w których dusza może odpocząć... Nawet najtwardsi, najokrutniejsi ludzie chronią w nieznanym nikomu głębinach swych spaczonych serc owe małe kąciki dziecięcych lat, jakis mały, dawny promyk słońca.

I Dobro mimo wszystko zwycięża.

Dobro zwycięża choć — niestety — często jeszcze zbyt późno i tylu dobrych, wspaniałych ludzi powołanych do tego, aby upiększać swym istnieniem Ziemię — ginie niesprawiedliwie, bezmyślnie i nie wiadomo dlaczego...



Na tym chcę zakończyć moje listy do ciebie, drogi przyjacielu.

Dziękuję ci za twoją wytrwałość. Samej, zabrakłoby mi sił, żeby pchnąć z miejsca ten ciężki wóz. A teraz, kiedy dusza zrzuciła już z siebie ciężar — tak mi lekko. Czuję się tak, jakbym długo wspinała się po skałach i oto — góry już pode mną: wokół milczące szczyty, w dolinach błyszczą rzeki, a nad światem jaśnieje niebo — czyste i spokojne.

Dziękuję ci, przyjacielu!

Ale uczyniłeś także coś więcej. Kazałeś mi znowu wszystko przeżyć, znowu zobaczyć miłych i drogich mi ludzi, których od dawna już nie ma... Zmusiłeś mnie do ponownego roztrząsania i łamania głowy nad tymi sprzecznymi, trudnymi uczuciami, które wzbudzał we mnie zawsze ojciec. Kochałam i bałam się go, nie rozumiałam i osądzałam...

Znów runęło to na mnie ze wszystkich stron i obawiałam się już, że nie starczy mi sił, aby ponownie rozmawiać ze wszystkimi tymi cieniami i widmami, które wyrosły wokół mnie ciasnym kręgiem...

A zarazem tak dobrze było widzieć ich wszystkich znowu i tak straszne było przebudzenie z tego snu. Chciałoby się jeszcze posłuchać ich głosu, ale oni nagle milkli i znikali...

Cóż to byli za ludzie! Jakie integralne, pełnokrwiste charaktery! Ileż romantycznego idealizmu zabrali ze sobą do grobu ci pierwsi rycerze Rewolucji — jej trubadurzy, jej ofiary, jej zaślepieni asceci, jej męczennicy...

A ci, którzy chcieli stanąć ponad nią, przyspieszyć jej bieg i zobaczyć dziś jeszcze to, co czekało w przyszłości; ci, którzy walczyli o Dobro środkami i metodami zła — byle szybciej, szybciej i szybciej obracało się koło Czasu i Postępu — czegóż oni dopięli? Czy dorównali tamtym?

A miliony bezmyślnie zabitych, a tysiące na zawsze zmarnowanych talentów, pogaszonych żagwi rozumu, których nie ujmiesz w dwudziestu listach ani w dwudziestu grubych księgach — czyż nie wolałyby żyć na ziemi i służyć ludziom, a nie tylko pozostawić ślad w sercach człowieka „śmiercią śmierć naprawiwszy”?

Sógi jest sąd historii. Orzeknie on jeszcze kto był bohaterem w imię Dobra, a kto — w imię czczej sławy i marności. Nie mnie o tym sądzić. Nie mam takiego prawa.

Mam tylko sumienie. A sumienie mówi mi, żebym nie wytykała źdźbła w oku bliźniego, jeżeli nie widzę kłody we własnym. Wszyscy odpowiadamy za wszystko.

Niech sądzą ci, którzy wyrosli później i którzy nie znają tych lat i tych ludzi, których znamy my. Niech przyjdą młodzi — gorący i czupurni — dla których lata te będą równie dalekie i niepojęte, równie dziwne i straszne, jak epoka Iwana Groźnego...

I próżno by czekać, że nazwą naszą epokę „postępo-



wą”, że powiedzą iż była ona „na szczęście Wielkiej Rusi”... Próżno by...

Powiedzą oni prędzej czy później swoje, nowe słowo — słowo konkretne i rzeczowe — bez zrzędzenia i wyrzekania.

Zrobią to przewróciwszy kartę historii swego kraju z uczuciem głębokiego bólu, skruchy i niedowierzania. Ten ból zmusi ich do tego, żeby żyć inaczej.

Tylko niech nie zapominają wtedy, że Dobro jest wieczne, że żyło ono i rosło w duszach nawet tam, gdzie nie podejrzewano jego istnienia, że nigdy nie umierało i nie ginęło...

I że wszystko, co żyje, oddycha i świeci, wszystko, co kwitnie i przynosi owoce — istnieje tylko poprzez Dobro i Rozum, w imię Dobra i Rozumu — na całej naszej miłej, umęczonej Ziemi.

Żukowka, 16 lipca — 20 sierpnia 1963 r.

WYKAZ WYDAWNICTW « BIBLIOTEKI KULTURY »

(z wyjątkiem pozycji wyczerpanych)

4. James BURNHAM .... *Bierny opór czy wyzwolenie?*
8. Józef ŁOBODOWSKI .. *Złota hramota (Poezje)*
11. Marian PANKOWSKI .. *Smagła swoboda*
12. Teodor PARNICKI .... *Koniec „Zgody narodów”, 2 tomy*
15. Graham GREENE ..... *Moc i chwala*
18. Jeanne HERSCH ..... *Polityka i rzeczywistość*
20. Józef MACKIEWICZ .. *Kontra*
22. Andrzej BOBKOWSKI .. *Szkice piórkiem (Francja 1940-1944), 2 tomy*
25. Daniel BELL ..... *Praca i jej gorycze (Kult wydajności w Ameryce)*
26. Jan WINCZAKIEWICZ . *Izrael w poezji polskiej (Antologia)*
30. Jan KOWALIK ..... *Polska w bibliografii niemieckiej 1954-1956*
31. Stanisław REMBEK .... *W polu*
33. Simone WEIL ..... *Wybór pism*
35. James BURNHAM .... *Revolucja menadżerska*
36. Tadeusz KATELBACH .. *Rok złych wróżb (1943)*
37. Jurij ŁAWRYNENKO .. *Rozstriljane widrodzennja (Antologia)*
40. — *Program Związku Komunistów Jugosławii (Seria „Dokumenty”, Zesz. 5)*
41. (Opr. Czesław MIŁOSZ). *Kultura Masowa (Seria „Dokumenty”. Zesz. 6)*
43. Jan KOWALIK ..... *„Kultura” 1947-1957. Bibliografia „Kultury”.*
44. Borys PASTERNAK ... *Doktor Żiwago (Wydanie trzecie)*
47. Tibor DERY ..... *Niki*
51. Gustaw HERLING GRUZIŃSKI ..... *Skrzydła ołtarza*

52. Halszka GUILLEY-CHMIELOWSKA ..... *Spotkania na galerii*
53. Józef CZAPSKI ..... *Oko*
55. Leo LIPSKI ..... *Piotruś*
56. Aldous HUXLEY ..... *Nowy uspaniały świat poprawiony*
58. Stanisław KOT ..... *Jerzy Niemirycz — inicjator Ugody Ha-dziackiej*
59. (Opr. Czesław MIŁOSZ). *Węgry* (Seria „Dokumenty”. Zesz. 8)
60. Artur Marya SWINARSKI *Sasza i bogowie*
61. Andrzej CHCIUK ..... *Rejs do Smithton — Stary ocean.*
63. Bogdan CZAYKOWSKI i Bolesław SULIK ..... *Polacy w W. Brytanii*
64. Danuta MOSTWIN .... *Amerylko! Amerylko!*
65. Paweł HOSTOWIEC ... *Eseje dla Kassandry*
66. Aleksander HERTZ .... *Żydzi w kulturze polskiej*
68. Abram TERC ..... *Opowieści fantastyczne*
69. I. IWANOW ..... *Czy istnieje życie na Marsie?*
71. I. IWANOW ..... *Jest' li ziźń na Marsie?*
72. Paweł ZAREMBA ..... *Historia Polski. Cz I.*
73. — *Zeszyty Historyczne (Zeszyt 1-szy)*
77. Czesław MIŁOSZ ..... *Człowiek wśród skorpionów*
78. Bernard SINGER ..... *Od Witosa do Stawka*
81. Witold GOMBROWICZ . *Dziennik. Tom II (1957-1961)*
84. — *Zeszyty Historyczne (Zeszyt 3-ci)*
85. Józef WITTLIN ..... *Orfeusz w piekle XX wieku*
86. Zygmunt HAUPT .... *Pierścień z papieru*
89. Witold JEDLIICKI ..... *Klub Krzywego Koła* (Seria „Dokumenty”. Zesz. 12)
90. — *Zeszyty Historyczne (Zeszyt 4-ty)*
92. — *We własnych oczach. Antologia współczesnej literatury sowieckiej.*
93. Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI ..... *Drugie przyjście oraz inne opowiadania i szkice.*
94. Jan KOWALIK ..... *Materiały do historii prasy polskiej na obczyźnie 1939-1962.*
95. — *Zeszyty Historyczne (Zeszyt 5-ty)*
99. Wincenty WITOS ..... *Moje Wspomnienia. Tom I/III*
102. Stanisław MACKIEWICZ *Polityka Becka*
103. — *Zeszyty Historyczne (Zeszyt 6-ty)*

104. Ignazio SILONE ..... *Wybór towarzyszy* (Seria „Archiwum Rewolucji”)
108. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 7-y)
109. Wacław IWANIUK .... *Wybór wierszy*
110. Michał K. PAWLIKOWSKI ..... *Wojna i sezon*
111. Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI ..... *Inny świat*
112. Witold GOMBROWICZ . *Kosmos*
113. Borys LEWICKYJ ..... *Terror i rewolucja* (Seria „Archiwum Rewolucji”)
114. Stanisław VINCENZ .... *Po stronie pamięci*
115. Danuta MOSTWIN ..... *Olivia*
117. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 8-my)
118. Jerzy PIETRKIEWICZ . *Poematy londyńskie i wiersze przedwojenne*
119. January GRZĘDZIŃSKI . *Maj 1926* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 14)
120. Mikołaj ARŻAK ..... *Odkupienie i inne opowiadania*
121. Arthur KOESTLER .... *Fragmenty wspomnień* (Seria „Archiwum Rewolucji”)
122. Michel GARDER ..... *Agonia reżymu w ZSSR* (Seria „Archiwum Rewolucji”)
125. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 9-ty)
126. Barbara TOPORSKA .. *Siostry*
127. — *Sąd idzie! Stenogram z procesu A. Siniawskiego i J. Daniela* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 16).
129. Borys LEWYĆKYJ .... *Polityka narodowościowa w ZSSR* (Seria „Archiwum Rewolucji”)
130. Mihajlo MIHAJLOV ... *Tematy rosyjskie* (Seria „Archiwum Rewolucji”)
131. George J. FLEMMING .. *Polska mało znana*
132. J. KUROŃ i K. MODZELEWSKI ..... *List otwarty* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 17)
133. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 10)
134. Wacław LEDNICKI .... *Rosyjsko-polska entente cordiale 1903-1905*
135. Adam CZERNIAWSKI . *Sen — Cytadela — Gaj* (Poezje)
136. — *Schizmy* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 18)
138. Witold GOMBROWICZ . *Dziennik III. Operetka*

139. Aleksander HERTZ .... *Refleksje amerykańskie*
140. — *Zeszyty Historyczne (Zeszyt 11)*
141. Olga SCHERER ..... *W czas morowy*
142. Alicja ZAWADZKA-  
WETZ ..... *Refleksje pewnego życia (Seria „Dokumen-  
ty”, Zeszyt 19)*
143. Bonifacy MIĄZEK .... *Ziemia otwarta (Poezje)*
144. Juliusz MIEROSZEWSKI *Polityczne Neurozy*
145. — *Zeszyty Historyczne (Zeszyt 12)*
146. Aleksander HERTZ .... *Szkice o ideologiach*
147. Wiktor SUKIENNICKI . *Legenda i Rzeczywistość (Seria „Dokumen-  
ty”, Zeszyt 20)*
148. Tomasz STALIŃSKI ... *Widziane z góry*
149. Galina SIERIEBRIA-  
KOWA ..... *Huragan (Seria „Archiwum Rewolucji”)*

**A C H E V E D'IMPRIMER  
LE 25 OCTOBRE 1967  
SUR LES PRESSES DE  
L'IMPRIMERIE RICHARD  
24, RUE STEPHENSON.  
PARIS (XVIII<sup>e</sup>)**

**Dépôt légal : 4<sup>e</sup> trim. 1967**

GALLRAD FRÅN  
HÄNDBYBERGS STADSBIKLIOTEK

HÄNDBYBERGS STADSBIKLIOTEK



SUNDBYBERGS  
STADSBIBLIOTEK

GALLRAD FRÅN  
SUNDBYBERGS STADSBIBLIOTEK

002 07 24 3006 0F 0183 00 02 01



Lz Allilujeva = mc  
ALLILUJEVA Dwadziescia  
listow do przyjaciela /67

1  
zyjaciela

ren 1951-1954

nedskrivna av Stalins dotter.



**SERIA « ARCHIWUM REWOLUCJI »**

- Ignazio Silone — **Wybór towarzyszy** (F 7,50)  
Gustaw Herling-Grudziński — **Inny świat** (F 13,50)  
Borys Lewickij — **Terror i rewolucja** (F 15,00)  
Arthur Koestler — **Fragmenty wspomnień** (F 13,50)  
Borys Lewickij — **Polityka narodowościowa ZSSR**  
(F 16,50)  
Mihajlo Mihajlov — **Tematy rosyjskie** (F 15,00)  
Galina Sieriebriakowa — **Huragan** (F 8,00)